T. ZIELIŃSKI

IREZYONA

KLECHDY ATTYCKIE

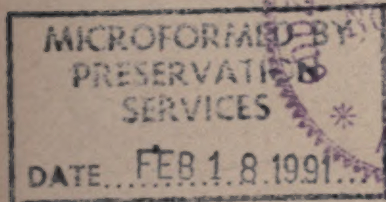
IREZYONA

TADEUSZ ZIELIŃSKI

IREZYONA

KLECHDY ATTYCKIE

SERJA PIERWSZA



WARSZAWA MCMXII KRAKÓW
WYDAWNICTWO J. MORTKOWICZA
TOWARZYSTWO WYDAWNICZE W WARSZAWIE



Drukarnia Naukowa. Warszawa, Rynek Starego Miasta 11.

PUHAR KRZYWDY



U północnego podnóża Pentelikonu, tam gdzie rzeczka Erazyn, zbiegłszy z góry, przepływa między dwoma zboczami, dążąc ku padołom równiny maratońskiej, stała osada niezamożnego włościjanina Ikarjosa. Darów Demetry rola jego nie rodziła; usilną wszakże pracą udało się przodkom jego zbudować tarasy po obu stokach, między któremi mieściła się osada. Stok południowy obsadzony był oliwkami; z ich owoców Ikarjos, posłuszny przykazaniom Pallady, wytłaczał wonny olej, zbywany następnie w Maratonie i innych miastach Czworogrodzia. Stok północny zielenił się od wiązów; ku nim garnęły się zewsząd gibkie rózgi płodnej latorośli, dające grona jagód o słodyczy niezwykłej. Jagody te suszył na rodzynki; rodzynki zaś po części spożywał sam, zastępując niemi miód, po części także sprzedawał.

Żona odumarła go była jeszcze w młodości, pozostawiwszy mu tylko jedyną córkę — Erygonę. To też pracy dziewczyna miała wbród: najpoważniejszem jej zadaniem było strzeżenie kózek na

stoku południowym, aby nie przeprawiały się przez Erazyn i nie skubały delikatnych rózeg latorosli. W zadaniu tem pomagała jej zresztą wierna jej suka Mera: leżąc przed drzwiami, równocześnie strzegła ona domu i pilnie baczyła, aby żadna z kóz, przychodzących pić z ruczaju, nie przechodziła po za jego zakazane łożysko.

Wobec znacznej odległości osady od wsi najbliższej, dni Erygony upływały w zupełnej niemal samotności. W zabawach i tańcach swych rówieśnic ku czci Artemidy nie brała ona udziału — nie mogła oddalać się na długo—i poprzestawała na tem, że w dniu wiosennego jej święta składała jej w ofierze krew koźlęcia oraz pieśni, jakich nauczyła ją pewna kapłanka braurońska, przypadkowo goszcząca w osadzie.

Jedynem tedy towarzystwem dziewczęcia był jej ojciec; ale i z nim rozmawiała niewiele. Ikarjos po śmierci żony stał się bardzo milczący; w córce nie widział osoby równej sobie; dziewczyna nie mogła nie zdawać sobie sprawy, że jej suka Mera, że każda z jej kózek i że nawet oswojona kawka, skacząca po wbitych w ścianę prętach, była jej bliższa i zdała się być bardziej rodzona, niźli rodzony jej ojciec. Myśl ta napawała ją smutkiem, jak zdawało się, napawała też i jego, ale sprawa przeto nie obracała się na lepsze. Oboje pracowali aż do rąk urobienia, jakkolwiek, w istocie rzeczy, nie wiedzieli poco. Radość jakgdyby zapomniała, że jest na świecie osada Ikarjosa pod Pentelikonem.

II.

Był upalny dzień letni. Niedawno zebrane grona bursztynowe latorosli pokrywały wszystek dach i wszystkie ku słońcu zwrócone ściany domu; nie mało ich leżało i na stole przed kominkiem. Za stołem, na łożu, siedzieli Ikarjos i Erygona, to jest, siedziała właściwie tylko Erygona, Ikarjos zaś, wedle obyczaju, który zdążył już był zakorzenić się podówczas, spoczywał, leżąc, wsparty na lewym łokciu. Zamieniali zrzadka między sobą zdania dorywcze, atoli myśli ich bujały w dziedzinach odrębnych.

Wtem, za drzwiami dało się słyszeć szczekanie Mery, które natychmiast przeszło w wycie przeciągłe i jakgdyby bojaźliwe. Niebawem drzwi się otwarły i wszedł podróżny, człowiek poważny, lecz o wyglądzie niezwykłym, wskazującym przybysza z dalekich stron. Miał na sobie długi płaszcz fałdzisty wschodniego pokroju, zdający się spływać z jego ramion na dorodną jego postać; długa i szeroka broda także jakgdyby spływała wonnemi bursztynowemi smugami z podbródka jego na pierś. Długie jego włosy były podpięte i okolone wieńcem bluszczowym.

— Witaj, gościu! — rzekł Ikarjos. Uśmierzysz z nami głód i pragnienie, a potem opowiesz nam, kto zacz jesteś i co cię tu sprowadza.

Gość zbliżył się do stołu i zajął miejsce na zydlu składanym, jaki podsunęła mu Erygona, narzuciwszy nań, przez szacunek dla gościa, skórę kozią. Przybysz spróbował chleba, łyknął mleka

koziego, ale, widocznie, bardziej dlatego, aby nie obrazić gospodarza; nie zdawał się być ani głodnym ani spragnionym. Opowieści snuł natomiast bez końca — o krajach obcych, o ich życiu i obyczajach, o bogach i herosach, o mądrosci przodków, o stworzeniu świata i o życiu zagrobowem. Ikarjos i Erygona słuchali go, zapomniawszy sami o jadle i piciu; oboje byli oczarowani jego opowieściami.

— A teraz, — rzekł, jakby kończąc rozmowę, — chciałbym odwdzięczyć się wam za gościnę. Ikarjosie, czy nie masz jakiego życzenia?

Czoło i oczy Ikarjosa zaćmił nagły smutek.

— Mam, lecz jest to życzenie niepodobne do spełnienia.

— Jakie?

— Chciałbym, rzekł cicho Ikarjos, aby zmartwychwstała żona moja, którą bogowie zabrali mi w młodości, — za co zabrali, niem wiem.

— Żona twoja zwartwychwstała, nie wątpij o tem, lecz zmartwychwstała dla innego, lepszego życia. Wszelako — ciągnął tajemniczo gość — jest rzeczą możliwą wskrzesić ją już teraz w twojej świadomości, tak, że stanie ona przed twoim wzrokiem wewnętrzym tak żywo i dobitnie, jakgdyby żyła.

— Hekato potężna! — zawołał w przestrachu Ikarjos — oby na dobro obróciły się nam twoje widzenia!

— Daj pokój Hekacie, — odrzekł gość z uśmiechem, — ona tu niepotrzebna. Jest rzeczą możliwą, powiedziałem; powiem lepiej: są dwie możliwości,

lecz jedna z nich istnieje tylko dla wtajemniczonych.

Przybysz w rozmarzeniu w tył odchylił głowę.

— Gdy ziemia, skowana mrozem, uczuje skroś pancerz zimowy pierwszą pieszczotę nowego słońca; gdy lasy Pentelikonu rozebrzmią w dzień śpiewem ptaków przelotnych, a nocą okrzykami zachwytu naszej drużyny: o! stokroć błogosławieni są ci, którzy powezmą wtenczas wieść szczęśliwą o bogu nowym i jego cudach! Nie ulegną oni śmierci, nie ulegną znicestwieniu: poznają, że jest dusza, i że jest nieśmiertelna. Ale to — rzecz przyszłości, jakkolwiek rychłej — ciągnął nadal głosem spokojnym. Druga zaś możliwość istnieje dla wszystkich, i — tobie sądzono zwiastować ją ludziom.

Poczem, jakby zmieniając rozmowę, chwycił leżące przed sobą grono latorośli i, spróbowawszy go, spytał gospodarza:

— Przedziwnie słodkie są te owoce; co z nich robisz?

— Rodzynki, — odpowiedział Ikarjos.—Nie są to przecież jagody Ateny; nic pożytecznego z nich zrobić niemożna.

— Mylisz się, przyjacielu. Pokażę ci, co robić z nich można, i w nauce tej zawierać się będzie mój dar i zarazem spełnienie mojej obietnicy. Czy posiadasz tłocznię?

— Posiadam, posługùjemy się nią do wytłaczania oliwek.

— Prowadź mię do niej, zabrawszy z sobą trzy spore beczułki. Ty zaś, dziewojo, przynieś nam tam jak najwięcej gron. Weźmiemy się razem do roboty.

III.

Zapadał już wieczór, gdy uporano się z robotą. Beczułki, słodkim napełnione sokiem, przeniesiono na miejsce suche i otwarte, kędy Erazyn wylewami swemi ongi wytworzył wał piasczysty. Wedle wskazań gościa, naczynia zakopano w piasku; skoro wszystko było wykonane, gość wstąpił na wyniosłość wału — Ikarjos i Erygona zrozumieli, że ma on im do powiedzenia jakowąś rzecz niezmiernie doniosłą: nastała uroczysta cisza.

— Ja stoję na grobie, — jął mówić ścicha; złożyliśmy w nim soczysty owoc jesieni; przechowa go rola zimowa. Ale bądźcie pewni: gdy skroś zimny pancerz uczuje ona pieszczotę młodego słońca, zwróci wam to, coście jej powierzyli, ale zwróci w postaci przeistoczonej i uduchowionej. Głęboka leży treść, przyjaciele moi, w tem, co wam mówię. I wasze ciała również zakopane będą w tem samem łonie macierzyńskiem ziemi, i wam sądzono również zmartwychpowstać w postaci przeistoczonej, uduchowionej. Rozpowszechniajcie przypowieść moją śród wszystkich, drodzy moi; zrozumie ją ten, kto zdolen będzie zrozumieć. A zrozumiawszy, uwierzy; uwierzywszy zaś, dostąpi moich misterjów i najdzie zbawienie. Wam atoli poruczam inną naukę. Pamiętajcie, pamiętajcie, drodzy moi: *Wskrzeszony wskrzesza!* Wskrzeszony sok latorośli będziecie odtąd nazywali *winem*, owoc zaś jej *winogradem*, ją zaś samą łozą winną. Imiona te daję wam dla wszystkich narodów i po wszystkie czasy. I skoro niemowlę zaigra w łonie matki-

ziemi, otwórzcie je i pijcie krew jego. Albowiem krew ta stanowić będzie napój zmartwychwstania i nieśmiertelności. Ale dowiedzcie się także, jak pić ją należy, aby nie stała się dla was trunkiem śmierci i potępienia. Pamiętajcie, że doskonałość polega na trójcy. Jedna miara wina, moi drodzy, i trzy miary wody: oto połączenie, które ja wam zalecam. Z tak połączonej mięszaniny, po uczcie, odśpiewawszy pean uroczysty, pić możecie trzy puhary. Trzy puhary, nie więcej! Pierwszy — ku czci Zeusa Olimpijskiego; z niego bowiem idzie wszelki początek. Jemu wylejcie kilka kropel, a potem pijcie sami. Drugi — ku czci herosów i dusz umarłych, którym też kropel kilka ofiarujcie. Będzie to puhar wskrzeszenia, albowiem, powtarzam, wskrzeszony — wskrzesza. Kto jest młody, ten nie ma nic do wskrzeszania; dla ciebie, Erygono, i jeden puhar wystarczy. Ale, kto wiele przeżył, wiele pogrzebał, ten odnajdzie swe przeżycia, i w puharze drugim przywróci do życia swą przeszłość. Trzeci zaś — ku czci Zeusa Zbawiciela; albowiem od Zeusa zaczyna i na Zeusie kończy wszelkie sprawy ten, w kim rozum czuwa. Potem zaś udajcie się na spoczynek, — a sen wasz będzie lekki i widzenia jego—radosne. Czwartego zaś puharu nie tykajcie, albowiem — gromowym zakończył głosem:

— *Puhar czwarty jest puharem krzywdy!*

Umilkł.

Z zachwytem i lękiem patrzyli nań Ikarjos i Erygona, gdy stał na wyniosłości wału pod sklepieniem nocy, usianem gwiazdami. Długo milczeli

wszyscy troje. Nakoniec, Ikarjos, pragnąc usłyszeć dalsze objawienia gościa, nieśmiało i z pokorą przerwał uroczystą ciszę:

— Wierzę, gościu mój, że nie bez woli bożej kraj nasz nawiedziłeś. Ale czy nie raczysz oznajmić nam, kim jesteś, skąd przychodzisz i dlaczego nam właśnie naukę swą przynosisz?

Gość wyciągnął rękę ku tej stronie nieboskłonu, gdzie płonął gwiazdozbiór Wielkiej Niedźwiedzicy.

— Ojczyzna moja — rzekł — jest tam, w kraju rzek lodowatych i szumiących borów. Stopa wasza nie tknęła dotąd ziemi tego kraju; skoro zaś wychodźcy wasi ją odwiedzą, wraz z darami Demetry przyniosą oni jej także i mój dar. Ale nie na dobro on wyjdzie jej tęgiemu ludowi. Albowiem kraj Wielkiej Niedźwiedzicy jest krajem dzikiej i nieokiełznanej *woli*. Nie znając bogów olimpijskich i Prawdy niebieskiej, strzegącej niezłomnej ich umowy, ślepcy ci poważą się nawet dary Demetry zużywać na marne, świętokradczo dobywając z nich podobieństwo daru mojego. I, rzecz prosta, nie cofną się przed puharem Krzywdy: syn będzie poniewierał w prochu starego ojca; matka sprzedawać będzie swe młode córki. I odebrane im będzie to dobro, którego używać nie będą umieli z umiarem.

Teraz gość wyciągnął rękę ku przeciwległej stronie sklepienia, kędy górną połową ciała wyłaniał się zza góry olbrzym ognisty, Orjon:

— Tam zaś, — ciągnął dalej, — leży kraj gór wypalonych i lotnych piasków; na podobieństwo

samego Orjona, tego chciwego i pożądliwego myśliwca, i kraj jego jest krajem chciwej *pożądliwości*. I jemu nie na dobre wyjdzie mój dar; więc mądry powstanie prawodawca, który mu wzbroni go zupełnie i nazawsze.

— Wy zaś, Hellenowie, jesteście szczęśliwi przeto, że zamieszkujecie między jednemi a drugiemi ludami. Kraj wasz jest krajem *rozumu* i *umiaru*. Wam tedy dar swój powierzam, dar radości i zmartwychwstania. Jeśli zaś pytać was będą, kto zacz był gość wasz, powiedzcie, że był to *Djonizos, syn Zeusa i Semeli.*

W chwili tej fałdzisty płaszcz i długa broda przybysza rozpłynęły się w błękicie nocy: w świetle wschodzącego księżyca przed ojcem i córką stanął młodzian o urodzie boga, z głębokiemi ciemnemi oczyma, z rumieńcami natchnienia na licach. Nim zdążyli ochłonąć ze zdumienia, przyłożył rękę do ust i dwakroć donośnie wykrzyknął:

— I-o! I-o!

Wszystko dokoła ożyło.

— I-o! I-o! — ozwało się w odpowiedzi.

— Evoe, Bachu! Naprzód, bachantki! Naprzód bachantki! W góry, w góry! Evoe!

Zabłysły pochodnie śród wiązów stoku północnego, śród drzew oliwnych stoku południowego, w zaroślach oleandrowych Erazynu. Zaroiły się dziwne postaci: młodzieńcy w skórach kozich, dziewczęta ze skórami łań, rzuconemi przez ramię, ściągniętemi pasem z wężów. Wszyscy wirowali, tańczyli śród ogłuszającej muzyki, w której trele fletów splatały się z hurgotem bębnów i brzmie-

niem miedzi. Coraz bliżej, coraz bliżej nadciągał oszalały tłum; wał piaszczysty już ogarnięty był przez nich ze wszystkich stron.

Ikarjos i Erygona stali, jak olśnieni, nie wiedząc, co się z nimi dzieje. Już nie tłum wirował w tańcu,—tańczyły wszystkie góry, tańczyły drzewa na górach i gwiazdy na niebie; wszystko w zawrotnem pląsało kole; przez cały obszar świata, zdawało się, toczy się falą niewstrzymaną ów dziwny, niepozbyty oszałamiający okrzyk:

— Evoe!

I coraz wyżej, wyżej piętrzyła się fala. Oto z pośród tłumu młodzieńców i dziewcząt złoty wysunął się wóz, zaprzężony w jakieś niewidziane dotąd, dzikie zwierzęta. Siedziała na nim pani przedziwnej piękności i królewskiego majestatu. Wóz skierował się wprost ku wałowi piasku.

— Tu, synu mój! Do mnie!

Djonizos zajął miejsce obok tej, która go wołała, łaskawie żegnając się skinieniem ręki z Ikarjosem i Erygoną. Wóz natychmiast pomknął w stronę Pentelikonu, wszystek upojony tłum popędził jego śladem. Wszystko znikło, jak sen, i tylko okrzyki: „I-o! Djonizos! I-o! Semela! Evoe! Evoe!“ rozlegały się od czasu do czasu z hal górskich, aż i one w końcu w nocnej rozpłynęły się ciszy.

IV.

Nadeszła zima, mroźna i jasna; dla mieszkańców osady nad Erazynem minęła ona tak samo, jak i wszystkie poprzednie. Gdy jednak błysło nad

nimi światło czwartej pełni miesięcznej, Ikarjos rzekł do córki:

— Czas wykonać zlecenie naszego gościa boskiego.

Nazajutrz po robocie udali się do wału piasczystego i odkopali jedną z trzech beczułek; przyniósłszy ją do siebie, odlali niedużą miarę w pękaty dzban, dodali trzy miary wody i napełnili mięszaniną dwa puhary.

Spożyli obiad, jak zazwyczaj; Ikarjos ujął swój puhar, nie odrazu wszakże podniósł go ku ustom.

— Djonizos rozkazał odśpiewać przed winem pean; któż nam go zaśpiewa?

— Ja zaśpiewam, rzekła Erygona.

— Ty? Alboż ty umiesz?

Erygona wstała i zaśpiewała, zwracając się do światła i wznosząc pobożnie ręce:

Zeusie, słysz!
Jeśli ten imienia dźwięk
Umiłował sobie bóg,
Tak go zwę, kimkolwiek jest.
W krąg daremnie szuka myśl:
Z czemże go porównać mam,
Okrom jednego li Zeusa, by z duszy swej ufnie
Zrzucić próżne brzemię dum.

Minął, zczezł
Ów, co ongi wielki był,
W nieprzepartą zbrojny moc;
Wieść, że był, przepadła z nim...
Chwycił drugi świata rząd —
Runął, gdy go trzeci zmógł...
Zeusa zwycięstwo kto sercem wysławia radosnem,
Ten mądrości posiadł skarb.

Ikarjos w niemym podziwie słuchał słów pieśni. Córka jego nagle wydała mu się jakaś inna. „Jak, jednakże, mało ją znałem!“ — przemknęło mu przez głowę.

— Kto nauczył cię, dziecko, tej pieśni?

— Śpiewak z Eleuzynu, ojcze.

— Zaśpiewaj jeszcze raz.

Erygona powtórzyła.

Ikarjos wsłuchiwał się w głębokomyślne słowa pieśni i sam sobie półgłosem je tłumaczył.

— Tak, tak, to — prawda. Zeus jest jeden dla wszystkich ludów; my zowiemy go Zeusem, inni zaś, jak kto umie. Tak, bogiem odwiecznym był Uran, bóg niepohamowanego zapładniania; postradał on moc, odkąd ziemię żywe zapełniły stworzenia. Tak, bogiem wtórym był Kronos, bóg błogiego, zwierzęcego istnienia bez celu; ten ustąpił miejsca Zeusowi, który obdarzył nas rozumem, sprawiedliwością i prawem. Tak, dziecinko, wszystko to prawda...

Strącił kilka kropel na ziemię.

— Zeusowi Olimpijskiemu! — rzekł. Erygona poszła za jego przykładem.

Po ulaniu tych kropel oboje nadpili wina z puharów i natychmiast zdali sobie sprawę z tego, że było to coś nowego, nie dającego się z niczem znanem porównać. I słodycz, i świeżość, i ognistość — a jednocześnie cudna jakaś omdlałość, jakiś skupiony aromat wilgotnej, pieściwej nocy letniej.

Pociągnęli jeszcze. Uczucie zdumienia przeszło, ustępując pola uczuciom nawyknienia. Myśli,

od nowego wrażenia zwolnione, wróciły do peanu śpiewaka eleuzyńskiego. Ikarjos tłumaczył go po swojemu; dla córki jego było wiele nowego w tem tłumaczeniu, w tem następstwie trzech pokoleń boskich. Chciwie słów jego słuchała, wtrącając niekiedy jakąś uwagę od siebie, lub pytanie. Tak, inna to była rozmowa, niż dawniej, gdy krótkiem słowem rozkazywał jej narwać klematysu dla kóz i potem pogrążał się znów w swą zwykłą posępną zadumę.

— Jak, jednakże mało znałam go dotychczas! pomyślała sobie.

Niebawem Ikarjos pierwszy puhar swój wychylił do dna. Podsunął go córce, i ta napełniła puhar po raz wtóry. Znów wylał odrobinę:

— Na cześć herosów i dusz umarłych!

Zwracając się zaś do Erygony, dodał:

— Niech żyje pamięć twojej matki, której ty, nieboga, nie znałaś nawet!

I spróbował wina.

— A jaka była matka moja? — spytała Erygona, i w tej chwili dziwnem się jej zdało, że po raz pierwszy w życiu zadaje mu to pytanie.

Popił jeszcze, poczem spojrzał na córkę: oczy jej błyszczały, krew rumieńcami grała na jej ogorzałych policzkach. Tak, taka była i *tamta*, gdy po raz pierwszy ją ujrzał w tanecznym orszaku Artemidy śród dziewcząt pteleońskich. Począł opisywać jej, jak to było, jak stała się jego żoną, jak szczęśliwe było ich życie — aż do owego dnia goryczy, gdy ta sama Artemida niewidzialną swą strzałą zgasiła światło jej oczu. Ile miłości, ile tkliwego

kochania taiło się w duszy tego człowieka — a ona nic o tem nie wiedziała!

Skończył się i drugi puhar; Erygona nalała ojcu trzeci.

— Na cześć Zeusa Zbawiciela! — rzekł, roniąc znów kilka kropel.

— Zeusie, słysz!... powtórzył w zadumie.

— Powiedz mi też, córko, czy dużo umiesz takich pieśni?

Erygona poweselała w okamgnieniu.

— Z pośród nabożnych umiem jeszcze pieśń o Palladzie: *Bądź pochwalona, córo Gromowładcy*, którą król Pandjon kazał śpiewać podczas uroczystości Panatenejów; potem: *Demetro, królowo misterjów niepokalanych, wysłuchaj mnie...*, potem: *Artemido, światło nocy...*; potem jeszcze o Djonizosie.

— O Djonizosie? A któż mógł cię nauczyć, skoro on nikomu jeszcze się nie objawiał prócz nas obojga.

— Ułożyłam sama.

Ikarjos z zachwytem patrzał na córkę; czuł, że przepada za nią.

— A jakie znasz jeszcze?

— Znam jeszcze taneczne: *Wyjrzyj, o, wyjrzyj, jasne słoneczko!...* i *Gdyby mi lirą być dźwięczną, wzorzystą...* i *Gdzież wy, fijołki, gdzież wy, róże moje...*

— A znasz miłosne? — spytał, uśmiechając się figlarnie.

— Znam i miłosne, — odrzekła, śmiejąc się, ale śpiewać ich nie będę.

Spojrzał w swój puhar, pozostawało tam ły-

ków już niewiele. Żal mu było rozstawać się; zdało mu się, że teraz dopiero doszedł smaku. Lecz przykazanie boga było niezłomne.

— Bo też i nie trzeba mi pieśni miłosnych— odparł wesoło. Ty zaś, na ostatek, zaśpiewaj tę pieśń dziękczyną ku czci Djonizosa, coś ją sama ułożyła.

— Zaśpiewam tylko jedną zwrotkę, rzeka Erygona, pieszczotliwie patrząc na ojca, tę, która sama przez się powstała w moich myślach przed chwilą.

Podniosła się i zaśpiewała:

Bóg rad wita gwar biesiady,
Cieszy go wesela czas,
Lecz najbardziej rad Irenie,
Mir niosącej wpośród nas.
Wstań, samotny pustelniku,
Zbądź goryczy, trosk i trwóg,
Wszystko, co nas dzielić mogło,
Djoniz czarem nowym zmógł.

Ikarjos wstał, uścisnął ją i tkliwie, tkliwie pocałował. Oboje uczuli, że pocałunek ten wynagradza ich za lata wyrzeczeń i samotności, że dopiero teraz stali się dla siebie ojcem i córką.

— Śpij słodko, córuchno! — rzekł jej na dobranoc.—Jutro zaś, o! jutro zacznie się nowe życie.

V.

Jednakże sam spał nieszczególnie; myśli o córce spędzały sen z jego powiek. Inne w jej wieku dziewczęta pląsały w kołach tanecznych,

obchodząc święta Artemidy; tam widywali je młodzieńcy, wypatrujący sobie narzeczonych. Jej zaś uroda kwitła samotnie, w odległym futorze i równie samotnie przekwitnie.

Trzeba to zmienić; niechaj i ona odtąd chodzi odwiedzać rówieśnice swe do Maratonu, Pteleonu lub innego z miast Czworogrodzia. Ale co począć z gospodarstwem? Wypadnie nająć robotnicę w Maratonie, albo — jeszcze lepiej — nabyć niewolnicę. Nająć, nabyć... tak, lecz do tego potrzebne są pieniądze, a skądże ich wziąć? Powiedz, Djonizosie!

Tak... ależ przecie nie na to objawił mu się Djonizos, by miał dar jego ukrywać. Pójdzie on po Attyce, jako jego poseł, tak, jak ongi chodził Tryptolemos z poselstwem Demetry. Naukę, rozumie się, opowiadać będzie bezpłatnie, lecz wino swe, swe dobro sprzedać może bez obawy grzechu. Wszak ma u siebie jeszcze dwie beczułki nietknięte, a i trzecia jest prawie cała.

Nazajutrz, ledwie zarumieniła się zorza, spotkała go na progu inna zorza — Erygona.

— Witaj i żegnaj zarazem, córko, — rzekł do niej Ikarjos: — idę między ludzi z wieścią o bogu, dobroczyńcy naszym.

— Jakto? Już?

— Tak, córko, bóg tak każe. Przynieś dwa mieszki kozie, przelejemy w nie zawartość rozpoczętej wczora beczułki, załadujemy je na osła — i w drogę!

Erygona ze smutkiem spełniła to żądanie; nie miała ochoty puszczać ojca w drogę.

— Ojcze! serce mi wróży coś niedobrego.

Wspomnij, wszak i Tryptolemos omal nie zginął z rąk króla Scytów, któremu dar swój przyniósł!

— To było u Scytów, córko, acz i tam nie opuściła go Demetra. Ja zaś idę do Hellenów, do ziomków; więc czegóż mam się bać?

Jednakże Mera podzielała snadź niepokój swej pani. Z wyrazem najwyższej niechęci śledziła przygotowania i wciąż patrzyła na nią z wyrzutem: czyżbyś, zdawała się pytać, miała go puścić w podróż? Skoro zaś Ikarjos, pożegnawszy się z córką, pognał osła wzdłuż Erazynu, suka ponownie pytająco popatrzała na nią. Erygona skinęła głową, — i Mera z piskiem żałosnym popędziła, aby dogonić swego pana.

— Idź, idź, moja ulubienico, będziesz mu potrzebniejsza: — pomyślała sobie Erygona.— O, Djonizosie, Djonizosie! Wczoraj zaledwie poznałam złote jego serce — i już rozłąka! Cóż, pracować będę za troje, — myślała nadal z uśmiechem, — za niego, za siebie, i za Merę. Teraz tembardziej nie pozwolę ja wam, moje kózki, skubać pędów naszej łozy winnej.

VI.

Ikarjos szybkiemi kroki szedł wdół za łożyskiem Erazynu, o tej porze bardzo obfitego w wody. Ujrzawszy, że Mera zamierza mu towarzyszyć, chciał ją zrazu odegnać; wszystkie atoli groźby i nawet uderzenia były daremne, machnął więc na nią ręką.

Erazyn w tej okolicy czas pewien płynie mię-

dzy dwoma wzgórzami ku północo-wschodowi, poczem, dostawszy się na równinę, zawraca nagle na południo-wschód, tworząc bagno maratońskie, to bagno złowieszcze, w którem po wielu stuleciach zginąć miało wojsko perskie. Stąd widać już modrą toń morza, i coraz częściej spotyka się tu znamienne dla Maratonu sitowie, *phleôs*, z którego rybacy jego pletli swe niewody.

Doszedłszy do zakrętu ruczaju, Ikarjos zatrzymał się. Czy ma pójść do Maratonu? Było to jego zamiarem pierwotnym; pod wpływem atoli wspomnień wczorajszych, zapragnął dar swój złożyć nasamprzód rodzinnemu miastu żony swej, Pteleonowi, w którem nie był ani razu od czasu jej śmierci. Porzuciwszy łożysko Erazynu, udał się w dalszym ciągu na północo-wschód.

Wprędce doszedł do pagórka z gajem wiązowym, który nadał imię wiosce — „Pteleon“ znaczy „Wiązownia“. Pamiętał ją doskonale: wszak tam zobaczył po raz pierwszy swą żonę w tanecznem kole Artemidy. Gaj był ten sam; lecz... cóż to? Czy złudzenie słuchu? Nie, i koło taneczne to samo; dźwięki fletu, śmiech dziewic, pieśni. Zostawił osła pod strażą Mery i cicho, ukrywając się za garbami roli, podkradł się ku gajowi.

Tam, rzeczywiście, tańczyły i śpiewały dziewczęta: to dzieliły się na dwa półchóry, to wszystkie społem, to po jednej. Uroczysta część nabożeństwa była już snadź skończona; młode czcicielki Artemidy bawiły się między sobą. Przykucnąwszy za drzewem, Ikarjos mógł był wyraźnie słyszeć pieśń jednego półchóru:

Dumą lśni Filomeli wzrok:
„Piękna, młoda. urocza!"
Nad czołem bielszem ponad śnieg
Złotem gra blask warkocza.
Istna królowa z niej!... Lecz nie!
Płomienniej nad zórz świty
Rumieniec Ifinoji lic
Tchnie żarem Arodyty.

Teraz drugi półchór dał znać o sobie:

Precz z żartami! Popatrzcie tu:
Widzicie cud urody?
Śliczniejszej nie zna cały świat
Od Antjaniry młodej.
Tak nas Heljosa ślepi blask
Pośród niebios wyżyny.
Lecz przy niej, jak miesięczna jaśń,
W dzięk jaśnieje Korynny.

Półchóry w nieładzie pozornym zamieniły niektóre głosy;

A cóż inne? Powiedzcie nam:
Czyż oka nie zachwyca,
Wysmukłej Nikorydy płeć,
Nikandry gładkość lica?
Czy zagasł Androtymy wzrok?
Czy wdziękiem nie podbija
Dorodna kibić Kallistò,
Albo Pandory szyja?

Nakoniec, wszystkie, połączywszy się w jeden chór zgodny, pobożnie wzniosły ręce ku niebiosom i zaśpiewały razem:

Wszystkie są piękne, wszystkie – lecz
W zawody niech nie idą
Z tobą, królowo naszych pól,
Dziewico, Artemido!

Wejrzyj na swych czcicielek rój,
I z niebieskiego tronu,
Bogini, w stałej pieczy miej
Ziem i lud Pteleonu!

VII.

Ikarjos w niemym zachwycie dosłuchał pieśni do końca: zdawało mu się, że o dwadzieścia lat odmłodniał. Gdy umilkły już głosy ostatnie, wyszedł z poza drzewa, za którem się ukrywał, i rzekł głośno:

— Ślicznotki moje, a która z was wskaże mi drogę do leschy pteleończyków? Śpieszę do nich w sprawie narodowej.

Dziewczęta wydały zrazu pisk przerażenia, szybko atoli ochłonęły, zobaczywszy poczciwego włościjanina, wdzięcznie uśmiechniętego, z poważną siwizną we włosach i w brodzie. Filomela, która, jako córa demarchy, poczuwała się do przewodnictwa w tem gronie odważyła się nawet na pewną uszczypliwość słowa:

— A czy to godzi się gościu, wedle obyczaju helleńskiego, podpatrywać nabożeństwa Artemidy i podsłuchiwać pieśni jej dziewic?

— Niechże mi łaski swej nie okaże potężna córa Zeusa, skoro miałem choć odrobinę złej woli! Nie, ślicznotki moje, ja się poprostu zapatrzyłem na was: wszak i ja też mam córkę w waszym wieku, i przez cały czas myslałem o tem, jak dobrze byłoby jej śpiewać i pląsać z wami.

Filomela w jednej chwili przeszła od gniewu do przyjaźni:

— I my będziemy jej rade, gościu, jeśli jest ona tak samo uprzejma, jak ty.

— Ale powiedzcie, młódki, na jaką intencję święcicie te obrzędy pobożne?

Teraz, Antjanira, przewodniczka drugiego połchóru, postanowiwszy, że jej współzawodnice dość się już popisały, wmieszała się do rozmowy:

— Jakto, gościu, czy nie wiesz, że w tym roku, za cztery pełnie miesięczne czeka nas święto Artemidy Braurońskiej? Wszystkie miasta Attyki wysyłają do Brauronu swe dziewice, aby tam stały się świętemi „niedźwiedzicami“ dzielnej bogini i zjednały jej łaskę dla małżeństwa; więc też i my nie chcemy zostać w tyle.

— I mówią jeszcze, — dodała czarnooka Androtyma, — że sama królowa Zeuksyppa zjedzie do Brauronu i będzie wieńce rozdawała. Co prawda, Brauron nie podlega królom ateńskim, lecz w imię zgody gród Artemidy pragnie w ten sposób uczcić miasto Pallady.

— Niechże was bogini ma w swej łasce i niech da wam zwycięstwo nad córami Brauronu i nad wszystkiemi innemi.

— Ano, nie tak łatwo to przyjdzie, — wtrąciła swoje Korynna: — nazbyt są one uczone. Zato trykorytjanki spodziewamy się pobić na głowę!

Wszystkie wybuchły śmiechem.

— Brzęczcie sobie, ile chcecie, komarzyce trykoryckie, a nam nie dorównacie!

Ikarjos uśmiechnął się. Trykoryt był to sąsiad najbliższy Pteleonu; współzawodnictwo tedy najsilniej tu występowało. Położony śród bagna,

niemało cierpiał od komarów, jakkolwiek, prawdę powiedziawszy, dawały się one we znaki także i Pteleonowi.

— A któż — podjął Ikarjos — ułożył wam tę pieśń wesołą? Widocznie nie z obcych stron pochodzi, skoro was zna tak dobrze.

— Oto jej ojciec, z naciskiem oświadczyła Filomela, wskazując na Likorydę: nasz śpiewak rodzimy, Tespis. Czyś nie słyszał o nim? Słynie on po całem Czworogrodziu, a spodziewam się, że i po całej Attyce.

— Rad będę go poznać, zacne niedźwiedzice, i dlatego jeszcze raz proszę, aby która z was poprowadziła mię do leschy pteleońskiej.

— Czemu nie, z ochotą, — odpowiedziała Filomela. Dziewczęta, która poprowadzi gościa do naszych ojców?

Zwracała się do wszystkich, jednakże wzrok jej spoczywał na Ifinoi. Ifinoja była niezawodnie najśliczniejsza ze wszystkich, ustępowała atoli pierszeństwa Filomeli dlatego, że ta była córką demarchy, gdy ona była dziewczyną ubogą, córka Filochora. W innych okolicznościach nie dostałaby się ona do chóru Artemidy już dla tej prostej przyczyny, że nie miałaby za co się ubrać; jednakże towarzyszki bardzo ją kochały i za jej urodę i za wdzięczne jej usposobienie, i dlatego nie tylko stroiły ją ze swych składek, ale i wykupywały ją niekiedy u ojca, gdy ten w święto pędził ją na robotę. Usługi te, oczywista, sprowadzały w skutku pewną zależność od towarzyszek; Ifinoja rozumiała to doskonale.

— Jestem gotowa, — rzekła skromnie.

Ikarjos, pożegnawszy dziewczęta, zszedł wraz z Ifinoją na drogę pteleońską, kędy zostawił osła i Merę.

— Z córkami, rzec mogę, zaprzyjaźniłem się niezgorzej, rzekł sam do siebie: — zobaczmy-ż, co powiedzą ojcowie.

VIII.

W łonie leschy sprawy szły nietęgo. Nowa kapłanka Artemidy Pteleońskiej, żona Tespisa, zażądała przez męża, aby zwrócono bogini jej świętą łąkę, która wskutek zaniedbania jej poprzedniczki, zamieniona została stopniowo na wygon miejski. Powstały stąd gorące spory: ogół z niechęcią myślał o uszczupleniu dochodów miasta, lecz obawiał się również gniewu bogini. Eurykrates, ojciec znanej nam Antjaniry, radził, aby zwrócić się o rozstrzygnięcie do Apollina w Delfach. Wtenczas nicpoń Filochoros zuchwale odparł, że znaczyłoby to tyleż, co zgóry uznać sprawę za przegraną: „Z pewnością, rzekł, brat nie wystąpi przeciw siostrze". Tespis, gniewnie pięścią w stół uderzywszy, zażądał, aby wydalono Filochora natychmiast: „Jeżeli będziemy w swojem gronie znosić bezbożników, zginiemy wszyscy niechybnie!"

Filochor trudnił się splataniem sznurów z fleosu; na tej zasadzie podawał się za demjurga (rzemieślnika) i, jako człek wymowny, zdobył sobie dostęp do rady; jednakże wszyscy uważali go za nicponia. Schlebiał on zazwyczaj demarsze, gdy

innych jednocześnie rozśmieszał wesołym dowcipem. Ostatni atoli jego wybryk oburzył wszystkich, i Filochoros struchlał nie na żarty.

W tej chwili weszła do leschy córka jego Ifinoja, prowadząc Ikarjosa.

— Przywiodłam wam gościa: — oświadczyła głośno.

Nastrój, z uwagi na to, co się stalo, był niezbyt gościnny; ktoś warknął nawet, że gość nieproszony gorszy jest od centaura. Lecz Tespis mu przerwał:

— Mężowie pteleońscy, pamiętajcie o prawie wszechhelleńskiem! Głos ma demarcha!

Demarcha Stesagor uznał za stosowne przemówić do przybysza:

— Szczęść ci boże, przybyszu, lecz ugościmy cię nieco później: obecnie mamy pilną i trudną sprawę.

— Pozdrowienie mężom pteleońskim! — rzekł Ikarjos. — Przychodzę ja nie w gościnę, lecz z gościną do was, za bożem wezwaniem; nie zaszkodzi ona sprawie waszej, ale, przeciwnie, pomoże wam ją rozstrzygnąć.

Słowo „za bożem wezwaniem“ w związku z czcigodnym wyglądem przybysza wywołało powszechną uwagę.

— Doskonale! — pośpieszył oznajmić Filochoros, rad, że uwaga została odeń odwrócona. — Należy zawsze słuchać bogów. Ale gdzie jest ów twój gościniec?

— Za drzwiami; ale do tego potrzebne są: duży dzban, woda i tyle pucharów, ilu was tu obecnych.

Rozumie się, że po to wszystko pobiec musiał Filochor. Gdy dostarczył tych rzeczy, Ikarjos odwiązał jeden ze swych mieszków i położył go przed sobą na stole.

— Od Zeusa początek!—oznajmił uroczyście.— Kto z was zaintonuje pean?

— Zaśpiewam ja, — rzekła Ifinoja.

I zaczęła:

Zeus wprowadził ludzki ród
Na rozumu drogę: „cierp
I cierpieniem ucz się" — rzekł...
Cisza wkrąg —
Śpisz, lecz nie śpi pamięć win,
Kropla drąży serca rdzeń...
Sobie wbrew
Sprawiedliwym stać się masz,
Łaską darzy bóg, a przecie
Silna dłoń
Święty dzierży świata ster.

Ikarjos był zdumiony.

— Skąd znasz tę pieśń? — szeptem spytał śpiewaczki: — Ten sam rytm, ta sama melodja, co u mojej Erygony.

— Bo też ja u niej się uczyłam — odszepnęła dziewczyna.—Byłam raz u niej, aby sprzedać zwój sznurow za miarkę oliwy, i na dodatek otrzymałam tę pieśń.

To mówiąc, odeszła. Ikarjos, przysposobiwszy przepisaną mieszaninę, napełnił puhary:

— Zeusowi Olimpijskiemu!—rzekł, spełniając ofiarę: — ofiarujcie i wy, przyjaciele!

Wszyscy usłuchali. Wino tak dalece nęciło ich swą nowością, że podczas pierwszego puharu

nie było o niczem innem mowy. Wszyscy wypili skwapliwie, najskwapliwiej zaś Filochoros.

Przyszła kolej na drugi puhar.

— Ku czci herosów i dusz umarłych! — rzekł Ikarjos, powtórnie ulewając wina. I dodał:—Niech żyje pamięć Klearysty, żony mojej. Była rodaczką waszą, mężowie pteleońscy.

— Była siostrą moją,—radośnie zawołał Eurykrates. — Witaj, szwagrze! Nie poznałem cię po latach dwudziestu. Zabawisz chyba u mnie w gościnie; chciałbym pokazać ci twych bratanków, Ferekratesa i Antjanirę.

— Rad będę ich widzieć; z Antjanirą, zresztą, już się zaznajomiłem, i dumny jestem, że mam taką bratanicę. Z moją Erygoną świetną stanowi parę.

Wywiązała się rozmowa o dawnych czasach. Inni jęli wspominać — każdy o swych nieboszczykach. Dały się słyszeć okrzyki: „Pamięci Kedona!“ „Pamięci Eubuliny!“ „Pamięci Erasynida“.

— Czy nie należałoby jednak wrócić do sprawy, przyjaciele?—wystąpił Tespis. Artemida wciąż na naszą czeka odpowiedź. Ty, Filochorze, coś to tam za głupstwo wprzódy palnął, szalona głowo!

Wszyscy się roześmieli; z dawnego gniewu nie zostało ani śladu.

— Nie to, zupełnie, com chciał był powiedzieć. Chciałem zaś powiedzieć rzecz następującą. Przez usta Apollina, oczywiście, wieści sama Prawda; oby wszakże jego kapłan w Delfach na korzyść kapłanki słów jego nie wypaczył!

— Słusznie mówi, — ozwał się Kallias, ojciec Kallisto.

W tej chwili demarcha uderzył dłonią w stół.

— Pamięci Androbula, ojca mego! Mądry to był doradca; nie godzien jestem rozwiązać mu nawet trzewika. Lecz teraz duch jego jakgdyby zamieszkał we mnie. Posłuchajcie, mężowie pteleońscy, jaką wam daję radę. Weźmiemy dwie zupełnie równe blaszki ołowiane; na jednej wydrapiemy „zwrócić“, na drugiej „nie zwracać“. Blaszki te zwiniemy i, pomieszawszy, wrzucimy jedną do złotej, drugą do srebrnej kruży, zalejemy woskiem, zapieczętujemy i postawimy w świątyni Artemidy. Do Apollina zaś poślemy z zapytaniem takiem: jak należy nam postąpić, czy wedle złotej, czy też wedle srebrnej kruży?

— Ja się nie sprzeciwiam,—niechętnie ozwał się Tespis. Pozostali wszakże byli poprostu zachwyceni, najwięcej zaś ze wszystkich Filochoros.

— Oto rada mądra! — wołał.—Niech żyje demarcha Stezagor! Niech żyje wiecznie pamięć Androbula!

Wszyscy spełnili puhary. Wypadło Ikarjosowi napełnić trzeci.

— Zeusowi-Zbawicielowi! Pijcie mężowie; trzeci to puhar i ostatni!

— Chwała Zeusowi-Zbawicielowi!—rzekł Stezagor. Ten puhar jeszcze smaczniejszy jest od dwu pierwszych.

Jednym ciągiem wychylił do połowy.

— I wiecie mężowie, co wam powiem: jakkolwiek podobała się wam moja rada, jednakże, sam ja, pomyślawszy głębiej, cofam ją. Dostrzegłem, Tespisie, że ty przystałeś na nią wbrew

woli; a na odczuciu twojem bardzo mi zależy, ulubieńcze bogów. I myślę teraz tak: nie godzi się nam wszczynać sporu z Artemidą, opiekunką naszą. Zwróćmy jej tę łąkę, którą poświęcili jej przodkowie nasi, ona zaś błogosławić będzie reszcie łąk naszych.

— W samej rzeczy, zwróćmy!—poparli myśl tę inni. Z bogami lepiej jest żyć w zgodzie.

...Lecz najbardziej rad Irenie,
Mir niosącej wpośród nas...

Zanucił półgłosem Ikarjos.

— Ano, na cześć pokoju wypić należy!—śmiele wystąpił Filochoros.—Dalej, gościu, nalewaj czwarty puhar!

— Mężowie, niemożna! *Puhar czwarty jest puharem Krzywdy!*

— Jakiej tam znów krzywdy? Krzywda stanie się nam, gdy nam w gardle zaschnie.

— Rzekłem, niemożna! A i dzban już pusty.

— To go napełnij!

— Już wszystko wylałem z mieszka.

— Ach, ty, oszuście! Masz przecie drugi jeszcze mieszek. Sam widziałem, gdym chodził po naczynia.

Ikarjos zakłopotał się: dostrzegł, że otaczający nie po jego są stronie i patrzą nań, niby na złodzieja, na gorącym złapanego uczynku.

— Ten drugi mieszek jest nie dla was. Muszę odwieźć go do Trykorytu.

— Co? Chcesz trykorytjan raczyć? I to ma być krewny! Nie bracie, skoro naszym jesteś kre-

wniakiem, tedy nas ugaszczaj, a trykorytjanie niech sobie chłepcą swe błoto komarowe!

Pteleończycy wybuchli rubasznym śmiechem. Widząc Filochor, że znalazł poparcie, wybiegł z leschy i wprędce wrócił z mieszkiem w ręku, głośno przez wszystkich witany, z wyjątkiem demarchy, Tespisa i Eurykratesa.

IX.

Demarcha uderzył ręką w stół. Kłócić się ze swoimi nie chciał, tembardziej, że i sam był nie od tego, aby wypić, jednakże nie mógł pozwolić na gwałt.

— Słuchajcie, mężowie pteleońscy! Niewolno zabierać przemocą cudzego mienia. Ikarjos ugościł nas, jako krewny, i dzięki mu za to.

Odwiązał pasa i dobył z sakiewki srebrną tetradrachmę z wizerunkiem sowy.

— Kto chce wina, niech pójdzie za moim przykładem.

Wszyscy usłuchali, prócz Tespisa, Eurykratesa i, oczywiście, Filochora. Dały się słyszeć głosy uznania:

— Nie, pocóż człowieka gwałcić? alboż jesteśmy centaury?

Przed Ikarjosem wyrosła nieduża gramadka srebra.

Pokiwał głową.

— Nie zrozumieliście mnie. Chętnie ugościłbym was i bez zapłaty,—ale zrozumiejcie, nie mogę. Bóg nie każe.

— Zrozumiałem, że jednej tetradrachmy ci mało, z urazą i niecierpliwością odparł demarcha. Zgoda: masz jeszcze po jednej, skoro jesteś tak chciwy.

Gromadka srebra przed Ikarjosem powiększyła się wdwójnasób; Ikarjos z tajonem uczuciem zadowolenia patrzył, jak sówki Ateny gromadziły się jedna nad drugą, niby kury na grzędzie. Myślał o Erygonie. Oto, skąd zyska dla niej stroje, tańce, zamężcie, wczasy... Coprawda, zakaz Djonizosa nie daje mu pokoju. Ale cóż począć? Skoro sami tego pragną. Tak czy inaczej, siłą zabiorą.

Machnął ręką.

— Niech będzie, jak chcecie. Dajcie dzbanek!

Lecz Filochoros, dumny ze zwycięstwa, nie ustępował.

— Po co dzbanek? Czy mało wody nażłopaliśmy się w życiu? Nalewaj wprost w puhary!

— Rzeczywiście, nalewaj odrazu,—potwierdził Demarcha. Nierozcieńczone, bodaj, będzie jeszcze smaczniejsze.

— Lej, a pełno!

Ikarjos z westchnieniem usłuchał. Inni także wyciągnęli ku niemu swe puste puhary.

Gdy napełnił wszystkie, poczęli pić bez uczynienia ofiary. Tęgie wino wlało się płynnym ogniem w ich żyły. Spoglądali wzajem po sobie, spoglądali na Ikarjosa, lecz wzrok ich był już inny, skrzyła się w nim jakaś bezprzedmiotowa, tłumiona złość. Widać było, że szukają jeno powodu, aby dać jej folgę.

Powód mimowoli nastręczył Tespis.

— Przyjaciele,—rzekł,—czyby nie należało dopełnić naszego postanowienia? Wnoszę, aby polecić pisarzowi wyrzezanie postanowienia tego na dwu tablicach; jedną postawimy na rynku, drugą— w świątyni Artemidy.

— Co ci tak pilno,—odciął się Kallias. — Pozwól rzecz obmyśleć, jak należy.

— Pocóż jeszcze obmyślać? Wszak już powzięliśmy postanowienie.

— Niceśmy nie powzięli; powstał poprostu wniosek.

— Oczywista, wniosek, — potwierdził demarcha. Albożjestem tyranem? Wszyscy jesteśmy równi.

— Bo i równi. Niech żyje równość!

Znowu wypili. Płynny ogień ze świeżą siłą zahuczał w żyłach i jaskrawym wystąpił rumieńcem na policzkach.

— Ty, Tespisie, nie pijesz z nami, więc i głosu nie zabieraj!

— Nie zgadzamy się na oddanie łąki. Na co łąka Artemidzie? Alboż to mało ma kwiatów na skłonach Olimpu?

— Słusznie!

— Ano, cóż? Odłóżmy sprawę, — rzekł z westchnieniem Tespis.

— Patrzcie-no go! Sam żądał zakończenia sprawy, a teraz — „odłóżmy"!

— Poco odkładać? Zakończyć, to i zakończyć. Żonie twojej—figa! Niech pisarz tak właśnie zapisze!

— Ale koniecznie na dwu tablicach!

— Cha, cha, cha!

— A teraz zapijmy naszą zgodę. Ikarjosie, dolewaj!

I, nie czekając na jego zgodę, wyrwano mu z rąk do połowy opróżniony mieszek. Dla wszystkich starczyło jeszcze po puharze. Resztę zabrał demarcha i nie puszczał.

Ozwało się szemranie. Demarcha groźnie walnął pięścią w stół:

— Ja jestem demarchą! Kto przeciwko mnie?

— Ot, macie równość!

— Co??

Obrzucił obecnych dzikiem wejrzeniem swych wybałuszonych, krwią nabiegłych, oczu. Ikarjosa ogarnął przestrach: wydało mu się, że ma przed sobą rozjuszonego byka. Pomyślał o tem, aby ujść coprędzej; kusiła go atoli gromadka srebra, leżąca przed nim. Do sakiewki nie zmieści, a jeśli odejdzie tak, rozgrabią. A możeby poprosić Eurykratesa albo Tespisa? Lecz na tych dwu i tak wszyscy patrzyli z podełba. Nie, lepiejby było postarać się o niezwrócenie na siebie uwagi.

Filochoros, zlekka się zataczając, podszedł do demarchy.

— Szczerą prawdę powiadasz! Czem Pandjon jest w Atenach, tem ty pośród nas.

I, nadstawiając swego pustego puharu:

— Wszyscy królowie nagradzają swoje wierne sługi.

— Pójdź precz!

Lecz Filochoros nie miał sił, by odejść. Czuł, że go paliło, że należało zalać ten ogień wewnętrzny, i poza tem nie czuł nic więcej.

— Ojcze mój, zbawco mój, boże mój! Nalej mi puhar! Bierz całe moje mienie, ale nalej!

— Całe twoje mienie, a to mi dopiero! Cóż to za mienie poza sznurami? Schowaj te sznury dla siebie, bo nie będziesz miał na czem się powiesić!

Ten i ów się roześmiał, lecz większość zatraciła już zdolność pojmowania.

— Bierz wszystko...

— Ale cóż to mam brać?

— Żonę bierz...

Czy rozumiał, co mówił? Chyba nie. Wszak nie czuł on już nic po za tem, że powinienby zalać ów ogień za wszelką cenę. Ale demarcha zachował jeszcze przytomność. Rubasznie roześmiał się na całe gardło:

— Starą babę? Nie kochaneńku, zatrzymaj ją sobie. To—także pętlica.Nawet darmobym nie wziął.

I nagle, jakgdyby olśniła go błyskawica:

— Ot, wiesz co?... Odstąp mi swą córeczkę. Wtenczas, i owszem!...

Stezagoras był mężem sprawiedliwym i rozsądnym. Ifinoję kochał po ojcowsku i chętnie widywał ją w towarzystwie swej własnej córki Filomeli. Ale teraz i jego pożerał ten sam ogień wewnętrzny. W łunie tego ognia dziewczyna stanęła nagle przed nim w całej swej urodzie, taka, jaką widział niedawno, gdy śpiewała pean Erygony — i wszystkie chuci jego runęły na jej postać. Tak, wprzódziej tego nie rozumiał, lecz teraz rozumie: tej dziewczyny pragnie, tę dziewczynę mieć musi, mieć musi za wszelką cenę, mieć musi natychmiast.

Popatrzył na Filochora owym wzrokiem swoim, wzrokiem rozjuszonego byka.

— No, co? Wzamian za córkę?

Gdyby Filochoros odrzekł był „nie“, zabiłby go był z pewnością.

— Za Ifinoję?... — wybełkotał nieszczęśnik, cofając się.

Na okamgnienie ocknęły się w nim resztki jego godności ojcowskiej, obywatelskiej, człowieczej. Ale tylko na mgnienie oka. Spoglądał on bezradnie to na twarz zezwierzęconą demarchy, to na mieszek w jego ręku, — i nagle stanowczo podsunął puhar:

— Zgoda. Lej!

— Przyprowadzisz mi ją dziś jeszcze. Przysięgnij!

— Przysięgam. Nalewaj!

Demarcha nalał mu w puhar wina. Filochoros chciwie podjął go ku ustom, gdy wtem czyjaś dłoń wytrąciła mu puhar z ręki. Przed nim stał Tespis.

— Filochorze, czyś ty zmysły postradał? Bogowie takiej przysięgi nie przyjmują. A tobie, demarcho, wstyd wyzyskiwać nieprzytomność oszalałego człowieka.

— Co? — ryknął demarcha, waląc pięścią w stół. — Jestem demarchą. Kto przeciwko mnie?

Tym razem jednak przekrzyczał go Filochoros.

— Moje mienie! Uczynię, co mi się podoba. Ja spłodzilem, nie ty! Do mnie należy! Choćbym nawet...

Z ust obłąkańca pociekła taka sprośność, że Tespis, uszy zatykając, wyszedł.

Kierując się ku wyjściu, natknął się na Eurykratesa.

— Postaraj się wyprowadzić Ikarjosa,—rzekł doń: —jest to twój szwagier. Ja zaś idę uprzedzić swoją Likorydę — niech przyprowadzi Ifinoję do nas. W razie potrzeby zwołam zgromadzenie ludowe. Nie poto obraliśmy go demarchą, by nam obywatelki nasze sromocił; chwała bogom, nie żyjemy we Frygji!

Eurykrates usiłował dotrzeć do Ikarjosa; nie była to wszakże rzecz łatwa.

Filochoros, wściekły, że nie dano mu się napić, szukał zaczepki z właścicielem fatalnego mieszka. Zaledwie mógł słowa wymawiać, lecz widać było, że dusi go złość.

— Złodziej, rabuś! Widzicie go, ile sów zagarnął.

— No, twoich w każdym razie jest tu niewiele, — zawołał ktoś z obecnych.

Inni atoli stanęli po jego stronie.

— Cóż, że nie jego? Zato wszystkie są nasze!

— Ja trzymam z narodem,— ciągnął Filochoros.—Ja zawsze z narodem! Złodziej, rabuś! Oddaj, coś nagrabił!

Wyciągnął rękę ku srebru, lecz, straciwszy równowagę, powalił się na glinianą podłogę i legł nieruchomy, jak kłoda.

Wszyscy osłupieli: nigdy jeszcze nic podobnego nie widzieli.

— Co to? Umarł?

— Naprawdę, umarł.

— Hej, demarcho! Filohoros umarł.

Demarcha, który przed chwilą dopił był ostatnich kropel wina wprost z mieszka, ociężale powstał z miejca.

— Ja jestem demarchą! — ksztusił: — kto przeciwko mnie?

Chciał podejść do miejsca, kędy leżał Filochoros, lecz nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Zachwiał się.

— Co się dzieje, mężowie! Snadź i mnie przyjdzie umierać.

— I nam! I nam!—ozwały się krzyki innych.— Wszyscy jesteśmy potruci!

— Truciciel! Truciciel!

Demarcha, silny jak byk, chwycił marmurowy blat stołu, obficie winem zlany; inni uzbroili się w laski. Wszyscy rzucili się na Ikarjosa.

Puhar Krzywdy dokonał swego.

X.

Erygona siedziała na swem miejscu zwykłem i przędła. Wszystkie myśli jej były przy ojcu.

— Jak go tam teraz wszyscy honorują, jako zwiastuna łaski bożej i bożej Ireny! O, Djonizosie, bądź błogosławion za swe przyjście! Teraz, teraz zakwitnie osada nad Erazynem.

Wtem wydało się jej, że ktoś zzewnątrz jakgdyby drapie do drzwi wejściowych. Jęła nadsłuchiwać: drapanie powtórzyło się jednocześnie z jakiemś żałosnem skomleniem.

Pobiegła otworzyć drzwi. Mera! Co to znaczy? Smutnie zwiesiwszy uszy i ogon i jakby sku-

liwszy się w sobie, wierna suka podpełzła do stóp swej pani.

Pod Erygoną ugięły się kolana.

— Mera! Gdzie ojciec?

Suka wskazała mordą ku wyjściu. Erygona opuściła głowę.

— Cóż? Skoro iść, więc pójdę.

Wyszła, drzwi zostawiając otwarte. Zszedłszy do Erazynu, skierowała się w dół za jego prądem. Zrazu szła w tępem jakowemś zapomnieniu, z głową opuszczoną. Potem, głowę podniósłszy, ujrzała słońce, chmurami otoczone.

— Heljosie, powiedz! Czy ojciec mój żyje?

Chmury coraz bardziej gęstniały wokół słońca, wreszcie przesłoniły je zupełnie.

Wtenczas splotła ręce na głowie i jęła zawodzić. Przechodzący, węglarze pentelikońscy, trwożnie spoglądali ku niej: nie były to słowa, był to przeciągły jęk. Zwolna jednak jęk ów począł oblekać się w słowa:

Czemu szumisz, falo Erazynu,
Czemu ból mój zagłuszasz i żal?...

Sama na ludzi i na ich wołania uwagi nie zwracała.

Doszedłszy do zakrętu, gdzie ruczaj zawraca na południo-wschód, Erygona również zwróciła kroki w tę stronę, nie bacząc na szczekanie Mery, która w innym wołała ją kierunku. Była pewna, że ojciec przedewszystkiem udał się do Maratonu.

Jednakże, nie doszedłszy do miasta, nagle przystanęła. Otoczyła ją gromada włościjan i wło-

ścijanek, lecz ona nie poznawała nikogo. Zwracała się do jakiejś osoby, dla innych niewidzialnej. Tylko Mera osobę tę czuła i skomlała cicho.

— Dzięki ci, łaskawy! Wiedziałam, że nie zapomnisz o mnie. A więc tam go niema? Jest tam? A dusza jego jest u ciebie? I dusza matki także? I ja zobaczę ich oboje?

— Patrzcie, uśmiechnęła się! — szeptali otaczający.—Ale oczy, oczy! Zapatrzone w jakąś dal, a raczej w głąb wewnętrzną... A na czole pieczęć... Dzieci, dzieci! Jest to pieczęć... tej, której imienia strach wymówić.

Erygona zwróciła się znów w górę Erazynu, do jego zakrętu. Znów jęła śpiewać:

Na polanach Djonizosa,
Skroś rosistą, wonną noc,
Pod tympanów dźwięk donośny
Sunie dusz świetlistych rój...

Tłum szedł z początku za nią, wkrótce atoli się rozproszył. Na zakręcie ruczaju Mera znów jęła usilnie szczekać. Erygona poszła za nią.

Zapadał już zmierzch, gdy podchodziły do Pteleonu. Nikt nie wyszedł na ich spotkanie. Przeszły przez ulicę główną. Miasto zdawało się jak wymarłe. Przed jednym dużym domem, którego drzwi były zamknięte, Mera poczęła szczekać wściekle; poczem, jakby ochłonąwszy, zawyła żałośnie i poszła dalej. Erygona wciąż szła i śpiewała, na nic się nie oglądając.

U bramy trykoryckiej spotkały ją dwie dziewczyny; ujrzawszy ją, usunęły się bojaźliwie na bok.

— Likorydo, kochana, co to znaczy? Czy to Erygona, czyli duch Erygony?

— Zawołaj na nią, Ifinojo, wszak znasz ją.

— Erygona, Erygona!

Lecz w odpowiedzi posłyszały tylko słowa pieśni:

Czemu szumisz, falo Erazynu...

— Hekato potężna! — wykrzyknęła ze zgrozą Ifinoja: — więc to — umarła?

— Nie, — odparła Likoryda, — ona żyje. Ale czy spostrzegłaś pieczęć na jej czole?

— Jaką pieczęć!

— Pieczęć Persefony,—szeptem dodała Likoryda. — Osoby takie nie żyją długo. Pójdźmy, powiemy o wszystkiem ojcu.

Erygona tymczasem była już daleko. Wciąż idąc śladem, wskazanym przez Merę, przeszła przez bagno do pagórka, na którym samotnie sterczał wiąz. Tu Mera przystanęła i zawyła głucho. Ziemia pod wiązem była spulchniona, jakgdyby świeżo wzruszona łopatą. Na ziemi leżał głaz; na głazie czyjaś ręka nieudolna wydrapała napis: „Ikarjos".

Erygona przestała śpiewać.

— Znów jesteś ze mną, łaskawy?— rzekła łagodnym nieziemskim głosem:— wołasz mię do siebie? Do niego, do niej — i do siebie? Marzyłam wciąż o tem, komu też wypadnie dziewiczy pas mój rozwiązać? I, oto, przyszedłeś ty i rozwiązujesz. Poddaję się woli twojej.

I jęła pas swój odpinać...

XI.

Nazajutrz rano dziewczęta zebrały się znów w gaju wiązowym Artemidy, ale nie poto, aby śpiewać i pląsać. Trwożnie cisnęły się wszystkie wokół Antjaniry; co do Filomeli, to ta, tak wprzódziej dumna dziewczyna, była do tego stopnia zawstydzona i upokorzona, że aż budziła litość swym wyglądem.

— Czy wszystkie są tutaj?—spytała Antjanira.

Korynna jęła liczyć:

— Dwie są nieobecne: Likoryda i Ifinoja.

— Na te czekać nie będziemy. Tespis nie kazał im się wydalać: obawia się, aby Ifinoji...

Urwała, zoczywszy błagalny wzrok Filomeli.

— Antjaniro, kochana, powiedz, jak się to wszystko stało:—rzekła Kallistò.—Od ojca mego nic wydostać niepodobna, — nic, powiada, nie pomnę. I ocknął się dopiero wczoraj wieczorem, potem, gdyśmy go z matką i niewolnikiem Ksantjasem przenieśli z leschy do domu.

— Co tu opowiadać?—niechętnie odburknęła Antjanira. Pili napój Ikarjosa, pili, aż, oszalawszy, zabili jego samego.

Filomela podniosła głowę.

— Ojciec mówi, że zabito go słusznie: w napoju była trucizna, i od niej wszyscy poszaleli.

— Jużby lepiej nic ojciec twój nie mówił, a i ty z nim razem... zaczęła córka Eurykratesa, ale natychmiast tego pożałowała, widząc, że Filomela wybuchła płaczem... Wybacz, kochana, nie chciałam sprawić ci przykrości, ale wiesz przecie,

że Ikarjos jest wujem moim. Nie, był on trucicielem: dał im tyle, ile dać było wolno, i ile się godziło, lecz oni sami zabrali mu resztę. I jego samego zabili i sami legli pokotem. Tylko, że oni wstali, a Ikarjos już nie wstał. I wtenczas ojciec mój pospołu z Tespisem pogrzebali go za bramą trykorycką, na pagórku, pod wiązem.

— Tak, moje drogie: — ciągnęła dalej; — krew zawisła nad nami, krew rodzima. Trudno będzie zmyć tę zmazę. Nie będziemy już udziału brały w święcie Artemidy w Brauronie.

Dziewczęta się rozpłakały.

— Ale cóż tu począć? Co począć?

— Nad tem właśnie radzą ojcowie nasi na klepisku za miastem. Zobaczymy, czy nie znajdzie Tespis jakowego wyjścia.

Dalszą rozmowę przerwało przybycie obu nieobecnych. Obie były półnieprzytomne. Ifinoja trzęsła się, jakby w gorączce, Likoryda zaś, równie blada i wzburzona, daremnie usiłowała uspokoić towarzyszkę.

— Oj, dziewczęta, oj, miłe, nie chodźcie, nie chodźcie! Dość, że ja tam byłam. A pies wciąż wyje, i wyje. Tamta kołysze się, a pies wciąż wyje.

— Co takiego? Co takiego?

Likoryda na migi przywołała Antjanirę.

— Co się stało? — spytała tamta.

Likoryda wzruszyła ramionami:

— Pobiegła. Cóż było począć? Przez bramę trykorycką. Za tem wyciem psa. No, i—zobaczyła.

— Co zobaczyła?

Likoryda szepnęła jej do ucha:

— Córka Ikarjosa powiesiła się nad jego grobem. Ja nie widziałam, ale ona widziała. No, a po drodze dowiedziała się też i o innych rzeczach, których znać nie powinna. I wróciła, jak widzisz, z pieczęcią Persefony na czole.

Ifinoja posłyszała słowa ostatnie.

— Pieczęć Persefony? Głupstwo! To zupełnie nie to! Ty wiesz przecie, Filomelo! Mój ojciec sprzedał mnie twojemu za puhar wina...

— Milcz, szalona, — krzyknęły wszystkie na Ifinoję, — widząc, że Filomela zadygotała w napadzie blizkim obłędu.

— Milczeć? Dlaczego? Nie, idę do demarchy. My jesteśmy ubodzy, ale jesteśmy uczciwi. A teraz będziemy też bogaci. Demarcha nie pożałuje kiesy. Żegnajcie, drużki: niemasz dla mnie miejsca pośród was: nie jestem ja już obywatelką, jestem...

Nie zwracano już na nią uwagi; wszystkie były wystraszone przypadłością Filomeli. Ta miotała się przez długą chwilę, wreszcie jednak przyszła do siebie i słabym głosem spytała:

— Gdzie ta nieszczęśliwa?

Teraz dopiero obejrzano się za Ifinoją. Ktoś przypomniał jej słowa: „Idę do demarchy". Lecz Filomela pokiwała głową:

— Nie sądzę. A zresztą pójdę jej poszukać.

Poszła, wziąwszy z sobą Androtymę. Minęła godzina. Wróciły blade, milczące.

— No, cóż? Gdzie jest Ifinoja?

Filomela milczała w dalszym ciągu. Androtyma, pod naciskiem towarzyszek, odrzekła wreszcie:

— Zaszła gwiazdeczka Pteleonu.

— Gdzie?

— Nad grobem Ikarjosa.

— Dziewczęta, pójdźmy do domu!—zawołała Antjanira. Trzeba spytać naszych matek: niechaj zgromadzą się u kapłanki Demetry!

Wziąwszy Likorydę pod rękę, udała się w drogę. Pozostałe poszły za nią.

Filomela i Androtyma zostały same. Pierwsza, wciąż dotychczas milcząca, podniosła oczy na towarzyszkę i uśmiechnęła się cicho.

— Wołała też i ciebie?

— Tak.

Pieczęć Persefony była na obydwóch.

XII.

Srożyła się jakgdyby jakaś zaraza. Nim pochowano Erygonę obok ojca, już wypadło grzebać Ifinoję. Po nich znaleziono Filomelę i Androtymę, które powiesiły się równocześnie. A teraz spoczęła pieczęć Persefany i na pozostałych, oprócz Antjaniry i Likorydy. Matki strzegły ich, z domu nie wypuszczając, lecz stan taki nie mógł trwać wiecznie.

Za radą Tespisa, który zastępował demarchę, postanowiono wysłać gońca do Aten, do króla Pandjona. Posłano Filochora, który słynął, jako wyborny piechur. Z Pteleonu do Aten było około sześciu mil; lecz Filochoros, który wyszedł był przed świtem, pod zachód słońca był już z powrotem.

Czekano nań na klepisku.

— No, cóż?

— Król Pandjon rozkazał, co następuje: Dziewczętom związać ręce i strzec ich, każdej zosobna, póki sam on nie przyjedzie. A przyjedzie wtenczas, gdy wróci z Delf teorja, którą był wyprawił, aby zasiągnąć rady boga. Do jego zaś przybycia niczego nie przedsiębrać.

Upłynęło dni dziesięć w trwożnem oczekiwaniu. Nakoniec, jeźdźcy pancerni zapowiedzieli upragniony przyjazd ukochanego od bogów króla Pandjona.

Król zjechał w towarzystwie królowej Zeuksyppy oraz dwuch egzegetów ateńskich boga delfickiego. Królowa niezwłocznie kazała wołać do siebie Antjanirę i Likorydę. Przyhołubiła je i poleciła im obejść wszystkie matki oraz zapewnić je, że wszystko będzie dobrze i że miasto nie będzie do nowych ofiar zmuszone.

Król zaś rozkazał wszystkim obywatelom zgromadzić się w gaju Artemidy. Gdy zebrali się wszyscy, przemówił do nich w te słowa:

— Mężowie *enojscy*...

Wszyscy byli zdumieni. Co za imię?

— Mężowie enojscy, — powtórzył Pandjon z naciskiem,—rzeczą pierwszą, jaką mi bóg nakazuje, jest zdjęcie z miasta waszego pokalanego imienia „Pteleon“ i strącenie go w wieczną niepamięć. Odtąd imię jego będzie *Enoja* („Winnica“), na pamiątkę tego, że ono pierwsze otrzymało dar wina z rąk Ikarjosa, posła i zwiastuna boga nowoobjawionego, błogosławionego Djonizosa.

Podniosło się głuche szemranie. Zauważył to Pandjon i ciągnął dalej:

— Tak, błogosławionego! Ikarjos, dar jego wam zlecając, nauczył was, jak go należy używać; ostrzegł was przed puharem krzywdy. Mężowie enojscy, zapamiętajcie słowa moje: łatwiej bywa wyrzec się zupełnie jakowejś rozkoszy, niźli używać jej z umiarem. Umiejętność używania z umiarem odróżnia człowieka wolnego od niewolnika My, Hellenowie, dumni jesteśmy z tego, że urodzeni jesteśmy dla wolności, nie zaś dla jarzma. Dlatego to i dar wina powierzono nam. Lecz wy zlekceważyliście sobie przykazanie boga. Napiwszy się nad miarę, *upiliście się* i po pijanemu wielu dopuściliście się zdrożności, a wreszcie zamordowaliście nawet wybrańca i wysłannika Djonizosowego. Uczyniliście to po pijanemu; czy mniemacie, że to winę waszą łagodzi? Tak mniemać będą niewolnicy; lecz wedle mniemania helleńskiego, okoliczność ta winę wdwójnasób wzmaga. To też prawodawca helleński takie wyda prawo: ktokolwiek po pijanemu dopuści się zbrodni, ten podwójnej ulegnie karze — raz za zbrodnię, powtóre za pijaństwo.

— Zamordowaliście posła Djonizosa i wtrąciliście przez to do grobu jego córkę, ukochaną przez Djonizosa Erygonę. Za to zaciążył gniew boży nad wami: bóg na córki wasze zesłał tęsknicę śmierci. A oto teraz Apollo przez usta moje wam ogłasza, jak macie gniew ów przebłagać. Mężowie enojscy! Bogów zjednywać należy czystością serca i dobremi uczynkami; mają wszakże znacze-

nie w życiu naszem i nabożeństwa i obrzędy, jako oddziaływania na nasze uczucia i na wyrazy naszej woli. Nie lekceważcie sobie obrzędów: głęboka tkwi w nich treść. Ikarjos i Erygona staną się dla was odtąd — herosami. Prochy ich przeniesiecie ku źródłom Erazynu, kędy stoi ich futor, tam zbudujecie im kaplicę i czcić ich będziecie coroczną objatą. Z czasem powstanie tam osiedle, które, na pamiątkę herosa, otrzyma imię — *Ikarja.* Aby dziewczęta od śmiertelnej zwolnić tęsknicy, sporządzić im musicie pętle nieszkodliwe, zamiast owych zabójczych, na których zawisły ich przyjaciółki. Kto z was mocne wyrabia sznury?

Wysunął się Filichoros:

— Ja, wielki królu!

Pandjon popatrzył nań z uwagą:

— To ty chodziłeś do mnie do Aten?

Tak, miłościwy panie.

Pandjon naradził się z obu egzegetami, których miał przy sobie, jako asesorów. Poczem rzekł:

— Filochorze, wielki jest grzech twój przed bogiem; lecz odkupiłeś go już i niedolą swoją i czynem swoim, więc bóg usługi twoje przyjmuje. Idź i przynieś nam dziesięć mocnych sznurów, po dziewięć, dziesięć łokci każdy.

Filochor udał się, aby spełnić zlecenie, gdy tymczasem król podjął w dalszym ciągu swą przemowę:

— Temu, o czem mówią, wy, mężowie enojscy, dacie początek, cała wszakże Attyka pójdzie za waszym przykładem: jakoż wszystkim wrazi się w pamięć, że należy obawiać się puharu krzywdy.

I jako kwiat wykwita na mogile, tak ze zbrodni waszych i nieszczęść wykwitnie święto wesołe — święto Djonizjów Sielskich. Owe pieśni tułacze, które Erygona śpiewała, ojca swego szukając, należy zebrać z tych urywków, jakie ludzie przechodzący pochwytali; są to pieśni święte, w których kocha się Djonizos. Miejsca zagubione uzupełni Tespis, któremu polecam, aby stał się założycielem nowego obrzędu. Dziewice zaś wasze śpiewać będą te pieśni podczas swoich zabaw. Wam zaś, mężowie, nakazuję rzecz następującą, jako odkupienie tej zdrożności, którą popełniliście na radzie. Młodem winem, które dojrzeje na święto Djonizjów Sielskich, napełnijcie mieszki kozie, wysmarowawszy oliwą ich gładką i bez tego powierzchnię. Poczem—i tu król się uśmiechnął—urządzać będziecie o nie zawody. Niechaj współzawodnicy na jednej nodze na nie wskakują; będą się oni chwiać, potykać—niechajże! Kto dłużej od innych się utrzyma, ten będzie zwycięzcą. Owo zaś wesołe potykanie się i zataczanie niech ustrzeże was od sromotnego zataczania się i potykania pod oszałamiającem działaniem trunku, ponad miarę użytego.

I długo jeszcze tłumaczył dobry król wieśniakom szczegóły i treść nowego święta; lecz oto od strony miasteczka ukazał się pochód. Naprzedzie szła królowa Zeuksyppa wraz z żoną Tespisa, kapłanką Artemidy; za niemi Antjanira i Likoryda. Dalej szły dziewczęta ze związanemi rękami— Korynna, Nikandra, Pandora, Kallistò i inne w otoczeniu swych matek; obok szły młodsze ich sio-

stry—podlotki i dzieweczki. Zamykał pochód Filochor wraz z młodzieńcami, niosącymi sznury.

Na rozkaz króla sznury przywiązano każdy do dwóch drzew, stojących blisko siebie; otrzymano dziesięć *huśtawek*.

— Dzieci, zawołał król do dzieweczek: — pohuśtajcie swe lalki.

Lalki przywiązano do huśtawek, i dziewczynki jęły je bujać, odrzucając je jedna drugiej, z piskiem i sykaniem. Gdy zabawa była już w pełni, król rozkazał, aby przyprowadzono doń związane dziewczęta—a było ich wszystkich dziesięć. Zrazu zachowywały się one obojętnie wobec wszystkiego, co się działo, powoli wszakże uciecha młodszych jęła się i im także udzielać: pieczęć Persefony znikła z ich czoła.

— Rozwiążcie im ręce! — Krasawice, pohuśtajcie swe siostry!

Rozkaz został wykonany. Widać było, jak ożywiały się one coraz bardziej; policzki ich zagrały rumieńcami.

— A teraz pohuśtajcie się same!

Ten rozkaz wykonany został jeszcze chętniej. Zadzwonił znowu srebrny śmiech dziewiczy, jak w ów dzień śliczny, gdy pieśń Artemidy rozbrzmiewała w tym samym gaju.

Likoryda podeszła do huśtających się i zaśpiewała:

Czemu szumisz, falo Erazynu,
Czemu ból mój zagłuszasz i żal...

Śmiech umilkł, zaduma owładła rozbawione-

mi, łzy zabłysły w ich oczach. Ale były to łzy dobre, uzdrawiające. I długo jeszcze, przy dźwiękach śpiewu Likorydy huśtały się ocalone dziewczęta tam i z powrotem pod zielonem sklepieniem zielonego gaju.

Gdy już były znużone, wezwała je do siebie królowa, ucałowała je i rzekła do nich:

— A jednak, ślicznotki, za cztery pełnie miesięczne będzie święto Artemidy w Brauronie, i ja przyjadę, aby rozdawać wieńce. Wy tam będziecie?

— Będziemy, miłościwa pani, będziemy wszystkie, skoro bóg pozwoli.

— Pamiętajcież więc — zbyt długo na was czeka już wasz wieniec.

Już chciano się rozchodzić, lecz król raz jeszcze zabrał głos:

— Mężowie enojscy, wasze prawo obierać sobie demarchę pozostaje w mocy! Wszelako żaden z tych, którzy przelali krew Ikarjosa, nie może składać za was ofiar bogom nieśmiertelnym. Dlatego też demarchą waszym zostanie Eurykrates, jego zaś doradcą najbliższym będzie miły bogom Tespis. Ale to jeszcze nie wszystko. Ferekratesie, synu Eurykrata, i Likorydo, córko Tespisa, pójdźcie tutaj.

Młodzieniec i dziewczyna podeszli.

— Ferekratesie, u źródeł Erazynu stoi osada, która należała do twego nieboszczyka wuja Ikarjosa. Osada to niewielka, ale wielką ma przed sobą przyszłość — wyrośnie z niej osiedle Ikarja, uświęcone łaską Djonizosa. Tam masz się prze-

nieść, poślubiwszy córkę Tespisa — nie bardzoś pono krzyw jej... — Nie zaraz, dodał Pandjon, widząc, że dziewczyna zarumieniła się po uszy. Naprzód niech w orszaku niedźwiedzic posłuży Artemidzie i służbą gorliwą zjedna sobie jej łaskę. Tespis nie ma potomstwa po mieczu, i niechże imię jego święci się w waszem. I kiedyś, wróży mi serce moje, Tespis z Ikarji ozdobi uroczystość ateńską Djonizosa takiem dziełem, które i jego, i nas rozsławi po wsze czasy i wśród wszystkich narodów. Mężowie enojscy, słońce zaszło za Parnetem i nad morzem zabłysły pierwsze gwiazdy. Rozchodźcie się w pokoju do domów, zabierając swe córki—nic im teraz nie grozi. My zaś z królową zapraszamy się do ciebie, Tespisie, w gościnę na noc nadchodzącą.

ZAKLĘTY DWÓR

I.

Na dziedzińcu Demetry Thesmofory panował tego dnia szczególny gwar. Cały dzień poprzedni zeszedł kobietom na poście, na modłach, na uroczystych procesjach; ale już pod wieczór, po spożyciu uczty uroczystej, zaczęła się radość, poranek zaś dnia następnego przyniósł święto dumy macierzyńskiej, Kalligenję. Teraz „młódki" stanowiły przedmiot niekiedy tkliwej, częściej dobrodusznie żartobliwej troski ze strony „staruch": która też otrzyma wieniec? Tymczasem wisiał on na kamiennej ręce posągu Kalligenji, stojącego na placyku Pniksa, przed namiotami, między posągami Demetry i Kory: przysądzenie wieńca poprzedzić musiał szereg przygotowań, z których pierwszem był wybór grona sędziowskiego.

Wedle obyczaju grono to składać się musiało z trzech kobiet, oczywiście z pośród „starych". Co do przewodniczącej nie było wątpliwości: wszystkiemi głosami przeszła królowa Praksytea. Nie było to obowiązkowe; w obliczu Demetry wszystkie niewiasty były równe, jednakże śród obec-

nych nie było zda się, ani jednej, którejby ta pani dostojna nie wyświadczyła tej lub owej przysługi; z pośród zaś malutkich bohaterów uroczystości niejeden snadź zawdzięczał jej to, że ujrzał światło dnia. Lecz co do dwóch pozostałych członkiń sądu, żywe toczono spory: zgłaszały pretensje te, co same onego czasu otrzymały wieniec Kalligenji, jednocześnie zaś i te, co miały śród „młódek“ największą liczbę córek. Przygotowywały się też i „młódki“: naprzód odśpiewały chórem pieśń ku chwale Kalligenji, przeplataną wzajemnemi docinkami i żarcikami, potem udały się do namiotów aby godnie przystroić — każda — swe dzieciątko.

Nareszcie, donośny głos niewiasty-herolda oznajmił, ze przygotowania skończone, i wszyscy jęli gromadzić się na placu. Przed posągiem Kalligenji stały długie stoły, nakryte miękkiemi skóry owczemi: na nich polecono rozłożyć maleństwa w powijakach, wszystkie rządeczkiem. Skoro to uczyniono, matki oddaliły się na stronę, królowa zaś z asesorkami jęły obchodzić stoły, w znacznym jedna od drugiej odstępie. Nad głową każdego niemowlęcia stała puszka nakryta, z otworem pośrodku pokrywy; w ten to otwór kładzidno liść mirtowy dzieciątku, które zyskało uznanie.

Jakkolwiek czyniono to zazwyczaj za trzeciem dopiero obejściem, jednakże już za pierwszem dostrzeżono, że wszystkim trzem kobietom szczególniej podobał się jeden berbeć jędrny, którego spowicie świadczyło raczej o troskliwości, niż o zamożności rodziców. Krągła, pełna twarzyczka, jeszcze bardzo daleka od dokładności profilu

attyckiego; jasne, zielonkawo-modre oczęta; rączyny po długich wysiłkach udało się mu wydobyć z powijaków — powodzenie to wywołało w nim pogodny stan ducha, — i maleństwo, przebierając oswobodzonemi piąstkami, uważnie je rozglądało i, zda się, było z nich zadowolone.

Za trzeciem obejściem sekretarka zliczyła te niemowlęta, u których w puszkach znalazło się po trzy liście; takich było około dziesięciorga; te zostawiono, resztę polecono zabrać.

Pozostałe nakazało grono sędziowskie rozebrać; rozpoczęło się badanie wtóre, uważne i wszechstronne, przeplatane naradą. Gdy się skończyło, królowa podeszła stanowczo do tego niemowlęcia — był to chłopiec — które odrazu podobało się wszystkim. W tej samej chwili niewiasta-herold zdjęła wian z ręki Kalligenji i podała królowej.

— Matko tego niemowlęcia, wyjdź!

Z tłumu otaczających wystąpiła, promieniejąc dumą i szczęściem, młoda włościjanka, tęga i urodziwa, o rumianych ogorzałych jagodach.

— Coś za jedna? Czyja i skąd? — spytała królowa.

— Neobula, żona Hagnona, z nadmorskiego futoru pod Hymettem.

— Hagnona? — ze ździwieniem raz jeszcze spytała królowa. — Pomnę żonę Hagnona, gospodarza z pod Hymettu: była w moich latach. Lecz już w zeszłym roku nie widziałam jej podczas święta Demetry.

— Była to pierwsza jego żona, królowo; umarła ona, bez mała, już dwa lata temu.

Praksytea znacząco pokiwała głową i półgłosem przytoczyła:

Niewłaściwa staremu bywa młoda małżonka.
Będzie-ż powolna mu, jako sterowi jest — łódź?

— A więc — ciągnęła dalej głośno i z naciskiem—mamy przed sobą maleńkiego syna *Hagnona* i Neobuli.

Neobula zrozumiała przytyk:

— Królowo!—rzekła z wyrzutem. W wyrzucie tym tyle było szczerości, że Praksytea w okamgnieniu zbyła wszelkich podejrzeń.

— Nie obrażaj się córo — rzekła, całując Neobulę w czoło. — Bądź i nadal wierną żoną, iżby Demetra kochała cię i błogosławiła rodzinie twojej oraz twemu gospodarstwu. Jednakże, nim przysądzimy ci wieniec, musimy naprzód kilka zadać ci pytań. Przedewszystkiem, kędy są groby przodków twoich tudzież Hagnona, i czy gorliwie składacie im dary ofiarne w dni zaduszne?

— Groby naszych przodków są na przylądku Zosterze, o dwa stadja od świątyni Apollina; są to zdala widne kurhany. Składamy im, jak należy, dary w święto Antesterjów i Genezjów.

— Czy prawdę mówi?—spytała królowa, zwracając się do tłumu.

— Prawdę! Prawdę! — odpowiedziały dwa głosy; były to sąsiadki Neobuli z przyległych futorów, nocujące teraz razem z nią w namiocie podczas święta Tesmoforjów.

— Dobrze czynisz, córo; za to i wasze dzieci i potomkowie odpłacą wam tem samem. Lecz w są-

siedztwie z rolą Hagnona jest uroczysko i gaj Anagira; czy otrzymuje on od was objaty, należne wedle wszechhelleńskiego prawa?

Neobula odpowiedziała nie odrazu: lecz widok wieńca w dłoni królowej kazał jej pokonać wahanie.

— Co rok otrzymuje od nas błogosławiony heros kozę.

— Czy prawdę mówi? — spytała znów królowa. Tym razem atoli nie było odpowiedzi. — Skoro nikt nie potwierdza słuszności twego zeznania, to czy gotowa jesteś stwierdzić je przysięgą?

— Gotowa jestem, — odrzekła Neobula, po namyśle.

— Powtórz więc swe słowa, i w zakończeniu, dotykając główki niemowlęcia, rzeknij: na to przysięgam.

Neobula spełniła żądanie.

— I dobrze córo. Wielka jest moc herosów, ustępuje ona jeno mocy bogów nieśmiertelnych. A więc *synowi Hagnona i Neobuli przysądza się wieniec Kalligenji;* lecz jakież ma imię ten mały nasz zwycięzca?

— Królowo, — rzekła Naobula, rumieniąc się z radości: — Hagnon kazał mi, w razie zwycięstwa, ciebie prosić o danie imienia dziecku.

— Mnie? — spytała Praksytea. — Dlaczegoż nie chcecie dać mu imienia jego dziada? Ojciec Hagnona, o ile pomnę, zwał się Archedemos?

— Niemożna; Archedemos zowie się starszy syn Hagnona, od pierwszej jego żony, Eurylity.

— Masz słuszność, zapomniałam. Dajmy mu

tedy imię jego zwycięstwa; niechaj herold obwieści: wieniec otrzymuje Kalligenes, syn Hagnona i Neobuli.

Kobieta-herold wykonała rozkaz.

— Obywatelki! — dodała Praksytea, zwracając się do gromady. — Wieniec otrzymał jeden, ale zasłużonych jest dużo. Wszystkie matki, których dzieci otrzymały choć jeden listek, zapraszam do siebie na wieczerzę, do pałacu Erechteusza.

II.

Osada Hagnona stała w tem miejscu krętego wybrzeża sarońskiego Attyki, kędy góra Hymett, zstępując coraz niżej, spada wreszcie w morze, tworząc daleko wysunięty przylądek Zoster. I tutaj, zresztą, góra jakgdyby nie chcąc wyrzec się swego istnienia, pogrążywszy się w morze, powtórnie wypływa na jego powierzchnię w postaci okrągłej, przypominającej tarczę, wysepki pustynnej, Fabrydy. Droga z Aten wiodła, zresztą, nie wzdłuż wybrzeża, lecz dokoła Hymettu, wschodniem jego podnóżem. Drogą tą udała się po przyjęciu u królowej Neobula wraz z sąsiadkami i niewolnicami, na dwuch mułami zaprzężonych wózkach dwukołowych. Sąsiadki rozstały się z nią, nie dojeżdżając do morza: sama więc, z piastunką i dzieckiem, podjechała do dworu, gdzie czekali na nią Hagnon z Archedemosem. Już zdaleka wywijała ona wieńcem, otrzymanym od królowej; gdy pojazd się zatrzymał, podała niemowlę mężowi.

— No, *Kalligenesie*,—ozwała się znacząco—powitaj ojca!

Hagnon przyjął dziecko z pieszczotliwym uśmiechem.

— Godzien będzie swego brata starszego! — rzekł.—Wszak Archedemos otrzymał także swego czasu wieniec Kalligenji.

Neobula zmarszczyła brwi; to przypomnienie snadź nie przypadło jej do smaku. Hagnon dostrzegł jej niezadowolenie i, aby ją przejednać, rzekł do niej:

— A my pod twą nieobecność także sprawiliśmy ci uciechę: z bożą pomocą, nowa gospodyni niechaj wstąpi w nasz nowy dwór!

— Nie chcę.

Hagnon osłupiał.

— Jakto nie chcesz? Albož nie ty właśnie wymyślałaś wciąż na starą naszą chatę i doczekać się nie mogłaś przeprowadzki do nowego domu?

— Nie chcę dlatego, że jeszcze jest niegotów.

— Czegóż mu braknie?

Neobula z dziecinnym śmiechem rzuciła się mężowi na szyję.

— Miły mój, nie wiesz jeszcze wszystkiego. Byłam w gościnie u królowej. Tamte, — wskazała ręką na wieś, kędy mieszkały sąsiadki,—tamte nie były, lecz ja byłam. Ach, miły, nie wyobrażasz sobie, co to za piękności. Dziedziniec otoczony kolumnadą. Pośrodku dwa słupy wysokie; jest to wstęp do komnaty królewskiej. Otóż, postanowiłam sobie, że i u nas musi być wstęp tak urządzony.

— Co tobie w głowie, opamiętaj się?! Czyż możemy równać się z królową?

— Niema potrzeby równać się. Postawisz mi tylko dwa słupy, a nad nimi ozdobny fryz z tryglifami i frontonem; oto wszystko. I to z łatwością możesz dobudować do tego, co już jest.

— Z łatwością, oczywiście. A skądże ci wezmę takie dwa olbrzymie drzewa?

— A oto!

Pokazała mu ręką na dwie sosny, wysoko wzbijające czuby pośród wiązów i platanów sąsiedniego gaju. Atoli twarz Hagnona przybrała wyraz bardzo poważny.

— Zapominasz, kochanie, że jest to gaj Anagira.

— Nie zapominam. Pamiętam doskonale.

— Posłuchaj, pieszczocho, rzuć swe fantazje, sprawa przedstawia się poważniej, niż myślisz.

Spuścił oczy, i po chwili, z lekkiem drżenie w głosie, podjął:

— Pamiętasz, jak umarła pierwsza żona moja, Eurylita?

— Pamiętam: wpadła w studnię i utonęła.

— Otóż to właśnie, że nie wpadła.

Neobula odskoczyła z przerażeniem:

— Co to znaczy?

— Studnia była wykopana przezemnie na działce świętej łąki Anagira, która klinem wrzyna się w mój grunt. Sądziłem, że mam prawo to uczynić, ponieważ wszyscy przychodzący, aby pokłon oddać herosowi, do mnie udają się po wodę...

— Więc cóż?

— Gdy studnia była gotowa, posłałem Eurylitę, aby zaczerpnęła z niej wody dla podlania ogrodu. Było to pod wieczór. Staruszka poszła, lecz niebawem wróciła pędem — jak dziś widzę jej oczy szeroko rozwarte. „Nachyliłam się powiada, aby zdjąć wiadro z kołowrotu, gdy w tem z głębi wysuwają się jakieś ręce długie, białe i chwytają mię za szyję“.

— Potężna Hekato!

— Krzyknąłem na nią, aby rzuciła brednie, i powtórnie posłałem ją po wodę. Poszła niechętnie — i nie wróciła. Była to kobiecina potulna i mnie lękała się bardziej, niż Anagira.

Neobula wymownie potrząsnęła głową.

— Potem, co się stało, nie mogłem już składać Anagirowi uprzednich ofiar i darów; między nami zapanowała jakby wojna. I spodziewam się, że uwolni on mię od swego sąsiedztwa i pójdzie sobie gdzieindziej.

— Słusznie.

— I co powiesz? Anagiros punktualnie sam brał ode mnie należną sobie daninę, po kozie w każdy dzień spominkowy.

— I dzięki mu za to. Tak właśnie powiedziałam królowej, bo inaczej nie otrzymałby nasz synaczek wieńca.

— Znużyła mnie ta walka, więc postanowiłem wyjednać sobie przebaczenie u dostojnego herosa, iżby po dawnemu opiekował się nami, otrzymując od nas, co mu się należy.

— No, nie, Hagnonie, z tem się nie zgadzam, ustępować nie myślę, ani przed nim, ani przed

tobą — nie jestem ja Eurylitą. Trzeba tak zrobić, aby Anagiros nas opuścił, a w tym celu przedewszystkiem należy zrąbać te dwa drzewa. W ten sposób jednocześnie i mnie się przypodobasz i jemu dokuczysz. A dopóki nie będzie to wykonane — nie jestem ja gospodynią w twoim nowym dworze!

To mówiąc, wstała i, poleciwszy piastunce nieść za sobą dzieciątko, szybkiemi kroki oddaliła się do starej chaty, w której się zamknęła.

III.

W najbliższy dzień spominkowy znów zagadkowym sposobem znikła koza ze stada Hagnonowego. Cały dzień szukał jej Archedemos śród skał i zarośli Hymettu; wreszcie, noc zniewoliła go poniechać dalszych poszukiwań i wrócić do domu nowego, w którym mieszkał z ojcem.

Księżyc wypływał już z poza ciemnego grzebienia Olimpu attyckiego, gdy Archedemos zbliżał się do gaju Anagira, leżącego na pół drogi między Hymettem a domem Hagnona. Zatrzymał się: iść prosto, czy zboczyć na stronę, aby obejść posiadłość wroga?

Wydało mu się, że gaj żyć począł jakiemś cichem tajemniczem życiem. Dęby i platany szumiały w nocnym wietrzyku; lecz skroś szumu tego słychać było czyjś jakgdyby śpiew, czyjąś jakgdyby mowę. Jął nadsłuchiwać: śpiew był żałobny, jak podczas pogrzebu; słychać też było słowa, lecz zrozumieć ich nie mógł. Dreszcz przebiegł mu po grzbiecie: uciekać, uciekać co rychlej! Ba, jakże

uciec? Owładła nim jakaś dziwna, niepokonana moc: zdało się, że powietrze zastygło naokół niego i nieodpartym prądem niosło go w stronę złowieszczego gaju.

— Zginąłem, zginąłem!—powtarzał sobie. To potężne dryady tańczą i śpiewają, a ja je podsłuchałem!

Przypomniał sobie opowieść o Bakisie, obłąkańcu attyckim, który też razu pewnego podpatrzył i podsłuchał nimfy i odtąd stał się nimfoleptem, to jest „opętanym przez nimfy“. Postradawszy rozum, tułał się po wsiach i wygłaszał słowa bez związku, z których ludzie pobożni układali wyrocznie. Ten i ów go pożywił, ten i ów napoił i odział, atoli częściej zdarzało mu się przymierać głodem i nocować pod otwartem niebem, malcy zaś rzucali weń kamieniami.

— To samo będzie i ze mną: pomyślał sobie i wzdrygnął się.

A jednak nie był w możności oprzeć się tajemniczej mocy, która gnała go coraz bliżej do gaju Anagira. Coraz wyraźniej słychać było pienie pogrzebowe; coraz głębiej w duszę jego przenikały te smutne, rozdzierające dźwięki. Zapomniał nawet o strachu: zastąpiło go jakieś uczucie rzewne, jakiś żal, jakiego nie czuł od dnia zgonu swej matki.

Oto widać już postaci śpiewających — tak, są to niewątpliwie dryady. Splotły się w koło taneczne i cicho, płynnie chodziły dokoła swych sióstr, stojących pośrodku z rozpuszczonemi włosy i w czarnym stroju. Cóż to jest? A więc nie nad umarłemi

płaczą, ale nad żywemi? Tak, najwidoczniej: te dwie płakały, pozostałe zaś zawodziły:

Piosnkę ostatnią, pieśń pożegnalną
 Słyszcie siostry, dziś z naszych ust:
Dolę okrutną, dolę fatalną
 Wieści noc czarnych powiewem chust.
Dzień się zapali i dzień zagaśnie,
 Pobladnie złoto jutrzejszych zórz:
Gaj w wieczorowych oparach zaśnie,
 Lecz was, siostrzyce, nie ujrzym już.

Chór umilkł, te zaś, które były skazane, z kolei podjęły:

Źródło zmartwychwstań, próg odrodzenia,
 Znajduje w grobie człowieczy ród:
Lecz nas, gdy zrąbie topór zniszczenia,
 Żaden, ach żaden, nie wskrzesi cud.
Druchny, śpiewajcie, śpiewajcie, drogie!
 Pieśnią opłaczcie smutny nasz los:
Duszę rozwieją wiatry złowrogie,
 Ciało żelazny powali cios.

Nagle koło taneczne stanęło: nimfy spostrzegły zbliżajacego się Archedema. On również zdążył im się przyjrzeć, i to uczucie smutku, które owładło przedtem jego duszą, ustąpiło teraz uczuciu nowemu—uczuciu zachwycenia wobec tej niewidzialnej, niesłychanej piękności. Teraz już nie lękał się on i nie czuł smutku, chętnie oddałby życie, ziemskie i zagrobowe, byle tylko pozwolono mu, choćby na chwilę, złączyć się z niemi, wstąpić w kolisko ich boskiego bytu.

Łańcuch się zerwał; jedynie obie skazane pozostały na miejscu, reszta podeszła ku skrajowi gaju. Ozwały się głosy:

— Oto nieprzyjaciel!

— Udusić go!

— Albo odebrać mu zmysły!

— Poco? Zali nie widzicie, że Kera śmiercionośna już siedzi mu na karku?

— Straszna Persefono! Wszak wkrótce po nich zstąpi on do grobu. I bogowie, jakąż okropną zginie śmiercią?

— Siostrzyce, spójrzcie, jaki on piękny! Nie, mnie go żal.

— I nam, i nam.

— Siostry, przyhołubimy go! Niechaj choć tę noc jedną spędzi w rozkoszach i miłości!

— Wart jest miłowania nimfy: sam Dafnis nie mógł być piękniejszy.

— Któraż będzie jego towarzyszką? Wiemy, wszystkieby rade. Chwytajcie mój szmaragdowy sznur, dziewczęta!

— Ja schwytałam! On mój!

— Winszujemy, Filiro! *).

— Wstydźcie się, nimfy! Zapomniałyście o siostrach!

I korowód znów potoczył się wkoło. Archedemos, sam nie zdając sobie sprawy, co się z nim dzieje, znalazł się w kole tańczących: Filira ujęła go za rękę i tkliwie spojrzała mu w oczy. Ciepłą falą ogarnęło go szczęście; teraz wiedział, czem jest życie bóstw olimpijskich.

— Jestem twoją towarzyszką! Chcesz?

— Czy chcę? Bogowie! Alеż ja wciąż py-

*) „Filira“ — „lipa“.

tam sam siebie, czy to wszystko nie jest snem tylko?

— A może i naprawdę jest snem? — trzpiotowato spytała Filira, całując go w sta.

— Cicho!—ozwała się starsza.—Kręć się, koło!

I znów żałobne popłynęły tony:

Piosnkę ostatnią, pieśń pożegnalną...

I znów smutek poprzedni ogarnął duszę młodzieńca. Ale rzecz dziwna! Uczucie szczęścia nie doznało przeto żadnego uszczerbku. Jednocześnie płakał on, patrząc na obie skazane, i zarazem upajał się czarem, czując dotknięcie ręki Filiry.

— Nimfo najmilsza! — szepnął jej podczas pień załobnych: — kim są te dwie, i czemu je opłakujecie?

— Spytaj ich sam, jeśli chcesz. Jednakże lepiej nie chciej!

Lecz on nie mógł nie chcieć. Gdy pieśń umilkła, pewnym krokiem wystąpił naprzód, nie wypuszczając jednak ręki Filiry.

— Dryady potężne, odpowiedzcie mi! O jakiej śpiewacie śmierci? Kto was zabije?

Jedna z płaczących, strząsnąwszy łzy z rzęs, pilnie nań popatrzyła.

— Ty nas zabijesz!

Druga zaś dodała:

— Ale i sam będziesz przez nas zabity.

Archedemos wzdrygnął się.

— Filiro, najdroższa, co one mówią? Jękło we mnie serce, jakgdybym ocknął się ze snu, i z poprzedniego szczęścia nic nie pozostało.

Filira spuściła oczy na ziemię.

— Wszak uprzedziłam cię, abyś nie pytał. Wy, ludzie, możecie być szczęśliwi tylko w nieświadomości. Ale poczekaj, pocieszę cię. Wymień mi jakieś życzenie swe, a ja je spełnię.

— Życzenie! Życzę, aby przestały płakać te dwie nieszczęsne, aby były szczęśliwe i wesołe, jak my.

— To życzenie ty sam możesz spełnić, skoro zechcesz; ale ty nie zechcesz. Nie, wymień mi inne.

— Innych nie mam; wszystkie zasnęły.

— To je obudź! Przypomnij, czego pragnąłeś przez cały dzień miniony?

Archedemos przypomniał sobie i uśmiechnął się.

— Chciałem odnaleźć kozę, która zginęła w zaroślach Hymettu.

— To rozumiem. Szukał kozy, a znalazł nimfę. Lecz ja nie jestem obraźliwa. Chodźmy, pokażę ci twoją kozę.

Młodzieniec oniemiał:

— Żartujesz?

— Ja? Bynajmniej. Wszak nie powiedziałam, że ci ją oddam, tego nie mogę. Anagiros nie pozwala. Ale pokazać ci ją mogę. A dam tobie... I po raz wtóry go pocałowała, — dam ci... siebie. Przystaniesz? Warta jest nimfa kozy?

Znowu ogarnęła go fala rozkoszy. Filira zaś, miłośnie objąwszy go rękoma, z powrotem powiodła go w stronę Hymettu. Księżyc świecił na niebiosach, i w gaju Anagira słychać było, zamierające zwolna, skargi nimf nad losem skazanych towarzyszek:

Piosnkę ostatnią, pieśń pożegnalną...

IV.

Był chłodny wieczór jesienny. Neobula z Archedemem siedzieli w świetlicy dworu nowego—rzeczywiście w świetlicy, wysokim ozdobionej portalem z fryzem i frontonem. Maleńki Kalligen spał tuż obok, w kołysce, przy matce. Neobula pieściła się z nim sama — niania jego, niewiasta pobożna, za nic nie chciała przenieść się do dworu świętokradzkiego i oświadczyła, że prędzej dałaby się zabić.

Oboje czuli się nie swojo. Archedemos tęsknie wsłuchiwał się w posępne wycie wiatru jesiennego i daleki grzmot fal sarońskich.

„W taką noc one nie wychodzą": — pomyślał sobie.

— Archedemie, opowiedz mi cokolwiek!

— Co mam ci powiedzieć, mateczko?

— Cokolwiek. Tak często teraz chodzisz po nocach, czyż nigdy nie miewasz jakich przygód?

Archedemos westchnął i nic nie odpowiedział.

— Ah, dobrze, żem przypomniała sobie. Kiedyś wygadałeś się, żeś widział kozę, porwaną przez Anagira, lecz odebrać jej nie mogłeś. Opowiedz, jak to było... No, widzisz, uśmiechnąłeś się; snać nie przykre to jest wspomnienie. Opowiedz!

— Skoro życzysz sobie tego, mateczko. Otóż, naszukałem się dzień cały, stopy pokrwawiłem o kolce krzewów, podarłem odzież o przeklęte na Hymecie igły — napróżno. Słońce zaszło; należało pomyśleć o powrocie. Idę, idę — i nagle w połowie drogi...

Znowu uśmiechnął się i umilkł.

— No, i co?

— I nagle, w połowie drogi... jakiś głos mówi do mnie: „Chodźmy!"

— Co za głos?

— Wewnętrzny, mateczko, — odpowiedział Archedemos, czerwieniąc się, jak rak.

— Dużo jakoś z ojcem, w ostatnich czasach, tych głosów wewnętrznych słyszycie. Cóż dalej?

— Poszedłem z powrotem.

— Pod Hymett?

— Pod Hymett.

Neobula wzruszyła ramionami.

— No, i cóż dalej?

— Poszedłem do podnóża góry i czuję, że jakgdybym szedł nie własną mocą, ale coś kroki moje niosło. I widzę — u samych stóp góry — otwór. Spuszczam się w ten otwór — chód podziemny wiedzie do jaskini. Jaskinia szeroka, rozdzielona ścianą łakgdyby na dwie izby. Wchodzę. W izbie widno—skąd było światło, nie wiem, lecz wszystko było widać, jakkolwiek nie odrazu. Wzdłuż ściany jacyś ludzie, jakieś rzeczy, wszystko białe, a nikt ani drgnie, i wszystko milczy.

— I nie uczułeś strachu?

— Ja? Najmniejszego!... A raczej, tak, oczywiście, przeraziłem się okropnie. Tem bardziej, że jedna postać ludzka wydała mi się znajoma. Nie powiem, aby on to był sam, ale podobny był do niego.

— Do kogo?

— Do herosa Anagira...

Neobula drgnęła.

— Archedemie, i mnie ciarki przeszły. Nie dobrze o strachach mówić w taką noc.

— Więc lepiej przestanę.

— Nie, dokończ swej opowieści.

— Niedużo pozostało do końca. Anagirowi złożyłem jednakże pokłon i jąłem rozglądać się dalej. I co powiesz? U nóg jego nagle ujrzałem ją.

— Kogo?

— No, kozę naszą. Tę samą. Wołam na nią: „Kisseta, chodź!“ Koza leży, ani się ruszy. Nawet głowa nie drgnie. Ja ją łap! za brodę. I czy dasz wiarę? I broda, i głowa, i całe stworzenie — skamieniałe! Dziw nad dziwy! Wtenczas dopiero zrozumiałem, że i Anagiros i wszystko dokoła było również kamienne. Widocznie Perseusz tamtędy przeszedł z głową Meduzy—zamieniając wszystko w jakoweś królestwo skamieniałe.

— I coś tam jeszcze widział?

— Widziałem jeszcze... ale może lepiej byłoby tego nie mówić?

— Skoroś zaczął, to kończ. Kogóż jeszcze widziałeś?

— Ciebie.

Neobula, rozdrażniona, zerwała się i szybko jęła chodzić po świetlicy.

— Wciąż widujesz jakieś rzeczy, których nikt prócz ciebie nie widzi. Już kiedyś pytałam, czyś nie postradał zmysłów, jak nasz Bakis.

— Kiedy pytałaś i kogo?

— Ojca twego—po tem, jak chodziliście obaj drzewa rąbać. „Nakazuję mu, powiada, wal siekie-

rą!“ On — raz! i nagle, jak nie krzyknie: „Ach, ojcze, krew buchnęła z rany!“ „Bogowie!“ wołam, jakoż mogłeś ranić siebie?“ Patrzę—stoi zdrowiuteńki i siekierą na drzewo wskazuje. „Nie, powiada, z jej rany“. Spoglądam tam, drzewo jak drzewo, kora rozrąbana i z pod kory żywica kapie. „Otwórz że oczy! powiadam. Żywica, nie żadna krew!“ „Ty mówisz, powiada, żywica, ja nazywam — krew“.

Archedemos był blady.

— Prawdę mówiłem.

— A skoro prawdę — raptem zwróciła się Neobula, patrząc mu zuchwale w oczy — to jakże miałeś serce rąbać do końca?

— A cóż miałem robić? Ojciec kazał.

Neobula roześmiała się szyderczo:

— Poznaję syna Eurylity! „Ręce długie, białe“, powiada. A gdy Hagnon na nią głos podniósł, zapomniała o strachu: poszła i — nie wróciła.

— Słuchaj, mateczko: grzech tobie wspominać o tem!

— I mnie samej niemiło, mój drogi; wybacz. I trzebaż, aby lazły do głowy same okropności, jeszcze w taką noc, jak ta!

Podeszła do stołu i jednym ciągiem wychyliła wino z kielicha Archedema. Ale i wino nie odrazu ją ogrzało: trzęsła się, jak w febrze.

— Bądź łaskaw, Archedemie, dołożyć drew do ogniska: widzisz, ogień gaśnie. Ale wracaj prędko, bo straszno mi samej.

Archedemos oddalił się, lecz wrócił dopiero

po chwili. Wlókł dwa grube polana, które następnie począł rąbać.

— Suchych drew już nie było; przyniosłem z tych, które zwieźliśmy niedawno...

Nie chciał dodać: z gają Anagira. Lecz Neobula wiedziała o tem sama.

Nalała sobie jeszcze wina z dzbana i znów odrazu opróżniła kielich.

— Chwała Bogom, minęło! Teraz nie ulękłabym się nawet jego samego.

Świeże polana zapaliły się nie odrazu. Stary płomień otoczył je, ale z odległości, tworząc jakąś altankę ognistą wokół nich. Gałęzie syknęły, jęły trzeszczeć, zawyły—tak, wyraźnie zawyły i w tem wyciu umęczonej sosny Archedemos nagle usłyszał zajomy przyśpiew:

Piosnkę ostatnią, pieśń pożegnalną...

Ale nie czuł strachu: przeciwnie, owo poprzednie uczucie wróciło doń, z dawną potęgą. Uśmiech zaigrał na jego ustach: „Filiro, Filiro, kiedyż ujrzę ciebie?"

Neobula natomiast nie mogła oczu oderwać od ogniska. Oto gałązki drgnęły, wijąc się, jak węże; to lgnęły do siebie, to znów się rozdzielały — z nieustającym sykiem, świstem, wyciem. Ognista zaś altanka tymczasem coraz ściślej, coraz bliżej je ogarniała. Najwyraźniej były to jakieś wstrząsy przedśmiertne. Nagle strzelił do góry płomień. Olbrzymi język ognisty wzbił się do samego pułapu, a jednocześnie z gałęzi płonącej dobył się krzyk rozdzierający. I kropla po kropli, zamiast

żywicy, krew—żywa, czerwona krew jęła broczyć w płomień. Krew kipiała, bulgotała, rozlewała się, rumieniąc barwą purpurową i gałęzie, i płomień, i wszystko; cały dom zdawał się tonąć w tej łunie purpurowej.

— Płomień Anagira!—błysnęło w głowie Neobuli. Było to tak straszne, a jednak nie doznawała lęku. Raczej jakiś dreszcz miły ją przebiegł.

Obejrzała się po świetlicy. Archedemos wciąż jeszcze siedział, odwrócony, i na ustach jego ten sam jeszcze przewijał się uśmiech. Jego ciemnokasztonowate włosy ogniem gorzały na jego głowie, jego oczy kare zdawały się miotać błyskawice; na policzkach jego płonął rumieniec, jakiego Neobula nigdy przedtem u niego nie widziała. Nie mogła teraz oczu odeń oderwać. Włosy, oczy, policzki—wszystko opromienione było ogniem Anagira.

— Jaki on piękny! — rzekła sama do siebie, i zdumiała się, że spostrzegła to po raz pierwszy.— Dotychczas był on dla niej tylko „synem Eurylity“, i, jako macocha, żywiła dlań uczucia raczej nieprzyjazne, składające się z nienawiści, zazdrości i wzgardy.

Postąpiła ku niemu krokiem i teraz dopiero spostrzegła, że nie zupełnie mocno trzyma się na nogach. Lecz odkrycie to sprawiło jej tylko radość. „Jedno z drugiem“,—pomyślała sobie. Łuna coraz bardziej stawała się purpurowa; obejrzała się — całe ognisko zalane było krwią. Z jakąś dziką namiętnością wchłaniała w siebie tę łunę, piła ją — tak, czuła to, płomień Anagira gorzał teraz w jej własnej piersi.

Podeszła do Archedema, wsparła się ręką na jego ramieniu.

Ten odwrócił się nagle. Uśmiech znikł na jego ustach, niemile go snadź uraziło, że cudze dotknięcię wytrąciło go z potoku marzeń.

— Co rozkażesz, mateczko?

Gdyby ktoś inny spojrzał w tej minucie na Neobulę, zdumiony byłby przemianą, jaka w niej zaszła. Jakgbyby pękła jakaś tama i dzika rozkiełznana fala żądzy rozlała się po całej postaci. Oczy, policzki, uśmiech — cała jej osoba, widać było, oddychała jednem nieprzepartem uczuciem namiętności.

— Nie nazywaj mnie mateczką, mój drogi — rzekła: — wszak jesteśmy z tobą równych lat.

— Jakto? Wszak jesteś żoną mego ojca.

— Mogłabym raczej być jego córką! A ty, ty jesteś taki...

Roześmiała się: — po co te podchody?

— Taki jesteś niedomyślny! Muszę ci chyba dać lekcję.

I, to mówiąc, ogarnęła go ramieniem, przyciskając jego głowę do swych piersi...

Archedemos wstał. Kiedyindziej porwałaby go wściekłość lub zgroza, lecz w tej chwili w myślach jego istniała tylko Filira, cały zaś pozatem świat był mu obojętny.

— Nie taki znów niedomyślny, mateczko: doskonale rozumiem, że dla odpędzenia strachu zbyt sobie zaprószyłaś głowę, i że powinnaś udać się na spoczynek. Dobranoc!

Neobula osunęła się na stołek. Posłyszała,

jak Archedemos w sieni o kogoś potrącił, i po głosie poznała, że był to Hagnon.

— Gdzie idziesz?

— Do szopy, do kóz. Tam przenocuję.

Krzyknęła z bezsilnej wściekłości. Tylko nie jego, teraz, nie jego! Znów ten stary, obmierzły mąż! A tamten, śliczny, kochany chłopiec, odtrącił ją od siebie! Nieprzytomna, rozpięła narzutkę i rzuciła na podłogę. I wtenczas dopiero, opuściwszy głowę na swe nagie, dorodne ręce, zalała się łzami.

Wszedł Hagnon.

— Żono! Co się stało? Czemuś krzyczała? Czemu płaczesz?

— Sam widzisz.

Hagnon popatrzył na nią, na pomiętą narzutkę, znowu na nią... Zachwiał się.

— Kto? Mów, kto?

Chwycił ją za rękę; lecz ona, wzdrygnąwszy się od jego dotknięcia, zebrała wszystkie siły i odepchnęła go.

— Sam wiesz.

— Syn mój? Syn mój?... O Anagirze! Anagirze!

I, jak szalony, porwał nóż ze stołu i wybiegł.

Neobula chciała iść za nim, lecz nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Chwytając się ściany, dotarła do portalu i, wspierając się o jedną z sosen Anagira, jęła nasłuchiwać.

Krzyk wściekły... i znowu krzyk... potem ciężki łomot, jakby odgłos przewalających się ciał... i jęki głuche, oddalające się stopniowo... potem nic, tylko wycie jesiennego wiatru i chrapliwy burkot fal sarońskich.

V.

Ciężka mgła zawisła nad nadmorskim futorem.

Hagnon był jak opętany. W ową noc wbiegł do izby, niby ścigany zwierz, z dzikim krzykiem: „Anagir! Anagir!“ i, chwyciwszy żonę za obie ręce, rzucił się wraz z nią na łoże, przyczem Neobula dostrzegła, że chiton jego był cały mokry od wody morskiej. Przez całą noc nie puszczał jej od siebie i od chwili do chwili pytał: „Słyszysz?“ Sam wsłuchiwał się w coś, coś słyszał, lecz nic nie mówił.

Nad ranem stracił przytomność, począł wspominać o dzieciństwie Archedema, obsypując go najtkliwszemi imionami, i biorąc Neobulę za Eurylitę.

Gdy wszakże rozedniało na dobre i rozpoznał żonę, wpadł w taką wściekłość, że omal jej nie zabił. Potem znów się uspokoił, natomiast owładnął nim szalony strach; zaryglował drzwi wejściowe na zasuwkę, sam nie wychodził i żony nie wypuszczał, dając jej zaledwie czas na to, aby nakarmiła Kalligenesa i sama się posiliła. Archedemos wciąż nie wracał; gdy jednak Neobula spróbowała raz zapytać oń ojca, starzec uniósł się takim gniewem, że już więcej nie ponawiała swego pytania.

Tak upłynęło pięć dni.

Na szósty, Neobula, siedząc w świetlicy obok drzemiącego Hagnona, posłyszała czyjś głos, wołający jej po imieniu. Nierychło udało się jej określić, kto ją woła i skąd. Nakoniec, domyśliła się, że zapewne ze śpiżarni. Była to izba ciemna, oświetlona tylko z góry, gdy otwarty bywał zro-

biony w dachu wylot. Istotnie, wszedłszy do śpiżarni, ujrzała, że okienko wylotu było uchylone, z poza niego wyglądała głowa niani.

— Ratuj się, pani!

— Ratować się? Przed kim? Co się stało?

— Wszystko się wydało. Włościanie ze wsi Anagirunta o wszystkiem się dowiedzieli.

— Co się wydało? O czem się dowiedzieli?

— Jakto? Czyżbyś nie wiedziała?

— Nie wiem nic.

— Nie wiesz, że mąż twój oślepił swego syna Archedema i wywiózł go na wyspę pustynną Fabrydę?

— Bogowie!

— Tam też młodzieniec skonał—z głodu lub od ran, niewiadomo. Dziś rano rybacy anagirunccy ciało jego naleźli— zapomocą innych świadków udało się ustalić, jak się wszystko dokonało. Natychmiast zwołano wiec burzliwy i groźny. Postanowiono ukamienować Hagnona, a razem z nim i ciebie, gdyż dla wszystkich było rzeczą jasną, że ty, jako macocha, podszczułaś ojca przeciw synowi. Przychodzę cię uprzedzić: ratuj się, pani, póki czas!

Znikła. Neobula nie słyszała nawet jej słów ostatnich; straszliwe zabójstwo syna przez ojca pochłonęło wszystką jej uwagę. Tak, wiedziała teraz, gdzie jest Archedemos, i wiedziała również, kto był sprawcą jego śmierci.

Opamiętawszy się, rzuciła się do świetlicy.

— Hagnonie! Szaleńcze! Potworze! Co uczyniłeś ze swym synem?

Hagnon, miast odpowiedzi, wydał ryk. Lecz ona nieulękłem wejrzeniem przyjęła jego obłęd.

— Co uczyniłeś ze swym synem?

— A on? A on co ze mną i ze czcią moją uczynił?

— Szalony! Szalony! Czemu pożerasz mię oczyma? Zapóźno! Choćbyś mię zabił teraz, już zapóźno! Wtenczas powinieneś był zabić mię, kiedym te słowa przeklęte wyrzekła, które mi poddał Alastor... czy Anagir, wszystko jedno. On na cześć twoją nastawał? Nieprawda! Ja... ja byłam pijana. A raczej nie, nie zupełnie pijana, to raczej płomień Anagira gorzał w mojej piersi. I on podobał mi się... jeden raz w życiu urzekła mię młodość i uroda, mnie, młodą żonę starego męża. Nie powiesz tego, abym kiedykolwiek zdradziła cię przedtem... ale tym razem, z płomieniem Anagira w piersi, ważyłam się na rzecz niedobrą. On, młodzieniec uczciwy i czysty, wstał i odszedł. Złość uderzyła mi do głowy. O, byłabym się powściągnęła, opanowała. Lecz ty wszedłeś w tej samej chwili, gdy owa złość skowyczała jeszcze w mej piersi. Wygadałam się przez zemstę — niech, pomyślałam sobie, pocierpi i on, jak cierpiałam ja.— A ty, a ty... O, bogowie! bogowie!

Hagnon słuchał jej, ledwie rozumiejąc to, co słyszy. Długo stał, jak wryty. Nareszcie, jakgdyby zrozumiawszy wszystko, skoczył do ogniska, chwycił tlejącą gałąź sośniny i zamierzył się na żonę. Ta nie uchyliła się.

— Bij mię, bij mię! Trzeba było przódziej: teraz już zapóźno!

Lecz Hagnon jej nie uderzył. Niespodziany gwar u drzwi wejściowych odwrócił jego uwagę.

Przez okiennice, skroś szczeliny, widać było łunę, jakgdyby od mnóstwa pochodni. Posypały się ciosy do drzwi. Rozległy się wrzaski:

— Wychodź, Hagnonie!

— Wychodź, synobójco!

— Wychodź, bezbożniku!

— Zemsta za Archedema!

— Zemsta za Anagira!

— Ukamienować go!

— Ukamienować oboje!

Drzwi weiściowe nowe i tęgie, opierały się dotychczas ciosom. Włościanie mieli rohatyny i pale, lecz to nie wystarczało.

— Drągów, — zawołano: — drągów dawać! Przynieście drągów!

Hagnon, miotał się, jak zwierz. Próbował wydostać się przez drzwi boczne, ale i z tej strony widać było pochodnie. Śmierć była nieuchronna.

— Anagiros! — krzyknął. — Ofiarę Anagirowi!

I chwyciwszy z ogniska głownie, rozłożył je u podnóża obu słupów portalu. Na to same miejsce jął znosić też pozostałe gałęzie sosen fatalnych, przechowane do tej chwili w drewutni. Gdy ich zbrakło, począł walić na gromadę kosze, stołki, szkatułki, wszelki sprzęt drewniany. Neobulę przymusił także, aby mu pomagała.

— Noś i ty! I ty zawiniłaś wobec Anagira!

Niebawem cała przestrzeń dokoła portalu stanowiła jeden olbrzymi stos.

— A teraz — ofiara! Ofiara Anagirowi!

Chwyciwszy pochodnię, uprzednio zapaloną na ognisku, cisnął ją na stos. Stos zajął się natychmiast.

Był wielki czas. Znów posypały się ciosy we drzwi wejściowe, ale były to już ciosy inne: włościanie uzbroili się w drągi.

Neobula bez sprzeciwu wykonywała wszystko, czego żądał od niej mąż. Lecz teraz niebezpieczeństwo ostateczne jakgdyby przemogło jej bierność.

— Kalligenes! Kalligenes!

Skoczyła do dziecka, porwała je.

— Neobulo! Zdrajczyni! A ty gdzie?

Wybiegła z komnaty do izby przyległej i zaryglowała drzwi za sobą. Następna izba — była to śpiżarnia; było w niej widno, piastunka zostawiła górne okienko otwarte. Lecz jak wydostać się na dach?

Chwała bogom! W śpiżarni walało się mnóstwo próżnych amfor. Neobula urządziła sobie z ich pomocą schody i wyszła z dzieckiem na płaski dach.

Ale czy stoi drabina, po której musiała wchodzić piastunka? — Tak, stoi, i ludzi tu niema, tu ściana domu kątem sięga w gęsty zagajnik. Neobula pędem zbiegła po drabinie i, niedostrzeżona w mroku nocy przez nikogo, pomknęła pod górę.

Ubiegłszy na stajanie od domu, obejrzała się za siebie. Z wysokiego miejsca dwór cały było widać, jak na dłoni. Śliczny portal buzował się w płomieniach; ogniste języki lizały już ściany pozostałe, poszukując w nich ram drewnianych i be-

lek. Hagnon, oszalały, stał jeszcze przed portalem z podjętemi, jak do modlitwy, rękoma. Neobula mogła była widzieć, jak od żaru zajęło się na nim ubranie, i jak bez tchu runął na ziemię.— Wprędce potem zapłonęły inne części domu.

Ofiara się dokonała.

VI.

Neobula pomknęła dalej. Ale dokąd? Ku morzu? — Niemożna. Byli tam włościanie. Z pewnościąby ją zabili, a i dzieciątkaby nie pożałowali.

A więc w góry. Tak, lecz co począć tam, w pustynnych zaroślach Hymettu? Mniejsza o to. Byle noc przepędzić. Nazajutrz można będzie przedostać się i do Aten, do dobrej królowej Praksytei.

Tylko... na drodze do Hymettu było uroczysko Anagira. Neobula stanęła. Oto ma je przed sobą. — Czarnym mrokiem zionie otwór, przez który ludzie pobożni spuszczali dary do przybytku herosa.

Czarnym mrokiem. Czarnym, jak ta noc dokoła. Czarnym, jak owa... studnia, w którą upadła Eurylita... Upadła?

A jednak przejść trzeba mimo jaskini, niema rady. Kalligenesie, dzieciątko, nie płacz. Przechodzić mimo trzeba w milczeniu, aby nie zauważył...

Prędzej bokiem, bokiem!

Zauważył, bogowie, zauważył! Oto z czarnego dołu wysuwa się ręka, ręka długa, biała; a za nią druga. Pędem, pędem uciekać!

Neobula wciąż biegnie i biegnie. Dziecko krzy-

czy wniebogłosy. Ale jeszcze głośniej wali jej serce, biją jej tętna w skroniach, huczy oddech jej w płucach. Szczególniej ten oddech; słyszy go wyraźniej, niż wystko. Tylko, czy jej to własny jest oddech?

Oglądać się za siebie niemożna; uczucie atoli mówi jej, że nie jest sama, że coś strasznego za nią goni. I, gdy tylko zatrzyma się, lub zwolni kroku, to „coś" ją pochwyci.

Oto mija właśnie gaj. Jak posępnie szumią te dęby, te platany! Jakgdyby pieśń pogrzebowa unosiła się z ponad drzew. I któż to woła ciągle: „Archedemos! Archedemos!"

Pędem! Pędem!

Nie, długo w ten sposób pędzić niepodobna, sił nie starczy. Możeby pokarmić synaczka, aby nie płakał tak żałośnie? A jeśli *on* dogoni?

Ah, boże mój, zechce dogonić, to dogoni i tak. Trzeba rozpiąć chiton, dać dziecku piersi. Mimo to nie zatrzyma się, lecz iść będzie naprzód, krokiem szparkim, chociaż nie biegiem. Masz, kochanie, ssij! Ah, niebożatko, niebożątko, jaką masz główeńkę rozpaloną! — I piersi nie bierze, i wciąż zanosi się od płaczu, tak żałośnie, tak żałośnie...

Cóż to? Obok jej ręki na główce niemowlęcia spoczywa jakaś inna, biała. I czyjś głos szepce: „Zapomniałaś przysięgi? On mój!" Szepce, ale wyraźnie; dziecko przestało płakać.

Strach! Prędzej naprzód, naprzód! Dziecko jest w gorączce, a noc niepogodna. Gdyby choć lepiankę węglarza znaleźć — alboż to ich mało na

Hymecie? Choć duszno będzie i smrodliwie, ale przynajmniej ciepło.

A co za cisza dokoła! Wiatru jakgdyby nie było. Widocznie, kamienna ściana Hymettu osłania. — Tylko niebo po dawnemu jest czarne. Niepokój aż w kości wżera się w tej ciszy. Niechby chociaż dzieciątko znowu zakwiliło! — Lecz ono milczy, milczy. Widocznie zasnęło maleństwo.

I co za ręka jej się przyśniła? Co za pogoń? Dokoła niezmącona cisza. Możeby się obejrzeć? — Strach! — A jednak!... Nic niema. Poprostu przypomniałam sobie Eurylitę; stąd to cały strach.

Chwała bogom! Ukazało się światełko i nawet niedaleko. Niezawodnie lepianka węglarza. Teraz wszystko pójdzie pomyślnie. — I nie odmówią jej gorącego odwaru miętowego z miodem hymeckim — tego przecież wszędzie można dostać.

Jednakże, rzecz dziwna: światło jest białe, majaczące, nie zaś czerwone, jakie zazwyczaj bywa u węglarzy. Skądby to? Jakgdyby jaśń księżycowa w lepiance... — Dziwne.

— Hej, zacny człowieku, przyjmij na noc podróżną z dzieckiem!

Wszystko milczy. A światło płonie — równe, bez drgań, bez falowania. Trzeba wejść. Zejście jest strome, a stopni niema: trzeba jedną ręką trzymać się ściany. Ściana jest zimna, szorstka, wilgotna. Nie, to nie lepianka, to jaskinia w skale.

Dwie izby, przedzielone ścianą kamienną; jedna ciemna, ale druga widna. Obie milczą. — Trzeba wejść do tej widnej. Oh, znowu serce poczęło bić: tu ktoś jest!

I nie widać skąd światło płynie: nic się nie pali. Wypełnia całą izbę jaśnieniem równem, zimnem i martwem. A może to śwatło płomienieje z kamieni? Widywała niekiedy takie światło w zgniłej dziupli zmurszałej wierzby: takie samo białe, zimne i martwe.

Ale czuła się znużona—boże, jak bardzo znużona! Dopiero teraz to spostrzegła. Trzeba odpocząć chwilkę i raz jeszcze spróbować dać piersi Kalligenowi, chociaż zasnął. Tylko, któż to tu mieszka?

Powiodła okiem wokoło... oj! wielcy bogowie, cóż to takiego? Pastuch z kozą, pastuch biały i koza biała—oboje nieruchomi!—A dalej, jeszcze ktoś, równie nieruchomy, siedzi. Lecz trzeba podejść bliżej... Archedemos! Jakże ty się tu znalazłes?

Nie czas na lęki: jest pośród królestwa śmierci, to jasne. Wyjść i tak nie zdoła: nogi odmawiają służby. Tu, obok Archedema, jest siedzisko—także białe, także zimne; wszystko jedno. Trzeba siąść koniecznie.

Nieboraku, co z twoją główeńką? Wciąż męczy cię gorączka? Nie; gorączka spadła. I bardzo nawet spadła; główka jest chłodna, jak te kamienie dokoła.

Aa!... Poco krzyczeć? krzyk i tak w piersi zastyga. Umarł, umarł; to jasne. Umarł on, umieram i ja. I chciałabym wstać, lecz nie mogę; czuję, jak moc kamienna mię okuwa. Nogi już skamieniały zupełnie, tylko piersią jeszcze żyję i głową. Ale i to już nie na długo. I uczucia dawne zamarły

Dzieciątko moje skonało, a mnie nawet nie chce się krzyczeć ani płakać. Umarł on, umrę i ja.

Oto jesteś i ty. Przyszedłeś też i po mnie. Nie jesteś mi już straszny: jesteś wielki i piękny; dobroć jaśnieje w twych oczach. Wiem, osłaniałbyś nasz dom swą opieką, gdybyśmy ukorzyli się przed tobą, i nie walczyli przeciw tobie.... Ot, widzisz, namiętności skipiały; teraz i ja będę cicha... cicha... cichutka... .

VII.

I znowu wypadło święto Kalligenji. Znowu młode matki krainy ateńskiej zebrały się w świątyni Demetry Thesmofory, aby pokazać najcenniejszy plon tego roku i światłonośnym boginiom, i ogółowi obywatelek i powszechnie kochanej królowej Praksytei. Znów pospołu z obu swemi radczyniami obchodziła ta ostatnia szeregi spowiniętych niemowląt.

Tym razem wszystkie trzy, jakby olśnione, zatrzymały się przed jednem maleństwem, ubogo odzianem, ale niewidzianej dotąd piękności.

— Sądzę, obywatelki, — odezwała się królowa — niema co inne oglądać. Takie, jak to, przychodzą na świat raz na dziesięć lat. Takiem snać był niemowlęciem Apollo—oby nam był miłościw!—gdy matka Latona porodziła go pod dziewiczą palmą na Delosie.

Nikt się nie sprzeciwiał.

— Szczęśliwa matko tego dziecięcia, wyjdź! Wyszła, wszelako, taka, której nikt się nie

spodziewał, niewiasta już niemłoda, o rysach łagodnych, lecz grubych. Wszystkie trzy ze zdumieniem spojrzały na nią.

— Czy to jest twoje dziecię, to boskie niemowlę?

— Moje, i nie moje, wielka królowo i czcigodne obywatelki. Czy każecie opowiedzieć, jak się to wszystko stało?

— Opowiadaj!

— Wiecie, jaką śmiercią straszną zginęli wszyscy mieszkańcy futoru nadmorskiego pod Hymettem...

— Zginęli z własnej winy, — dodała królowa, wzdrygając się — A najbardziej winna była Neobula. Na tem tu miejscu złożyła ona, głowy dziecka dotykając, jakkolwiek niekłamliwą, jednak nierzetelną przysięgę. Bogowie atoli patrzą nie na słowa, lecz na intencje ludzi, nie oszuka ich przebiegłość ludzka; radzę i tobie o tem pamiętać, niewiasto.

— Pamiętam o tem, wielka królowo, i zawszem pamiętała; dla tego to nie mogłam wraz z państwem—służyłam u nich za niańkę—przenieść się do nowego domu, wzniesionego z krzywdą Anagira. Pozostałam na starych śmieciach i codzień modliłam się do czcigodnego herosa, aby nie doszczętnie wytracał ród Hagnona, aby został ktoś, ktoby przodków czcił i składał dary na ich grobach. I czcigodny heros modłów moich wysłuchał. Razu pewnego, było to obecnego lata, w tę noc właśnie, gdy na skale Pallady sprawiałyście ku jej czci chóry taneczne, zasnęłam jakoś twardo po mo-

dlitwie do Anagira. A trzeba wam wiedzieć, że i nadal pozostałam, jak dawniej, w starym domu, potem, jak nowy spłonął. Żyję mlekiem koziem i owocami ogrodu, który sama uprawiam; niewiele dokonać mogą moje ręce samotne, ale, widocznie, Anagiros dopomaga.

— Mów dalej!

— Otóż, jakom rzekła, zasnęłam ja twardym snem. I widzę we śnie — podchodzi do mnie mężczyzna, przewyższający ludzi wzrostem i urodą, i mówi do mnie: „Nie bój się, Eutychido, jam jest ten, któremu ty stale modlisz się pobożnie, heros Anagiros. Modlitwa twoją została wysłuchana. O świcie wyjdziesz do mojego gaju, tam, pod młodą lipą, znajdziesz niemowlę, które dopiero co ujrzało światło dzienne. Niemowlę to, jest to *Hagnon*, syn Archedema; będzie on dziedzicem roli i dworu swego dziada, piastunem grobów swoich przodków i żywicielem twej starości. Wyrośnie pod mojem błogosławieństwem, a ród jego nigdy nie wygaśnie. I potomkiem jego będzie ów Archedemos, który ozdobi grotę moją pod Hymettem i przekaże imię swe dalekim pokoleniom". — „O, święty — rzekłam — a któż jest matką niemowięcia?"—„Nie próbuj przenikać tajemnic bogów— odrzekł heros; — wiedz to tylko, że nie bez ich udziału spełnia się to wszystko, co się spełnia". To rzekłszy, zniknął. Ja zaś postąpiłam wedle jego przykazania i znalazłam wszystko, jako mi był zwiastował: niechaj zginę, jak Neobula, jeślim tu rzekła nieprawdę.

— Wierzę ci — ozwała się Praksytea i, oczu

nie odrywając od niemowlęcia, mówiła dalej w zamyśleniu: Hagnon, syn Archedema, latorośl niewinna przeklętego rodu. — Ale był on przeklęty przez Anagira i, skoro Anagiros zdjął zeń swą klątwę, tedy i dla nas dzieciątko jest czyste. Powinnością króla ateńskiego jest czuwać, aby działy roli zgodnie z ustawą i prawem przechodziły z ojca na syna; król jest opiekunem sierot. Eutychido, przenocujesz u mnie; jutro zaś krol Erechteusz pośle wraz z tobą podkomorzego i czeladź na dział Hagnona, aby rola jego rodziła to wszystko, co rodzić powinna, i abyś żyła w dostatku, żadnych nie cierpiąc braków. Troską zaś twoją będzie tylko wychowanie maleńkiego syna Archedema, iżby wzrastał i nadal pod błogosławieństwem Anagira. Lecz wieńca Kalligenji dać mu nie mogę — bogini wyznaczyła go nie dzieciątku, jeno matce za dzieciątko. A więc, obywatelki — do pracy!

ZAMEK JUTRZENKI

I.

Erechteusz, król ateński, miał córkę Prokridę. Jako najpiękniejsza z pośród wszystkich dziewcząt królestwa, zapragnęła, aby poślubiono ją najurodziwszemu z młodzieńców. Wybrańcem tym okazał się młody witeź Kefalos, pan bogatego dworu u wschodniego podnóża lesistego podówczas Hymettu.

Gody małżeńskie z królewskim wyprawiono przepychem; młoda para od samego początku rozkochała się w sobie aż do szaleństwa. Oboje przekonani byli o wieczności własnego miłowania i lękali się tylko tego, by druga strona nie uległa oziębieniu. Aby pokonać tę obawę i oddać się pełni szczęścia, złożyli sobie nawzajem przysięgę, że pozostaną wierni sobie aż po kres życia. I, w istocie, poczęli odtąd żyć tak szczęśliwi, jak tylko można szczęśliwym być na ziemi.

Prokrida — ta, zaiste, nikogo i nic, prócz Kafalosa, nie kochała; nawet święte oblicza ojca i matki zmierzchły dla niej od chwili, w której oczy jej ujrzały jego. Kefalos, oprócz swej żony młodej, acz nie z tą samą namiętnością, kochał

dawne swoje zajęcie, łowy. Zrazu, po ślubie, powstrzymywał się od nich, aby Prokridy nie zostawiać samej; potem jednakże udało mu się przekonać żonę, że nie wypada mu przecież, człowiekowi młodemu, gnuśnieć w cieniu komnat, wzorem białogłowy; a przytem włościanie okoliczni prosili go, aby uwolnił ich to od wilka, to od lisa, to od dzika, lub innego zwierza, co raz po raz z lasów Hymettu wpadał w urodzajne pola Mesogji. Prokrida chętnie puszczała męża, zwłaszcza odkąd przekonała się, jak wiele junacka jego postawa zyskuje w wilczej czapie, jak świetnie wygląda z oszczepem myśliwskim w ręku.

II.

Pewnego razu doniesiono Kefalosowi, że na górnym skłonie Hymettu ukazał się olbrzymi jeleń; wiadomość ta ucieszyła go niewymownie. Zadanie bylo nie bylejakie: należało jeszcze nocą wspiąć się na górę wzdłuż łożyska potoku Charadry, wyśledzić zapomocą wyżła trop zwierza i ukryć się w zasadzce, oczekując poranku, póki rogacz nie przyjdzie napić się z potoku.

Tak też Kefalos uczynił.

Z początku nie widział przed sobą nic, prócz głębokiego stropu niebios, usianego mirjadami gwiazd. Powoli wszakże, w miarę tego, jak niebo zaczynało blednąć, a gwiazdy przygasać, z mgły przedświtnej kamienne jęły wypływać obszary; Kefalos wiedział, że były to wyspy — Eubea, Andros, Tenos,—zdobiące niewidzialną tymczasem toń

morza Egejskiego. Podwoił czujność: skoro je już widać, więc lada chwila zaświta jutrzenka.

I nagle rozpłonął niby stos na szczycie góry androskiej; rączo rozlały się płomienie, ogarniając obłoki, wieńczące siwą jej głowę. We wszystkich kierunkach śmignęły smugi purpurowe — to ona, różnopalca! Tyle razy spotykał ją po tej zasadzce nocnej, ale nigdy nie wydała mu się tak piękna. „Wstań, Jutrzenko!“—szepnął, śląc jej pozdrowienie wraz z obudzonym ze snu wietrzykiem.

Lecz cóż to? Purpurowe promienie prostują się, niby pnie smukłe stoją na szkarłatnym szczycie. Widać dziesiątki ich, setki; z przodu wyglądają niby palmy, złotemi jaśniejące liśćmi; dalej—błyszczą niby kolumny, złoty wspierające dach. Góra mknie naprzeciwko góry; coraz bliższe, bliższe jest królestwo czarodziejskie. Kefalos już rozróżnia tęczopióre ptaki, przefruwające z palmy na palmę; jak dźwięczny, jak słodki jest ich śpiew! Niektóre podfruwają ku jego górce, siadają na jej platany i dęby i, niby liście strącone od wiatru, staczają się ku niemu; on schyla się po nie, lecz są to jedynie kamyki z łożyska Charadry... Coraz bliżej, coraz bliżej!... Oto sam on śród czarownych znalazł się drzew! Jego chiton goreje, niby purpurowy płomień. Oto widać już gmach, cały ze złota i szkarłatu; cóż to, świątynia czyli zamek? Podwoje jego są jeszcze zamknięte; lecz oto i one drgnęły, powoli, powoli się rozwarły. W podwojach zaś stanęła ona z wianem róż na głowie, i w stroju usianym różami.

III.

Podeszła ku niemu i wyciągnęła doń rękę z uśmiechem pieszczotliwym na przecudnych ustach.

— Kefalosie, dosięgłeś krańca piękności ziemskiej i ziemskiego szczęścia; teraz otworzył się przed tobą Olimp. Wstąp do mego zamku, jako wybraniec mój i ulubieniec, dostąpisz przeze mnie piękna i szczęśliwości bogów.

Lecz Kefalos nie podał jej ręki. Wzniósł ją, jak do modlitwy, i rzekł głosem cichym, lecz stanowczym:

— Bądź błogosławiona, bogini! Zbuduję ci ołtarz u wschodniej ściany mego domu, ty zaś, jeśliś łaskawa na mnie, pozwól, abym pospołu z Prokridą do głębokiej starości składał ci na nim ofiary, i daj nam umrzeć pospołu tego samego dnia.

— Z Prokridą? Opamiętaj się! Czyż Prokrida piękniejsza jest i powabniejsza odemnie?

— Nie, bogini! Nie równać się jej skromnej, ziemskiej urodzie z boską urodą niebianki. Ale ja kocham ją, jak i ona mię kocha, i poprzysięgliśmy sobie nawzajem miłość wieczną.

Tu cień smutku osiadł na świetlistem licu Jutrzenki i ciągnęła dalej:

— Ach, gorzkie plemię istot jednodniowych, wy śmiecie mówić o wieczności? Wiatru jutrzejszego przepowiedzieć nie umiecie, a wyobrażacie sobie, że znany wam jest kierunek uczuć waszych na wieki. A czy ty wiesz, że Prokrida pierwsza złamie ślub zaprzysiężony?

— Prokrida? Nigdy się to nie stanie!

— Stanie się to dziś jeszcze, a jutro ty będziesz w moim zamku.

To rzekłszy, Jutrzenka zbliżyła się do Kefalosa i przesunęła swą dłoń miękką po jego głowie; rozwiała mrok jego włosów czarnych tak właśnie, jak jej promienie na niebiosach rozpraszają mrok nocnego firmamentu, i kędziory złociste zajaśniały pod jej dłonią. Dotknęła jego twarzy i — rumieniec pokrył jego smagłe policzki. Położyła mu ręce na ramionach i stał się on wyższy i dorodniejszy, i potęga nieziemska wstąpiła w jego mięśnie. Lecz on stał, jak zaczarowany, nie zdając sóbie sprawy z tego, co się z nim dzieje. Wtenczas ona schyliła się ku niemu—i gorący pocałunek zapalił się na jego ustach.

Poczem, odstąpiwszy odeń, zdjęła naszyjnik — lśniący naszyjnik z ogniw złotych z dużym na każdem ogniwie rubinem — i złożyła go ostrożnie na skale.

— Bądź zdrów, kochany, rychło będziemy razem!

Odeszła jeszcze dalej, aż skryła się w swym zamku. Wtenczas gmach cały uniósł się na powietrze i utonął w błękicie eteru.

Z wyżyn zaś góry androskiej świeciło słońce, i blask jego odbijał się w modrem zwierciadle morza Egejskiego.

IV.

Wtem coś zaszumiało, zatrzeszczało w zaroślach, olbrzymi gmach jelenia stanął śród wierzb

i oleandrów, obramiających łożysko Charadry. Kefalos chwycił za oszczep, lecz już było zapóźno: rogacz poczuł człowieka i, nim oszczep zdołał go dosięgnąć, zniknął w lesie przeciwległego brzegu.

Oszczep zaś uderzył w sosnę i przebił ją na wylot.

Kiedyindziej niepowodzenie rozjątrzyłoby było Kefalosa, lecz teraz wszystkie myśli jego mknęły ku Prokridzie. Marzył jedynie o tem, aby wrócić do niej, odpocząć, zapomnieć się na jej wiernej piersi.

— Aura, do domu! Gdzieżeś ty, Aura?

Pies, szczekając, rzucił się był w pogoń za uciekającym zwierzem. Teraz pędem powracał do swego pana; nie dobiegłszy atoli, stanął o parę kroków, jak wryty, i groźnie warcząc, postawił uszy.

— Aura, do nogi!

Lecz Aura stała nieruchomo, warcząc jeszcze groźniej. Podszedł ku niej, aby ją schwytać; wtenczas, wściekle szczekając, wpiła się w jego nogę. Odtrącił ją stopą: Aura z żałosnym skowytem wzleciała w powietrze, trzasnęła o drzewo, i z rozbitym czerepem padła na ziemię.

— Bogowie, cóż się to ze mną dzieje? Czyżby mię sen zmorzył na brzegu Charadry? Czyżby we śnie nawiedziła mię Nimfa swym odbierającym zmysły urokiem?

Nagle wzrok jego padł na naszyjnik Jutrzenki, wciąż jeszcze mieniący się na urwisku skały w promieniach porannego słońca. Wziął go do ręki —

tak, było to złoto prawdziwe, prawdziwe ogniokwietne rubiny.

— Podaruję go Prokridzie — pomyślał. — Równego temu nie znajdzie się w całym skarbcu króla Erechteusza.

Rzucił spojrzenie pożegnalne na zwłoki towarzysza i szybko jął zstępować z góry łożyskiem Charadry.

V.

Było już południe, gdy Kefalos — bez psa, bez oszczepu i bez zdobyczy — doszedł do dziedzińca swego dworu; drzwi jednak były zamknięte, jak zazwyczaj, gdy gospodarza nie bywało w domu. Ujął za klamkę; dał się słyszeć trzask, poczem drzwi wraz z osią i złomkami zasuwki znalazły się na podłodze.

Cicho, cichutko podszedł do żony i znienacka zarzucił jej na ramiona naszyjnik Jutrzenki.

— O Afrodyto! cóż za śliczności! — zawołała.

Szybko obejrzała się i, ujrzawszy Kefalosa, odskoczyła ku ścianie komnaty, wrażając weń napół przerażony, napół oczarowany wzrok.

— O, kim jesteś, gościu? Jeśli jesteś bogiem, bądź nam miłościw! I, zaiste, jesteś bogiem; złotem słońca lśnią twoje kędziory, i rumieniec jutrzenki płonie na twych licach.

Kefalos drgnął i opuścił oczy.

— Przebacz mi, Prokrido — wyszeptał: — kocham ciebie i tylko ciebie. Tak, byłem w królestwie czarodziejskiem, ale widzisz, przychodzę do

ciebie. O, zmiłuj się nademną i daj mi odpocząć od wszelkich czarów na twej piersi!

Znów spojrzał w jej oczy—pod jej łagodnem, dziecięcem wejrzeniem zgasł pocałunek bogini na jego ustach. Uczuł to wyraźnie; nie posiadając się z zachwytu, porwał ją w objęcia. Nie miała sił, aby mu się opierać.

— Przebaczasz mi, tak? Kochasz mię, tak, Prokrido?

— Nie wiem, co się ze mną dzieje—szepnęła—wszystko to jest tak nagłe, tak dziwne...

— Przebaczasz? Kochasz? Powiedz, że kochasz!

W milczeniu skłoniła głowę na jego ramię.

VI.

— Otwórzmy okiennice, mój miły. Pragnę raz jeszcze spojrzeć z zachwytem na ciebie.

— Dobrze, kochanie, ja sam także chcę je otworzyć. Nie rozumiem, co się ze mną stało: coś skrzydlatego, jakiś nietoperz snadź dotknął się mnie i wlał w żyły moje tęsknotę i omdlałość.

Podszedł do okna i z trudem otworzył okiennice. Fala światła wpadła do komnaty.

— No, nareszcie doznałem pewnej ulgi.

Znów powrócił do niej.

— A teraz popatrz na mnie jeszcze raz tak, jak patrzyłaś wtenczas... Prokrido, co tobie?

Zerwała się z dzikim wrzaskiem, patrząc na męża, jak gdyby na widmo. Chciał ująć jej rękę, odskoczyła od niego.

— Kefalosie... a więc to byłeś... ty?

— Prokrido, co się stało z twoim naszyjnikiem?

Na nitce żółtej chwiały się suche, w trąbkę zwinięte liście wierzbowe: pod niemi widniały, zamiast rubinów, duże piętna krwawe, okalające całą białośnieżną szyję Prokridy.

Ale jej nie naszyjnik był w głowie: nieprzytomna od zgrozy, nie spuszczała oczu z Kefalosa i wciąż powtarzała:

— Kefalosie... to byłeś... ty?

— Prokrido, a za kogoż ty mię brałaś?

Teraz dopiero przypomniał sobie przepowiednię Jutrzenki.

— Prokrido, ty... wzięłaś mię za kogoś innego i mimo to mogłaś... po naszej przysiędze?...

Opuściła oczy, lecz wkrótce znów je podniosła: lśniła w nich trwożna nadzieja:

— Kefalosie mój, drogi mój... wszak skoro to byłeś ty, to ja nie złamałam przysięgi. Wszak nikt, prócz ciebie, mnie nie tknął. Więc jakoż, wobec tego, nie byłam ci wierna?

Lecz on nie odpowiedział jej. Smutnie zwiesił głowę, skierował kroki ku drzwiom i ścieżkom, wiodącym w stronę góry.

VII.

Nie próbowała go Prokrida zatrzymać: czuła, że byłoby to próżne.

Zawołała staruszki Polimeli, swej piastunki, która przeszła za nią z domu Erechteusza, i teraz była u niej klucznicą.

— Nianiu kochana, spełnij moją prośbę, ale tak, aby nikt się o tem nie dowiedział. Pomóż mi umyć się i odziać w strój cały czarny.

Staruszka plasnęła rękoma.

— Na bogi, dziecino! Po co to?

— Nie pytaj, kochana, jeśli mię kochasz; zrób to, o co cię proszę.

Polimela zniżyła głos:

— Nieprawda, dziecino — tajemniczo szepnęła piastunka — ów gość wyniosły i wspaniały, był to sam Hermes? I przyniósł ci on wiadomość, że mąż twój — umarł?

— Tak, nianiu, mąż mój umarł — dla mnie.

— Ale czemuż, dziecino, był on tak podobny do niego samego?

— Bogowie upodobniają się, do kogo zechcą, nianiu, nie wtajemniczając nas w swe zrządzenia. Lecz zrób to, o co cię proszę: muszę dopełnić pewnego obrzędu żałobnego, którego on... Hermes... żąda ode mnie.

Staruszka usłuchała; umywszy się i ubrawszy, Prokrida pocałowała ją na pożegnanie i udała się również w stronę Hymettu. Doszła do miejsca, gdzie Charadra, zbiegłszy z góry, kaskadą ciska się w przepaść. Przepaść tę poczytywano za wstęp do królestwa umarłych.

Lecz teraz promienie słońca igrały w pianach wodospadu, nad niemi mieniła się tęcza, pod kręgiem zaś tęczy siedziała najada i śpiewała, grzejąc w upale południa swe ciało srebrzyste. Zoczywszy Prokridę, zawołała ku niej:

— Przedsięwzięłaś rzecz niepodobną, kró-

lewno; nie w taki sposób schodzi się do królestwa podziemnego, a zresztą nie czas jeszcze na ciebie. Poczekaj, pozwól mi przypomnieć sobie: znam ja piosnkę i o tobie.

Najada spuściła wzrok ku falom swego potoku; powoli oczy jej zaiskrzyły się blaskiem proroczym i, przeciągle skandując, zaspiewała:

Jest na morza krawędzi przybytek od Zeusa wybrany,
  Wyspa, co Kretą się zwie: Minos panuje tam król.
Moc odziedziczył on cudów w spadku po boskiej macierzy
  Oszczep niechybny, śród nich, zawsze godzący w sam cel.
Oszczep ten musisz wysłużyć służbą przez rok dobrowolną;
  Tem odkupisz swój grzech — męża odzyskasz, swój skarb.

Ledwie przebrzmiały ostatnie słowa pieśni, tęcza natychmiast zgasła i najada znikła w potoku.

— Dzięki ci, nimfo! — krzyknęła za nią Prokrida i z nową, rześką w piersi nadzieją skierowała się ku drodze, wiodącej do przystani ateńskiej, Faleron.

VIII.

Zapadał już zmierzch, gdy stanęła nad brzegiem morza; lecz noc zapowiadała się cicha, księżycowa i przystań żyła całą pełnią życia. Prokrida zoczyła statek trzydziestowiosłowy, gotów do odpłynięcia; kotwica była podniesiona, w tej chwili odwiązywano liny. Właściciel statku wydał się jej osobą znajomą.

— Skąd i dokąd, Euagorze? — spytała.

— Z Knosu, z Krety, królewno Prokrido, przywiozłem ładunek drzewa cyprysowego, teraz jadę

z powrotem z ładunkiem wyrobów garncarskich, zamówionych przez Minosa. Ale dlaczegóż to widzę cię w żałobie?

— Weź mię z sobą, Euagorze.

— Co mówisz, królewno! A toż potem wszystkie przystanie króla Erechteusza byłyby dla mnie na wieki wieczne zamknięte.

Prokrida zdjęła z palca pierścień ze złota litego z dużym diamentem — przedślubny dar ojca — i podała go żeglarzowi. Radość zalśniła w jego oczach.

— Prędzej po schodkach, królewno, dopóki nikt cię nie poznał! Ty zaś, Kimotojo — dodał, do okrętu swego się zwracając — oddaj mi tę ostatnią jeszcze usługę; potem nie będę już losu twego powierzać uwodnej Amfitrycie. Ster twój zawieszę nad ogniskiem i w pokoju zestarzejesz się na dziedzińcu Dioskurów.

IX.

Minęły dwa dni. Król Minos siedział w komnacie tronowej swego pałacu w Knosie, na wyniosłem kamiennem siedzisku, po obojej jego stronie możni panowie, członkowie rady. Posiedzenie snadź dobiegało już końca.

U drzwi komnaty ukazał się wartownik.

— Przed pałacem stoi kobieta niezwyklej urody; niewiadomo, bogini, czy ziemianka, cała czarno ubrana; pragnie rózmówić się z tobą sam na sam. Czy rozkażesz ją wpuścić?

Minos był to mąż mądrości wielkiej, ale zarazem niezmiernie na wdzięki niewieście czuły.

— Narada nasza skończona, druhowie; lecz proszę, abyście się nie rozchodzili, lecz poczekali na mnie na dziedzińcu, przed ołtarzem. Zeusowi należy się ofiara, po niej zaś będzie uczta.

Gdy panowie rada opuścili komnatę tronową, król rozkazał, aby wprowadzono nieznajomą.

Weszła.

— Na imię mi Antyfila, jestem córką Polifila z Toryku attyckiego. Matka twoja, słynna Europa, wybranka Zeusowa, przekazała ci w puściźnie oszczep niechybny, zawsze trafiający we wszelkiego zwierza. Przepowiednia nakazuje mi wysłużyć ten oszczep u ciebie, aby grzech odkupić. Proszę, abyś wolę bożą uszanował i przyobiecał mi ten oszczep: w zamian ofiaruję ci się sama na rok jeden za niewolnicę.

Gdy mówiła, Minos, słuchając, pożerał ją wzrokiem; niedobrym ogniem gorzały jego oczy. Powstawszy, podszedł do niej i władczo położył dłoń na jej ramieniu.

— Za łaskę — łaska; czyż nie tak, Antyfilo?

Skromnie lecz stanowczo uchyliła się z pod jego ręki i, odrzuciwszy górną połę swego chitonu, ukazała Minosowi krwiste plamy, okalające jej szyję.

— Opaliła mię błyskawica Zeusa; ciało me, to—żywe „enelizjum", święte dla wszystkich, zwłaszcza zaś dla ciebie, synu Zeusowy!

Minos cofnął się z przestrachem, zdjął nad tronem jego wiszącą labrję, srebrny topór o dwu

ostrzach miedzianych, godło Zeusa kreteńskiego, i, pocałowawszy go, dotknął nim czoła i piersi.

Prokrida, zadowolona, ciągnęła dalej:

— Nie obawiaj się, potrafię być niewolnicą pożyteczną. Umiem żąć, suszyć, mleć; znam wszelkie zaklęcia, ocalające i kłosy od rdzy, i ziarno od śnieci, i mlewo od skażenia pyłem kamieni młyńskich. Czy przystajesz więc na warunki?

Minos kiwnął głową i kazał wołać komornika:

— Jest to Antyfila, nowa niewolnica, jaką Euagoras przywiózł mi z Attyki.

Poczem, widząc, że grube rysy komornika rozpłynęły się w uśmiechu, który nie wróżył nic dobrego, dodał, znacząco podnosząc labrję:

— Jest to piorunnica ojca mojego, Zeusa; gorze tobie i wszystkim, ktoby choć palcem dotknął kraju jej szaty!

X.

Upłynął rok.

Do bogatego ongi dworu Kefalosa pod Hymettem zbliżała się kobieta; kroczyła z trudem, raz po raz wspierając się na kiju, który miał kształt niezwykły i zdaleka świecił swem miedzianem ostrzem; w istocie był to nie kij, ale oszczep — oszczep niechybny; wszelako w znużonej kobiecie niełacno było odpoznać Prokridę.

Dwór znalazła takim, jakim go opuściła. Wszystko było puste; w najgłębszej dopiero izbie środkowej, kędy przechowywały się skarby domowe, odnalazła staruszkę, która, zoczywszy swą panią, z głośnym płaczem rzuciła się jej na szyję.

Była to jej piastunka, Polimela. Natychmiast jęła opowiadać, jak po jej odejściu wszystka się czeladź rozbiegła, jak wszystko zostało złupione i jak z trudem zaledwie udało się jej ocalić skarbiec pański.

Prokrida słuchała jej z roztargnieniem.

— Powiedz mi lepiej co innego, nianiu: czy masz u siebie co do jedzenia? Ja od dwóch dni nie miałam nic w ustach.

— Znajdzie się coś nie coś, dziecinko; przy całej biedzie, na dwie osoby starczy.

— Na troje musi starczyć, nianiu.

— Na troje? A któż jest trzeci?

Prokrida dumnie wzniosła głowę:

— Mąż mój. Niema go jeszcze, ale przyjdzie. Skąd przyjdzie, nie wiem, ale przyjdzie, przyjdzie jeszcze dziś, i wszystko znów będzie po dawnemu.

Starowina jęła się krzątać. Niebawem stół był zastawiony, jak należy: trzy miski, trzy kielichy, w każdym iskrzyło się wino. Prokrida nie tknęła ani chleba, ani wina, wciąż jeno patrzyła w drzwi środkowe. Nakoniec drzwi się otwarły i Kefalos wszedł.

— Siadaj—rzekła doń tkliwie i poprostu, jak gdyby rozstali się byli ze sobą przed godziną.

XI.

Uczta się skończyła; piastunka poszła do swej izby. Wtenczas dopiero Prokrida przycisnęła głowę do piersi męża, ogarnęła szyję rękoma i cicho rzekła:

— A teraz możesz mi powiedzieć, kędyś bywał przez ten rok cały?

— Byłem w zamku Jutrzenki.

— Mów dalej.

— W rajskich rozkoszach i w szczęściu upłynął mi ten czas. I bogini wszystko dzieliła ze mną, wszystko...

— Mów dalej.

— Pozostawało tylko jedno: nieśmiertelność. Już miałem puhar nektaru przed sobą; ale wiekuiste prawa bogów stawią śmiertelnym jeden warunek niezłomny: trzeba zapomnieć o wszystkiem, co ziemskie.

— A ty?

— Gdy rozwarły się przedemną podwoje zamku Jutrzenki, ogarnęła mię fala takiej szczęśliwości, żem zapomniał o wszystkiem, i gdyby wówczas bogini podała mi swój puhar, wychyliłbym go bez wahania. Ale przedtem upłynąć musiały trzy dni i trzy noce; trzeciego zaś dnia przypomniałem — ciebie.

— Było to wtenczas, gdym ja zaczynała swą służbę u króla Minosa.

— Jaką służbę? Czyż ty nie cały czas spędziłaś tutaj?

— Nie pytaj jeszcze, opowiadaj dalej.

— Przypomniałem ciebie i nie mogłem już odtąd zapomnieć. Otaczało mię szczęście i przepych życia rajskiego, lecz w duszy mej była tęsknota; i oto, widzisz, jestem tutaj. A ty?

— Mnie otaczała nędza i poniewierka doli niewolniczej, lecz w duszy mej była radość, wie-

działam, że zobaczę ciebie. Praca była ciężka, zwłaszcza przy żarnach. Trzeba było wpierać się piersiami w drąg i chodzić dokoła, od wczesnego rana do późnego wieczoru, dzień w dzień. Spójrz, długo tę pracę będę pamiętała!

Rozpięła chiton i ukazała mu pod samą piersią długą, krwawą brózdę; boleśnie ścisnęło się w nim serce, lecz zauważył on przytem jeszcze coś innego.

— Prokrido, a gdzie te okropne plamy krwiste, które zostawił na twej skórze naszyjnik?...

— Naszyjnik Jutrzenki? — spytała z uśmiechem.—Plamy bladły z każdym miesiącem, aż znikły nareszcie, skoro dopełnił się rok. I wtenczas otrzymałam swą nagrodę od króla Minosa—oszczep niechybny, godzący zawsze w cel. Onego czasu chybiłeś jelenia, teraz żadna już zwierzyna nie ujdzie przed tobą. Strzeż go, Kefalosie: zapłaciłam zań swą urodą.

Prokrida badawczo popatrzyła mu w oczy. lecz w oczach nie było nic, prócz miłości i słodyczy,

— Ciężka była służba—mówiła dalej—nieraz ze znużenia zasypiałam, stojąc, oparłszy się piersią na drągu, ale natychmiast budził mię groźny okrzyk nadzorcy: „Antyfilo, zbudź się!“ Antyfila—to byłam ja...

— Prokrido, na ciebie krzyczeli. Ciebie, być może, bili. I może jeszcze, jeszcze... coś gorszego...

Prokrida po raz wtóry badawczo nań popatrzyła i znów ujrzała w jego twarzy jeno miłość i tkliwość.

— Nikt mnie nie tknął—odrzekła z naciskiem.—

Ci sami, co krzyczeli: „Antyfilo, zbudź się!“ dodawali szeptem: „Piorunnico Zeusa, zmiłuj się nad nami“.

— Piorunnico? Dlaczego piorunnico?

Podniosła nań głębokie spojrzenie swych zapadniętych oczu, i — Kefalos nie powtórzył swego pytania.

XII.

Prokrida przepowiedziała trafnie: wszystko iść znów poczęto po dawnemu. Czeladź powróciła, dowiedziawszy się, że wrócili państwo, przynosząc z powrotem złupione mienie. Dwór już nie wydawał się jej straszny. Który z pastuchów, co widział był Prokridę nad przepaścią Charadry, opowiadał, że zstąpiła ona do podziemi; i, oto, teraz jęła krążyć pogłoska, że całoroczną służbą u króla podziemi wyzwoliła męża. Ci, co ją dawniej kochali, teraz poczęli ubóstwiać. Sama zaś wprędce przemogła przykre skutki doznanej udręki: młodość brała górę i, nim kilka minęło miesięcy, Kefalos miał znów swą poprzednią Prokridę, śliczniejszą od wszystkich. Trapiła ich tylko starowinka niania; wstrząśnięta tem wszystkiem, czego doświadczyła, zległa do łóżka, i nie było już nadziei, aby mogła wyzdrowieć.

Stare życie dogorywało, zapalało się natomiast nowe; po upływie roku Prokrida mogła sprawić mężowi uciechę wiadomostką, dzięki której stała mu się jeszcze droższą.

— Widzisz — rzekł do niej — tam, na niebiosach, nie mogłem zapomnieć o świecie ziemskim,

a przy tobie zapomniałem o wszystkiem, com przeżył w niebie.

Mówił prawdę, Prokrida o tem nie wątpiła. Wszystkie szczegóły również swego pierwszego widzenia już wcześniej zdążył był jej opowiedzieć, jak gdyby w tym właśnie celu, aby się ich pozbyć i zapomnieć.

— Dlaczegóż to nie idziesz wypróbować swego oszczepu niechybnego, który z takim trudem dla ciebie zdobyłam?

— Wypróbuję go przy sposobności — odpowiedział.

Sposobność niebawem się zdarzyła.

XIII.

Znów olbrzymi ów jeleń ukazał się w lasach Charadry, na górnym skłonie Hymettu. Znów należało z wieczora udać się do lasu, aby w milczącej zasadzce oczekiwać świtu.

Prokrida ze spokojem wyprawiała męża.

— A ty co będziesz robiła?—spytał Kefalos.

— Wcześniej legnę spać, aby zbudzić się nad ranem, i zobaczyć, jak przybijać będziesz rogi jelenia do tryglifu naszego domostwa.

Poszedł. Ona zaś długo spoglądała za nim, pojąc wzrok siłą i harmonją jego ruchów, oraz lśnieniem czarnoksięskiego oszczepu w promieniach zachodzącego słońca.

Położyła się i zasnęła, ale sen jej nie trwał długo. Ocknęła się śród nocy z krzykiem, rękoma szukając Kefalosa obok siebie. Nierychło przypo-

mniała sobie, gdzie jest on obecnie; lecz przypomnienie to napełniło serce jej nową tajemniczą trwogą. Jak mogła wyprawić go samego?

Podeszła do okna i otworzyła okiennice. Była północ, księżyc wzbił się wysoko i zalewał swym blaskiem Hymett oraz równinę Mesogji.

Cyt... ktoś jęczy... tak, to jęczy biedna, chora niania. Trzeba ją odwiedzić; lecz naprzód Prokrida ubrała się i odziała, jak do wyjścia.

Niania spostrzegła to:

— Dokądże to, dziecinko?

— Do niego, nianiu, Źle zrobiłam, puszczając go samego. Ale ty nie obawiaj się niczego: nad ranem wrócimy oboje, a tymczasem posiedzi Klimena przy tobie.

— Nie o siebie mi chodzi; mogę i sama jedna umierać. Ale ty nie chodź...

Staruszka nagle dźwignęła się na posłaniu, chwyciła ręce swej wychowanicy: oczy jej były szeroko otwarte.

— Ty nie widzisz, ale ja widzę...

— Co widzisz?

— Różę...

— Tak?—krzyknęła Prokrida.—W wieńcu róż? I w stroju, różami usianym?

— Nie, jedną różę... różę na zieloności... różę okropną...

Najwidoczniej, mówiła w gorączce! Prokrida ostrożnie rozwarła jej dłoń i z powrotem ułożyła ją na posłanie. Stara znów zaczęła jęczeć, powtarzając niekiedy swe słowa ostatnie:

— Różę na zieloności... różę okropną...

XIV.

Wszystko było widać, jak w dzień. Prokrida szybko doszła do stóp góry, w tem miejscu, kędy Charadra kaskadą rzuca się w przepaść. Tu wydało się jej, że skroś szum fali słyszy swe imię.

Zbliżyła się do potoku. Biała jego piana zdawała się jeszcze bielszą w promieniach księżyca. Zrazu nie mogła rozróżnić nic poza pianą; lecz, usłyszawszy raz jeszcze, i przytem wyraźnie, swe imię, ujrzała jak gdyby dwa robaczki świętojańskie tuż obok we mgle głębiny i zrozumiała, że były to oczy najady.

— Wybacz mi, nimfo, i nie gniewaj się na mnie; na najbliższym nowiu krew jagnięcia zarumieni twe fale. Pamiętam twoje dobrodziejstwo i nie zapomnę go nigdy.

— Dobrze, że pamiętasz. Na szczęście jego i własne usłuchałaś mnie wtenczas; dla szczęścia obojga usłuchasz mnie i teraz. Wracaj do domu, Prokrido. Nie lękaj się nadmiaru zaufania, wróć do domu.

— Dlaczego?

— Dlatego, abyś mogła zarumienić krwią jagnięcia moje fale na najbliższym nowiu. Nie lękaj się nadmiaru zaufania, wróć!

— Co to znaczy — nadmiaru zaufania?

Jednakże odpowiedzi na pytanie swe nie otrzymała; gdy zaś jęła znów szukać obu światełek w mglistej przepaści, już ich nie odnalazła.

— Cóż począć, powrócę, skoro tak.

Poszła z powrotem. Dom jej widniał przed

nią, jak na dłoni; poza nim wzgórza, odgradzające Mesogję od smugi wybrzeża morskiego. Gwiazdy tonęły w poświacie księżyca; Prokrida wszakże bez trudu obliczyła, że tam, nad morzem, wschodzi teraz Baranek. Za Barankiem wzejdą Plejady, a wtenczas...

Drgnęła: róża na zieloności, róża okropna...

I krokiem stanowczym, nie oglądając się po za siebie, poszła pod górę.

XV.

Otóż i skłon najwyższy; wszystko widać tak jasno w świetle księżycowem. Pod platanem, nad łożyskiem Charadry, spoczywa Kefalos. Drzemie snadź czujną drzemką mysliwską, dłoń jego nie wypuszcza cudownego oszczepu. Tak, tym razem zwierzyna mu nie ujdzie.

Skryła się w zaroślach na murawie. Kefalosa z tego miejsca nie było widać, pod oczami jej zato roztaczała się cała Mesogja wraz ze swemi dolinami i wzgórzami, a dalej morze mgły, a dalej kamienne obszary Eubei, Androsa, Tenosa. Wszystko zdawało się jakby nierzeczywiste, wszystko budziło trwogę: „Gdyby nie było tu w pobliżu jego, oszalałabym ze strachu“.

Oto, księżyc jął znikać za grzbietem Hymetta. Olbrzymia ściana czarna opuściła się z góry i jęła sunąć po równinie, pochłaniając doliny i wzgórza Mesogji, potem pas mgły, potem gory na wyspach, a wreszcie i niebo. Na niebie ukazały się gwiazdy; tam, ponad niewidzialną górą

iskrzyło się złote runo Baranka, nieopodal snadź były Plejady.

Znów przygasły gwiazdy, bladość przedświtna pokryła błękit nieba, na jej zaś tle coraz wyraźniej jął rysować się dwuskrzydły namiot góry androskiej.

Oczy Prokridy płonęły od bezsenności i napięcia; im bliższa była godzina świtu, tem głośniej biło jej serce, biło tak głośno, że lękała się, aby Kefalos uderzeń jego nie usłyszał.

Oto zapaliło się... nie jeszcze... Prokrida przetarła oczy... ach, jak były gorące, te oczy biedne, pod dotknięciem jej chłodnej ręki! Znów spojrzała ku wschodowi... Tym razem nie było już wątpliwości: różowy płomień strzelił z góry androskiej i jak pocisk wzbił się na wyżynę: za nim drugi, trzeci. Z tenoskiej także, i z eubejskiej... całe niebo zbróżdżone różowemi słupami. Oślepiona, odwróciła oczy ku czarnej ścianie Hymettu. Bogowie! I tutaj to samo, wszędzie słupy różowe.

Oderwała spojrzenie od góry, zwróciła je na pobliski gaj wierzbowy i krzewy oleandru. I tutaj to samo, wszystkie krzewy płoną, wszędy kolumny, i słupy, i róże, róże, róże. Cała ulewa róż pada wokoło z nieba, z drzew, zewsząd.

Znikły niebo, lasy, góry, wszystko dokoła roztapiało się w purpurowej łunie...

— To zamek Jutrzenki! Kefalosie, Kefalosie!

Rzuciła się ku niemu.

Zaszumiało w zaroślach. Kefalos ocknął się.

— Jeleń! Dopomóż, Artemido!

I niechybny oszczep śmignął ku niewidzialnej

zwierzynie, błyskając swem ostrzem miedzianem w różowym blasku Jutrzenki.

. . . .

Gdy nad Androsem wzeszło słońce, promienie jego oświeciły jelenia, spokojnie pijącego wodę Charadry, śród milczenia drzemiącej góry.

KRÓLOWA WICHUR

PROLOG

I.

— Wierzaj mi, pani — rzekła wróżka, sowitą ucztę jeszcze sowiciej zapijając winem: — nie będzie to żadne proroctwo, co ci powiem, lecz głos długoletniego doświadczenia: albo to mało was, młódek, przewinęło się przez moje ręce? Jakoż ze wszystkiego widzę, że znów u ciebie zanosi się na dziewczynkę...

— A bodaj ci język usechł!—z gniewem wtrąciła Polimela, leciwa piastunka maleńkiej królewny Prokridy.—Opłaciło się też podejmować wszystkie te przybłędy, wałęsające się dokoła naszego Akropolu.

— Daj jej pokój,—surowo przecięła królowa Praksytea, — cóż ona winna temu? Powiedz mi lepiej, czcigodna podróżnico, i tym razem już, jako wieszczbiarka: w jaki sposób mogłabym odzyskać łaskę bogów, iżby obdarzyli mię królewiczem.

Podróżna popiła wina i pogrążyła się w zadumę. Nastała uroczysta cisza. Polimela, nawet i ta, mimowoli zataiła oddech.

— Powiedz mi, naprzód, królowo, czy odby-

łaś po swym ślubie pielgrzymkę do Hery Cyterońskiej?

Królowa oblała się rumieńcem. Rozmówczyni jej smutnie pokiwała głową i popatrzyła na nią swemi dużemi oczyma.

— Bogom nie potrzebne są hołdy śmiertelnych, — ciągnęła dalej: — ale śmiertelni powinni życie swe uświęcać obcowaniem z bogami; ludowi zaś przykład powinni dawać pobożni królowie.

Znów Polimela, niezadowolona, poruszyła się na swem miejscu, lecz, spotkawszy surowe spojrzenie królowej, zamilkła.

— Nie zapomnij-że w następne święto królowej niebieskiej — będzie to za miesiąc — udać się do niej na Cyteron, aby wybłagać przebaczenie.

— Ale...—spróbowała przeciwić się Praksytea.

— Znam twoje „ale“; chwała bogom, nie jestem dzieweczką. A jednak powiem ci: idź. Nie bój się niczego: ja tam będę.

— Jakżeby tam bez ciebie się obeszło! — nie wytrzymała Polimela, — też piękność niebylejaka, niema co mówić! Strzeż się jeno, abyś Zeusowi w oko nie wpadła: licho nie śpi, Hera jest zazdrosna, i będziesz potem chodzić po świecie z rogami, jak Io.

— A więc tam się spotkamy. Przyjdź nieodwołalnie. A teraz dzięki za twą gościnę; i skoro innych pytań nie masz, to już pójdę.

— Pójdziesz, o ile wstaniesz! — nie przestawała Polimela.—Łatwo to powiedzieć, dwa dzbany wysączyła.

— Ty, Polimelo,—przerwała jej Praksytea,— pomogłabyś lepiej gościowi i odprowadziła ją do bramy.

Zdarzyło się wszakże to, czego się nikt nie spodziewał. Podróżna wstała lekko i, pożegnawszy się ze wszystkiemi skinieniem głowy, równym krokiem udała się ku drzwiom. Zdawało się nawet, że stała się wyższa, niż przedtem; szczególniej dziwiła wszystkich białością swych ramion krągłych, której nikt wprzódy nie zauważył. Przeciwnie, Polimela, mimo wszelkie usiłowania, w żaden sposób nie mogła dźwignąć się z miejsca.

— Polimela, com ci powiedziała?

— Sama nie rozumiem, królowo; wszak widziałaś, nie tknęłam ustami puharu. Wszystko zaś wino, które wysączyła ta przybłęda...

Nie mogła dokończyć; komnatę opromieniło nagle niespodziane światło. W drzwiach stała podróżna, lecz szata jej jakgdyby płonęła złotem i również złotem płynnem ociekały pierścienie jej włosow. Trwało to zaledwie przez mgnienie oka; drzwi się zatrzasnęły, i szara mgła zmroku zimowego znów wypełniła komnatę.

Wszyscy wstali mimowoli; tylko Polimela, gramoląc się usilnie, nie zdołała jednak opuścić swego fatalnego stołka.

— Wypadnie mi chyba siedzieć póty, póki Djonizos zechce, — rzekła, wzdychając.

Ale już nikt nie zwracał na nią uwagi.

II.

Uroczystość nocna Hery Cyterońskiej dobiegała końca. Stos olbrzymi, który strawił już czternaście drewnianych wizerunków bogini, dogasał; już widać było sierp młodego księżyca, żeglujący, nakształt łodzi, po modrem niebie zimowem.

Praksytea wraz ze swą gospodynią, królową tanagryjską Asopidą, powracały do swego namiotu, przed którego wejściem stały dwie tanagryjki z pochodniami w rękach. Jedna z nich podniosła zasłonę, aby wpuścić obie krolowe.

Te wszakże weszły nie odrazu: jakiś odgrom daleki zmusił je do obejrzenia się poza siebie. Ostatnie płomyki stosu zdążyły już zagasnąć; szczyt Cyteronu był już opuszczony od wszystkich. Lecz ponad ołtarzem Hery dostrzec można było jakieś dziwne białe postaci, świecące światłem bladem, widmowem. Ni to kobiety, ni to ptaki, ale ptaki olbrzymie, z błyszczącemi skrzydły. Postaci te krążyły z szaloną chyżością, coraz niżej, coraz bliżej: i coraz wyraźniej rozlegał się srebrzysty oddźwięk ich skrzydeł. Praksytea gorączkowo ściskała dłoń swej gospodyni. „Co to znaczy? Kto one są?"

Lecz Asopida sama trzęsła się wszystka ze strachu, i purpurowe światło pochodni nie mogło zarumienić martwej bladości, jaka twarz jej pokryła.

— Nie wiem... Rokrocznie bywam na uroczystości czcigodnej władczyni cyterońskiej, lecz widzę *je* po raz pierwszy... a lękam się, czy nie ostatni.

— *Są to wichury* — ozwał się niespodzianie gromki, głęboki głos z namiotu. I acz w słowach tych żadna nie brzmiała pociecha, jednakże Praksytea uczuła natychmiastową ulgę. Poznała swą wróżkę.

— Wichury, rześkie nimfy króla Północy, Boreasza, — ciągnęła dalej tamta. W niewłaściwą odwiedzają nas porę, przed końcem dni alkjońskich; lecz jest to jedna z fantazyj starego. Wejdźcie, królowe, i nie lękajcie się niczego.

Weszły. Wróżka ujęła je obie za ręce i pociągnęła ku sobie — z nieziemską, jak im się wydało, siłą. Ale i siła owa sprawiała działanie kojące.

Odgrom rozlegał się coraz donośniej, a towarzyszył mu ogłuszający trzask.

— Swawolą,—tłumaczyła wróżka.— Chwyciły niedopalone głównie stosu i bawią się niemi, jak piłką. Rozrzuciły cały stos. I patrzcie, cały plac śniegiem zasypały.

Widziała wszystko; płótno namiotu stało się dla niej jakby przezroczystem.

Jeszcze głośniejsze, jeszcze bliższe—i grzmot, i świst, i wycie. Płótno namiotu wygina się, gnie się, coraz bardziej. Czy długo wytrzyma? Ale królowe nie czują strachu. Wróżka trzyma za rękę Asopidę i objęła ramieniem kibić Praksytei, zlekka pochylając ją ku sobie na pierś.

— Nie lękaj się, córo; są one bardzo blisko, wiem o tem, ale nie miej obawy!

Namiot ugina się, pale trzeszczą; śmiech i hałas słychać ze wszech stron. Oto jedna linka pękła, za nią druga, trzecia. Namiot zawalił się, po-

grzebał pod sobą swe mieszkanki, owinął je w swe płótno. Wichury podchwyciły namiot i jęły toczyć go wokół ostatniego pala. Nareszcie i ten ostatni był wyrwany, wichury wzbiły się wraz z łupem na powietrze i podniosły go wysoko nad stokiem góry, wzdłuż doliny Cykloboru.

...Gdy Praksytea się ocknęła, słońce poranne pogodnie uśmiechało się z jasnego nieba. Czuła się cała i zdrowa, obok niej, również nie doznawszy uszczerbku, stała Asopida. Na jej zaś rękach, spowite w kawałek płótna z potarganego namiotu, drzemało niemowlę, dzieweczka, jako przepowiedziała jej była podróżna. Sama ona już znikła.

Nowonarodzonej dano imię „Orytja". Znaczy to — „szalejąca w górze".

III.

Minęło lat siedemnaście. Orylta wyrosła na pannę. Zalotników było poddostatkiem, a i panna sama nie stroniła od małżeństwa. Ale do zaręczyn nigdy nie dochodziło.

— Ojcze, — odpowiadała dziewczyna na wyrzuty Erechteusza,—czyż jam winna temu? Wyjdę za mąż za każdego, którego mi wybierzesz, czy to będzie królewicz, czy też drwal parnecki; żądam tylko jednego, aby narzeczony mój kochał mię i miłość mi swoją wyznał. Czyż to tak trudno?

Erechteusz nie mógł nie zgodzić się z córką; a jednak nikt z młodzieży nie zgłaszał ochoty. Zdawało się, jakgdyby wszystek ów strach, którego nie doświadczyła Praksytea podczas korowodu

Wichur, udzielał się teraz młodzicńcom, którzy zbliżali się do „szalejącej w górzé“. Wystarczało, by ktoś z nich pozostał sam na sam z nią, wystarczało, aby zatrzymała na kimś swe spojrzenie palące i badawcze, a natychmiast młodzian ów czuł się jakby rażony piorunem, ręce jego stawały się bezwładne, oddech zamierał. Królewna postoi przez chwilę, postoi śród głębokiego milczenia zobopólnego, i — oddali się, gniewnie trzasnąwszy drzwiami. Młodzieniec zaś nie odrazu odzyskiwał dawną pewność siebie.

— Nie, nie! Łatwiej samej Herze Cyterońskiej miłość swą oświadczyć, niźli jej!

— Słuchaj, córko, — rzekła jej razu pewnego Praksytea: — miałam sen wieszczy o twym ślubie. Przyśniła mi się Ona, — wiesz, ta, której ręcej dobrotliwe spowiły cię w ową noc. I mówi do mnie: pokaż ją, podczas najbliższej teorji, Artemidzie Deloskiej. Wróci od niej jako narzeczona, jako narzeczona królewskiego oblubieńca.

IV.

Ale i ta nadzieja jakgdyby zawiodła. Nigdy Delos nie widział wspanialszej teorji; zdało się, że młodzież całej Hellady zebrała się na łagodnych brzegach Krągłego Jeziora, aby ujrzeć wtórą Artemidę — tak ją nazywano — i popróbować szczęścia. Atoli wynik był nieodmiennie zawsze jednaki.

I, oto, statek ateński pruł fale w drodze powrotnej, przekradając się skroś labirynt Cyklad ku ojczystej krainie Pallady. Praksytea z córką

siedziały w smętnej zadumie, chłodząc się podmuchem wieczornego wiatru.

Słońce zaszło, nastała noc — wonna noc wiosenna. Pełnia miesięczna kąpała się rozkosznie w błękitnych falach.

I nagle...

— Co ci to, mateczko? — spytała zaniepokojona Orytja.

Matka gorączkowo tylko przycisnęła ją do siebie.

— Patrz!... Patrz!...

— Jakieś obłoki białe; cóż w tem strasznego?

— Nie znasz ich, ale ja je znam. O córko, zginęłyśmy; to znów one...

— Kto taki?

— Wichury. Bogowie, i to tu, na morzu, pośród skał! Zginęłybyśmy już wtenczas, gdyby nie Ona. A tutaj...

Rzeczywiście, znów rozległ się znajomy odgrom. Płacz rozpaczy odpowiedział mu z okrętu. Potem nastąpiły modlitwy. Po modłach—przekleństwa. Wichury rozhukaną nawałą runęły na żeglarzy; ktoś rzucił się do masztu, aby zwijać żagle, ale było już zapóźno: jedna z Wichur z głośnym śmiechem rozerwała żagiel przez pół, druga jednocześnie zwaliła maszt i strąciła go w morze.

— Trytony! Trytony!

W oddali dał się słyszeć odgłos przeciągły, jakgdyby ktoś dął w róg; niebawem rozkołysane fale zaroiły się od mnóstwa młodzieńców na wszelakiego rodzaju potworach morskich.

— Jak się macie, siostry! Czem możemy służyć? Ciskać, zalewać, topić?

— Ciskać—ciskajcie, zalewać—zalewajcie, ale nie ważcie się topić! Wiedzcie jedno: wieziecie naszą królowę.

Orytja sama jedna stała na przedzie okrętu, silną ręką trzymając się zlekka burty: u jej stóp leżała w omdleniu matka, i tarzała się śród żeber okrętu załoga. Wichury muskały ją swemi puszystemi skrzydły, osłaniając ją od rozszalałych fal. Na ustach jej lśnił uśmiech, w oczach było oczekiwanie: teraz, teraz powinno stać się coś rozstrzygającego, coś wielkiego!

— Jestem tu, czekam cię; gdzie jesteś? Przyjdź, mój wytęskniony, obiecany!

V.

Kołysał się na czarnej chmurze, cały biały, pod namiotem swych ciemnych skrzydeł; śnieg sypał się z siwych jego włosów i siwej brody; szronem iskrzyły się jego brwi; lecz mocniej jeszcze iskrzył się żar namiętności w jego głębokich oczach.

— Orytjo, kocham cię! Wybrałem cię w godzinę twych narodzin i naznaczyłem cię swem piętnem. Sama królowa niebieska dała mi ciebie. Czy chcesz pójść ze mną?

— Jeśli mię kochasz, pójdę z tobą; tyś jest pierwszy i jedyny, który mi to wyznał. Lecz ta, którą wymieniłeś, mówiła nam, że jesteś królem; kędyż jest twoje królestwo?

— Królestwo moje, to — nieogarnięta, pół-

nocna kraina rzek lodowatych i odwiecznych lasów. Wzdymają się rzeki śród roztopów wiosny, szeroko zalewają pola okoliczne; ale jeszcze szerzej i wyżej piętrzy się wielki ból, bezradna udręka serc mego nieszczęsnego ludu. Lasy szumią pod naporem moich Wichur, gną się i trzeszczą targane wiatrem konary; ale głośniej jeszcze rozlega się pieśń-jęk z umęczonej piersi mego nieszczęsnego ludu. . Orytjo, przy ojcu twego rodzica, złomek twój Tryptolem, wychowaniec Demetry, przyniósł nam dar zboża, i odtąd falują i u nas łany zielone: ale chleba duchowego wciąż nie ma jeszcze nasza zimna kraina; ten chleb duchowy przyniesiesz nam dopiero ty, kwiecie mój słoneczny, wykołysany tchnieniem ciepłych mórz.

— Jeśli jestem wam potrzebna, pójdę za tobą; z ochotą i dumą rzucać będę ziarna naszej Pallady w rolę, która żywi już ziarno naszej Demetry.

— Orytjo, nasz nieoświecony, nieszczęsny lud nie zna i nie uznaje tego, co jest święte dla was. Pragnę, abyś szła ze mną ku niemu, ale nie chcę cię okłamywać: zimno jest w naszym kraju, i tęsknota cię ogarnie za bielą świątyń, za aromatem gajów, za ciepłem i za uśmiechem twej Hellady.

— Przyniosę ze sobą ciepło, i uśmiech: będzie to wiano moje dla twego ludu. Jeśli jestem wam potrzebna, pójdę za tobą.

— Orytjo, nie mogę obiecać ci nawet wdzięczności ze strony tych, którym świadczyć będziesz dobrodziejstwa. Pamietaj, lud mój zna jedynie poryw nienawiści i wzajemnej wróżdy śmiertelnej, od której niszczeje jeszcze bardziej; nie zna on

porywów radości i porywów kochania. I jestem pewny, że nienawiść swą wymierzy także przeciw tobie i twojej nauce, nauce radości i kochania. Czy gotowa jesteś podjąć i tę próbę najwyższą, ostateczną?

— Los mój—dawać, nie zaś brać. Jestem gotowa do czynu ofiary dla twego ludu; gotowa kochać, nie być kochaną, a jednak kochać...

VI.

— Czy zaszło już słońce?

Królowa Praksytea leżała samotna w świetlicy swej przed otwartą okiennicą: spoczywała na posłaniu, do którego przykuła ją boleść po stracie starszej córki, królewny Prokridy. Tam, w komnacie sąsiedniej, piastunka usypiała jej najmłodsze, zupełnie jeszcze maleńkie dzieci, królewicza Kekropsa i królewnę Kreuzę; sama zaś oczekiwała na leczniczy napój i uzdrawiającą pieszczotę swej córy średniej, opory domu — królewny Orytji.

— Czy zaszło już słońce?

Napróżno, dźwignąwszy głowę, wytężała oczy w dal: gęste chmury przesłaniały niebo od strony Parnetu; w dolinie był mrok, ale czy mrok wieczoru, czy też mrok słoty, tego rozeznać nie mogła.

Orytja, jeszcze w południe, gdy niebo było czyste, udała się z przyjaciółką na pagórek Ardettu nad rzeczką Ilissem; wypadało jej, jak mówiła, dopełnić pewnego obrzędu przedślubnego ku czci Artemidy Deloskiej: co to był za obrzęd, i z kim miała połączyć się ślubem, tego matce nie powie-

działa. Wielu rzeczy teraz jej nie mówiła, jakkolwiek kochała ją serdecznie po dawnemu, i więcej niż dawniej.

Otóż, wyszła i dotąd nie wracała; a słońce, zapewne, już zaszło niepostrzeżenie za tym czarnym Egalejem.

— Cyt... ktoś idzie... Ona? Nie, to nie jej kroki.

Drzwi się otwarły, i w drzwiach ukazała się... Praksytea wyprostowała się górną połową ciała i podniosła rękę na powitanie. Wróżka! ta wróżka, którą poznała była w noc święta cyterońskiego, i której dotąd nie widziała.

I, jak wówczas przestrach i ból, tak samo teraz troska i zmartwienie znikły natychmiast pod wpływem jej spojrzenia, pod dotknięciem jej dłoni.

— To ty, czcigodna? Ale gdzież jest córka moja i jej przyjaciółka?

— Jej przyjaciółka? — wymijająco odpowiedziała wróżka.—Stoi nieruchomo na stoku Ardettu w niemym bólu i taje, taje we łzach, z każdą chwilą niknąc coraz bardziej. I, gdy obywatelki ateńskie wyjdą nazajutrz na brzeg Ilissu, nowy zdrój leczniczy przypomni im o zniknieniu dziewczyny, i o przyczynie jej strapienia: *o porwaniu Orytji przez jej narzeczonego Boreasza.*

To mówiąc, siadła na posłaniu chorej królowej i opasała stan jej swą białą rękę, broniąc udręce dostępu do jej serca. Królowa popatrzyła na nią; bezgraniczne zaufanie zalśniło w jej oczach.

— Porwana została, mówisz? I nigdy nie ujrzę jej więcej?

— Nie, ujrzysz... jeszcze raz ją ujrzysz.

Trąciła drugą okiennicę swą wolną ręką; szeroka smuga nieba rozwarła się przed oczyma królowej. Pośród czarnej chmury płonęła purpurowa łuna, niby krater wulkanu; fantastyczne postaci białe raz po raz błyskały na tle łuny, szybko pędząc w dal, jedna za drugą.

— Poznajesz świtę króla Północy?—zapytała wróżka. — Mkną one, aby zwiastować jego ludowi nadejście królowej. A teraz ujrzysz i ją samą.

Śladem białych postaci sunęła chmura... nie, nie chmura, lecz olbrzym skrzydlaty o ciemnych skrzydłach i jasnem ciele: w purpurowem świetle wyraźnie widać było jego głowę siwą. I jeszcze wyraźniej kształt biały, niesiony przez jego mocarne ramiona. Królewna wyciągnęła prawą rękę na pożegnanie po raz ostatni ku skale Pallady, domowi Erechteusza i tej, która czekała na nią w tym domu. Jeszcze mgnienie, i wszystko znikło.

Praksytea przymknęła powieki.

— Czy znajdzie tam szczęście? — spytała szeptem.

— Ona da szczęście, — odrzekła wróżka.

Praksytea uśmiechnęła się, poczem głowa jej opadła ciężko na ramię jej pocieszycielki. Ta złożyła ją na jej białem, zalanem jasnością purpurową posłaniu.

— Bądź jej miłościwa, siostro moja, królowo pól błogosławionych!

TAJEMNICA DŁUGICH SKAŁ

I.

Były Antesterje, wiosenne „święto kwiatów“. Kreuzie, najmłodszej i wtenczas już jedynej córce starego króla ateńskiego Erechteusza, wypadało w dniu tym, zszedłszy z Akropolu na łąkę u stóp góry, narwać kwiatów, aby ozdobić niemi grób matki — Praksytei. Piastunka królewny, Eurynoma, wiedząc o tym jej zamiarze, weszła do jej świetlicy, aby ubrać ją w szatę ciemną, licującą z dniem wspominkowym.

Zastała Kreuzę jeszcze śpiącą, z błogim na ustach uśmiechem; lecz widocznie światło dzienne, wtargnąwszy przez drzwi uchylone, rozproszyło jej sen. Podniosła się, chwyciła Eurynomę za rękę, lecz przez długą chwilę nie mogła słowa wymówić. Wreszcie otrzytomniała; ujrzawszy na ramieniu starowiny chiton koloru popielatego, żachnęła się ze zgrozą.

— Nie, nie, nie ten. Przynieś mi z uroczystej szafy chiton biały ze złotą lamą, przez matkę moją haftowany.

— Co ty, dziecinko! Czyżbyś zapomniała jaki dzień dziś mamy? A zresztą, nie dałabym ci go

i w innym dniu: życzeniem matki twojej było, abyś wdziała go po raz pierwszy w dzień twoich godów małżeńskich.

— Posłuchaj, nianiu, jaki miałam sen. Podszedł do mnie jakiś młodzian boski, takiej piękności, jakiej nigdy jeszcze nie widziałam. Ujął mnie za rękę i rzekł: „Kreuzo, przywdziej chiton, przez matkę twoją haftowany, i wyjdź na łąkę u stóp góry, obok Długich Skał.

— Ale *prawo*, dziecinko, prawo!

— Nianiu, a skadże pochodzi i to prawo, skoro nie od bogów? A sen czyż także nie od bogów? Jeśli zaś bóg dał prawo, to może on chyba i uwolnić od niego.

— Oh, dziecinko, niebylejaki masz rozumek; gdzież mnie starej dotrzymać tobie kroku! Ale pamiętaj jedno. Matka twoja, nieboszczka królowa Praksytea, tkała na krosnach, jak nikt w Atenach; a myślę nawet, że takiej mistrzyni drugiej obecnie w całej Helladzie się nie znajdzie. Jej chiton, to— cud piękności: pamiętaj, strzeż go!

Niebawem chiton Praksytei odział młode ciało jej córki. Piastunka miała słuszność: piękności był zdumiewającej. Przedstawione było na nim zwycięstwo Pallady-Ateny nad olbrzymem Enkeladem. W środku stała bogini, w prawicy potrząsała egidą z głową Gorgony; z lewej strony leżał w prochu olbrzym, usiłując odwrócić twarz od strasznego widoku; z drugiej strony sama Ziemia górną połową postaci dźwigała się ze swego żywiołu, błagając tryumfatorkę, aby oszczędziła jej syna.

II.

Tymczasem, nim Kreuza, zszedłszy z Akropolu, znalazła się na łące u Długich Skał, nastało już południe.

Przedewszystkiem, minąwszy zdrój Klepsydrę, królewna podeszła do jaskini, naówczas jeszcze dość głęboko sięgającej w łono skały. Jaskinia była poświęcona nimfom; tu, wedle mniemań ludzkich, zamieszkiwały one; stąd dochodziły odgłosy ich pieśni; stąd też błogosławiły one łąkę, najbardziej soczystą i kwitnącą w całej okolicy. Ołtarz ich stał przed jaskinią; Kreuza odmówiła modlitwę przed ołtarzem i złożyła na nim pierwsze kwiaty, jakie zerwała na łące.

Poczem wróciła na łąkę. Zieleni jeszcze na niej nie było — pora była wczesna — zato kwiatów było mnóstwo: anemony i maki, fijołki i narcyzy. Kreuza miała koszyk; ostrożnie, uniósłszy chitonu, aby nie podrzeć go o kolce cierni zeszłorocznych, jęła się roboty.

Gdy zstępowała z góry rodzimej, pieścił ją ciepły podmuch południowy, wionący od zatoki Sarońskiej; teraz o południu wiatr ustał, wszystko się uciszyło. W tej nieruchomej ciszy południowej było coś obezwładniającego. Słońce, mimo pory wczesnej, dość wyraźnie przygrzewało, lecz promienie jego, zdawało się, także zastygły i kładły się wokoło ciała, niby jakaś zbroja okuwająca ruchy. Kreuza czuła, że nieznana jej dotąd omdlałość poczyna krążyć w jej żyłach: ogarniała ją i trwoga i słodycz, jak nigdy przedtem.

A jednak trzeba było wziąć się do roboty. Anemony i maki, fijołki i narcyzy; tak, najmilsze to kwiaty. Powoli wypełniły one koszyk dziewczęcia. Można wracać do domu.

Lecz cóż to? Niewidziany dotychczas kwiat, kwiat szkarłatny o dużych płatkach, ze złotem serduszkiem. I obok niego drugi; i trzeci, błękitny, jeszcze śliczniejszy od pierwszego; pomarańczowy, żółty, modry — wszystkie barwy tęczy. I kielichy ich są tak rozmaite: to zwinięte nakształt kulek, to zaostrzone nakształt strzałek. I wszystkie wonne, wonne, zapach podobny unosi się chyba tylko w ogrodzie Zeusa, gdzie dziewice-Hesperydy pielęgnują jabłka odmładzające dla bogów.

Kreuza przewraca koszyk: żegnajcie, anemony i maki, fijołki i narcyzy! Rwie kwiaty nowe, niewidziane dotąd, rwie, ile tylko zmieścić może koszyk. Dopieroż zadziwi się niania! A zrywać kwiaty tak łatwo: same jakoby garną się do ręki, wyrastając wszędy, gdzie tylko stopą dotknie ziemi.

Cyt... ktoś woła... Nie, to skowronek śpiewa. Jak dźwięcznie, jak słodko! Te trele poprostu przenikają w duszę wraz z promieniami słońca. Całe powietrze drga pieśnią skowrończą. Dygoce od niej, dygoce...

A jednak ktoś tam woła. Woła z jaskini, wyraźnie słyszy ona swe imię. To nimfy śpiewają; tak! południe: ich to godzina. „Kreuzo — Kreuzo!“ Jak słodko płynie to imię skroś cichego powietrza, jak słodko kołysze się na falach słońca, na falach woni, na falach pieśni skowrończej. „Kreuzo — Kreuzo!“ A dalej co? „Hymenie! Hymeneju!“ Pieśń

godowa? Dla kogo? Dla niej! Ano, tak, przecież i szatę ma na sobie godową. Śpiewajcie nimfy — dajcie wtór, skowronki!

Nie, nie są to już skowronki. Słychać dźwięki, drży od nich powietrze, lecz nie są to pienia skowronków. Są to jakgdyby dźwięki liry, tylko, że na lirze takiej nie grywa nikt ze śmiertelnych. „Hymenie! Hymeneju!“ Głos zabrzmiał i urwał się. Nimfy umilkły: z takiemi tonami nie śmią współzawodniczyć nawet nimfy. I kwiaty kędyś znikły; znikł świat cały. Królewna całem jesteśtwem swojem pije tony niebiańskie, i daje się im pochłaniać. I trwoga, ją ogarnia, i słodycz. Nie, nie trwoga, lecz tylko słodycz, słodycz nigdy dotąd nieznana. Nigdy? Czyżby naprawdę nigdy?

Przymknęła powieki—przypomniała sobie sen. „Jak cudnie, jak cudnie! Zdaje mi się, że gdyby nagle stanął On przede mną, nie ździwiłabym się wcale“.

Podniosła powieki... i ujrzała go przed sobą.

III.

Minęła wiosna, lato, jesień; przeszumiał słotny Memakterjon, lecz następny po nim zimny miesiąc Posydeon, po kilku cichych dniach „alcyonowych“ przyniósł jeszcze gorszą zawieruchę. Cały dzień sunęły chmury nad równiną, zaczepiając o Akropol pododłem swej wilgotnej szaty; pod wieczór zawirowały, zatańczyły przy świście orkanu.

W jednej z komnat połowy niewieściej, szczelnie zamknąwszy drzwi, wiodące do perystylu, grza-

ły się przy kominku dwie staruszki — piastunka Eurynoma i klucznica Nikostrata. Obie przędły przy świetle smolnego łuczywa, i starcza ich mowa towarzyszyła smutej z kądzieli nitce.

— W taką noc—rzekła Nikostrata—przybył do nas z Hymettu pastuch z wieścią smutną, że starsza królewna nasza Prokrida i mąż jej leżą zabici na brzegu Charadry. Umilkły naówczas pieśni w naszym domu; król Erechteusz posypał głowę popiołem; królowa zaś Praksytea legła na łożu, z którego już nie było sądzono jej powstać.

— W taką noc — rzekła Eurynoma — Boreasz uniósł do Tracji średnią królewnę naszą Orytję. Wowczas wszyscy przywdzieliśmy żałobę; król Erechteusz przez trzy dni nie brał strawy do ust, a królowa Praksytea rozstała się ze światem.

— W taką noc—ciągnęła Nikostrata, nawijając nitkę na wrzeciono, — co porabia najmłodsza królewna nasza Kreuza?

— Jakto, co porabia? Śpi w swej świetlicy; cóż innego ma robić?

Lecz Nikostrata pokiwała głową.

— A czyś nie zauważyła, jak się zmieniła ona w ciągu tego lata? Kędy podział się jej śmiech i mądre powiedzenia dziecinne?—Wciąż milczy, zrzadka się poczerwieni; porzuciła przyjaciółki, wciąż ku nam starym lgnie, i rozpytuje się o rzeczy, których dziewicom młodym znać nawet nie przystoi.

— W matkę się wdała—gorąco odparła Eurynoma.—Tamta, nieboszczka wszystkie znała trawy, jakie tylko ziemia karmicielka rodzi. Ale też i niemocy takiej nie było, na którą nie znalazłaby ona leku.

Oto i Kreuza będzie taka sama, — będzie matką dla swej czeladzi, wierzaj mi... Apollinie-obrońco, cóż się to dzieje? Zimą biją pioruny?

Poryw orkanu z trzaskiem rzucił drzwi i zagasił łuczywo. Błysnęło. W perystylu ukazała się Kreuza, w chitonie swej matki, ale bez kraju lewego.

— Apollinie-obrońco!

Smiech suchy rozległ się w głębi pogrążonego w mrokach perystylu; po chwili wszystko umilkło.

Obie sztaruszki stały, jakgdyby osłupiałe. Po długiej chwili milczenia Eurynoma rzekła:

— Trzeba udać się do niej.

Nikostrata jęła grzebać w węglach kominka i, rozdmuchując ogień, zapaliła zgaszone łuczywo.— Schowawszy je pod narzutkę, wyszła w towarzystwie Eurynomy do perystylu. Ostrożności wszakże były zbyteczne: było zupełnie cicho, przez rozdarliny zaś chmur błyskały gwiazdy.

Wstąpiły, po schodach, do świetlicy Kreuzy. Pierwszą rzeczą, jaka im wpadła tam w oczy, był świąteczny chiton Kreuzy, zawieszony na ćwieku; obficie ściekała zeń woda deszczowa. Eurynoma rozłożyła go: tak, lewy brzeg był oderwany, na dwa łokcie szerokości. Pallada stała, jak wprzódy, z ręką podniesioną, ale egidy z Gorgoną nie było już w jej ręce, jak nie było również olbrzyma Enkelada, powalonego w proch przez groźną boginię.

Kreuza leżała w łóżku pod kołdrą. Czy spała? Oczy jej były otwarte, ale nie widziała nic; jaskrawy rumieniec igrał na jej policzkach, usta szeptały coś niezrozumiałego.

— Dziecinko, co tobie?

Kreuza nię odpowiedziała. Piastunka chciała ją pogłaskać, ale, zaledwie dotknęła jej piersi, ozwał się lekki krzyk. I znowu wargi jęły się ruszać; teraz wyraźnie wyszeptały:

— Długie Skały, strzeżcie mojej tajemnicy!

— Tajemnicy, słyszysz? — rzekła półgłosem piastunka do klucznicy.—Nikomu ani słowa o tem, cośmy widziały i słyszały!

IV.

Znów nastała wiosna, lecz królowi Erechteuszowi przyniosła ona wieści niepokojące. Napierały hufy eubejskie; przepłynęły cieśninę i uniosły mnóstwo głów bydła z równiny maratońskiej. Włościjanie Czworogrodzia żądali pomocy i poczynali szemrać.

Wypadło królowi zakuć w zbroję swe stare kości i ciągnąć na wyprawę.

— Tak, córo moja—mówił do Kreuzy, żegnając się z nią — ciężko na stare lata królowi, gdy nie ma synów. Dobrze jeszcze, że udało mi się porozumieć z chrobrym wojem tessalijskim Ksutem, młodszym synem nieboszczyka Eola. Pomoże mi on sprawić i moje szyki, i swoją drużynę przywiedzie.

— A jaką za to weźmie nągrodę? — spytała dziewczyna.

— Trzecią część łupu.

Wyprawa trwała przez całe lato, lecz skończyła się zwycięstwem: Eubejczycy byli ukarani, mara-

tończykom zwrócono zagrabione mienie, skarb zaś królewski uzyskał pokaźną zdobycz. Z radością spotkali ateńczycy starego króla-bohatera i jego walecznego sprzymierzeńca.

Nazajutrz, po powrocie, Erechteusz wezwał do siebie Kreuzę.

— Ksutos prosi o twoją rękę—oznajmił król.

Kreuza pochyliła głowę, jakby pragnąc powiedzieć: „Spodziewałam się tego". Ale na surowych jej licach nie widać było ani uciechy, ani dziewiczego zawstydzenia.

— Skłonny jestem spełnić jego życzenie, — ciągnął ojciec. — Wprawdzie nie jest on pierwszej młodości, i nie pierwszej urody; ale jest mężny, dzielny i prawy. Że zaś nie jest królewiczem-następcą, to jest mi to nawet na rękę. Królewicz-następca uwiózłby ciebie z sobą; Ksutos natomiast zostanie u nas i zastąpi mi syna. Krew w nim jest szlachetna; wszak wiesz, Eol był synem Hellena, a Hellen — synem Zeusa. Wszelako pragnąłbym, aby z wolą moją zgodziła się twoja.

Kreuza wysłuchała go spokojnie i potem rzekła:

— Ojcze, pozwól mi pomówić z Ksutem sam na sam.

Erechteusz, skinąwszy głową, otworzył drzwi, wiodące do małej sali.

V.

Tu Kreuza ujrzała po raz pierwszy swego przyszłego narzeczonego, który siedział na honorowem krześle składanem. Naprzeciwko stało krze-

sło takie samo, pomiędzy zaś niemi — stół niski, a na nim dwa puhary i miecz, najwidoczniej — Ksuta, odpasany przezeń, wedle obyczaju helleńskiego, przed ucztą.

Ksutos nie spodziewał się ukazania się Kreuzy; widok jej wprawił go w zakłopotanie. Waleczny wojownik, który dopiero co rozgromił hufy eubejskie i w pojedynku zabił ich wodza, uczuł lęk niespodziany wobec młodej krasawicy. Nie mógł nawet wstać z miejsca; skamieniawszy na krześle, patrzył na nią, jak na zjawisko niebiańskie, nie mając odwagi przemówić.

Kreuza podeszła doń z głową opuszczoną; oczy jej padły na miecz. Wzięła go w ręce, jakgdyby podziwiając jego rękojeść z kości słoniowej.

— Piękny masz miecz, gościu, — rzekła, aby zagaić rozmowę. — Jak go pozyskałeś?

Słowa te rozwiązały Ksutowi usta; odrazu ujęło go to, że Kreuza obchodzi się z jego rzeczą już, jakby z własną; usłyszawszy zaś pytanie o miecz, uczuł się w swoim zwykłym żywiole.

— Kupiłem go, piękna królewno, wprost z okrętu fenickiego; był on wtenczas zupełnie jeszcze nowy; teraz zaś,—teraz, znalazłabyś szczerb niemało na obu jego ostrzach. I drogo mnie on kosztował: dałem za niego...

Chciał właściwie powiedzieć: młodą niewolnicę pjeryjską; w porę atoli się spostrzegł i urwał zdanie niezręcznie, rumieniąc się po uszy.

Kreuza nic nie zauważyła; zdała się wciąż pochłonięta oglądaniem miecza.

— A powiedz, gościu — ciągnęła dalej z lek-

kiem drżeniem w głosie — gdybyś zdobył miecz, ktory przedtem należał do innego, czy byłby ci równie drogi i czcigodny?

— Od miecza żądamy — z zapałem odrzekł Ksutos — aby klinga jego była z trwałej, gibkiej stali chalibijskiej, inaczej mógłby się strzaskać o hełm przeciwnika. — Także, aby wprawiony był dobrze w rękojeść: kowale nasi wciąż jeszcze nie umieją robić tego, jak należy. To zaś, czy miecz był wprzódy w innych rękach, nie ma znaczenia; nie na pokaz go mamy, lecz do boju.

Teraz dopiero Kreuza spojrzała na Ksuta i osądziła, że, mimo wszystko, podoba się jej. „Nie celuje bystrością umysłu, pomyślała sobie, ale jest szczery, prosty, i zda się — dobry". Wciąż miecza z rąk nie wypuszczając, podeszła doń jeszcze bliżej.

— Powiedz mi jeszcze jedno, Ksucie...

Ów aż rozpromieniał, słysząc po raz pierwszy swe niedźwięczne imię w ustach lubej.

— ...Czy zdarza się wam niekiedy używać oręża, zawieszonego, jako trofeum, na kolumnach lub na murach świątyń bożych?

— W razie potrzeby czynimy to, Kre... to jest, królewno, chciałem powiedzieć; liczymy przytem, że w razie zwycięstwa suto wynagrodzimy ubytek, do poległego zaś bóg nie będzie miał urazy. — I Delfy potwierdziły nam, że niema w tem świętokradztwa — możesz własnych spytać egzegetów. Ale, rozumie się, biorąc oręż poświęcony, należy modlić się do boga, do którego oręż ów należał.

— Niechajże błogosławione będę Delfy, oraz

ich egzegeci, — odrzekła Kreuza z lekkim uśmiechem.

Poczem, przychylnie patrząc na Ksuta, położyła mu miecz jego na kolanach.

— Powiedz ojcu, że ja się zgadzam. Ale przed ślubem nie zapomnij pomodlić się do Apollina.

Nie czekając na wyrazy jego zachwytu, szybko umknęła do siebie.

Minęło lat dwadzieścia.

Król Erechteusz, zestarzawszy się ostatecznie, umarł. Krajem rządził Ksutos; rządził mądrze i dzielnie, stale naradzając się w wypadkach kłopotliwych z członkami Areopagu. Jednakowoż niełatwe miał zadanie. Lud nie chciał mu wybaczyć tego, że nie jest on z krwi Erechteusza, że nie jest synem świętej ziemi attyckiej. Często-kroć sprawa zaostrzała się aż do wzajemnych tarć; w takich razach przychodziła na radę Kreuza; przed córą Erechteusza wzburzone namiętności cichły natychmiast. Z czasem atoli i ta broń się stępiła: para królewska nie miała potomstwa, i obywatele z trwogą mówili między sobą, że wprędce krew Erechteusza wygaśnie na zawsze.

Za co taki gniew bogów?

Oczywista, pytanie to nieustającą troską osaczało Ksuta i Kreuzę. Całe hekatomby bydła padły przed ołtarzami bogów: sowite ofiary przyobiecano Artemidzie Brauhońskiej i bogu rzecznemu Kefi-

sowi; pytano o zdanie wszystkich wróżów miejscowych — napróżno! Co zaś w największe wprawiało zakłopotanie wieszczbiarzy—bogowie dawali odpowiedzi nietyle nieprzychylne, ile nic nie mówiące, beztreściwe: ptaki wieszcze nie swojemi odzywały się głosy; rysunek na wieszczej wątrobie zakłutego zwierzęcia składał się z linji splątanych, nienadających się do żadnej interpretacji.

Ksutos nalegał, aby wyprawiono do Delf „teorję“ świętą, lecz Kreuza ani słyszeć o tem nie chciała.

Razu pewnego przed dworem królewskim stanęła błagająca rzesza kobiet — na czele wszystkich czcigodna kapłanka Pallady, dalej matki rodzin, dziewczęta i dzieweczki; wszystkie miały w rękach zielone gałązki oliwne, owiązane przepaskami wełnianemi. Do tłumu wyszedł Ksutos; lecz kapłanka oznajmiła:

— Żądamy, aby wyszła też i królowa.

Ukazała się i Kreuza—nieśmiała, z głową opuszczoną, jakby czując się winną.—Wtedy kapłanka rzekła:

— Królu i królowo, wiadomo wam, że onego czasu bogini nasza przyniosła trzem dziewom-rosicom tej góry arkę tajemniczą, zakazawszy jej otwierać. Z nich jedna usłuchała przykazanie bogini, lecz dwie inne przykazanie złamały. W arce ujrzały one niemowlę, karmione przez dwa węże pokarmem nieśmiertelności. Gdyby były nie otworzyły arki przedwcześnie, dzieciątko zyskałoby nieśmiertelność, i łaska bogini dla kraju naszego byłaby zapewniona na wieki. Ukarane obłędem za

nieposłuszeństwo, dziewy rzuciły się ze skał Akropolu; dziecko zaś, wzrósłszy pod osłoną bogini, otrzymało od niej władzę królewską nad krajem. Był to Erychtonjos, czyli Erechteusz Pierwszy, rodzic królów naszych Erechtydów.

Po panowaniu długiem i szczęśliwem Erechteusz umarł, przekazując władzę synowi Pandjonowi. Pod rządami jego jeszcze mocniej zajaśniała łaska bogów nad Attyką: Demetra i Djonizos przybyli do naszego kraju i nauczyli lud jego rolnictwa i hodowli winogradu. Gdy zaś zawistny sąsiad tebański próbował wtargnąć w nasze granice, odparliśmy go mężnie, pokazując Helladzie, że gród Pallady równie potężny jest na polu bitwy, jak w pracy pokojowej.

Po Pandjonie nastąpił Erechteusz Drugi—ojciec twój, królowo.

Ciężkie były próby,—mówiła dalej kapłanka,—jakiemi dom jego doświadczali bogowie, lecz kraj pod jego panowaniem kwitł, para zaś królewska zyskała miłość u ludu za swą sprawiedliwość i dobroć. Za co na ciebie, Kreuzo, padł gniew bogów, tego nikt pośród nas nie wie. Wie to jednakże Zeus i wie to syn jego wieszczy Apollo. Królowo, nim pożegnamy się z nadzieją ujrzenia na tronie Erechtejowym szczepu jego krwi, żądamy, aby wyprawiono teorję do ogniska wspólnego całej Hellady, do Delf.

Kreuza w milczeniu wysłuchała przemówienia kapłanki; widać atoli było, jak bolesna trawi ją udręka. Gdy kapłanka, skończywszy, cofnęła się kornie w szeregi tłumu, rzekła:

— Żądanie wasze jest słuszne, obywatelki. Weźcie swe gałązki błagalne, oznajmijcie wszem ateńczykom, że jutro udaję się sama do Delf, aby o wolę boga zapytać.

VII.

Po trzech dniach Kreuza, jako skromna uczestniczka pielgrzymki, stanęła w tłumie wszechhelleńskim, który przybył zapytać Apollina o radę. Słudze kościelnemu, który odbierał od pielgrzymów zwierzęta ofiarne, oddała nabytego tutaj barana o rogach złoconych, przywiązawszy mu na szyi symbol Ateny—glinianą podobiznę sowy. Potem ukazała się Pytja: po krótkiej modlitwie dokonała losowania śród przybyłych, przyczem los wyznaczył Kreuzie jedno z pierwszych miejsc, następnie Pytja oddaliła się do świętego świętych, gdy tymczasem tłum, oczekując na obrzęd święty, z podziwem wodził oczyma po ornamentach tej pierwszej na całą Helladę świątyni.

W pewnej chwili okrzyk Pytji zwiastował wszystkim, że zstąpiła na nią moc prorocza; wtenczas ze świątyni wyszedł sługa Apollina, młodzieniec piękności niewysłowionej, i jął podchodzić do pielgrzymów, wedle kolei, wskazanej przez los. Przyszła kolej i na Kreuzę; ujrzawszy młodzieńca obok siebie, nie zdołała powstrzymać okrzyku:

— Szczęśliwa jest ta, co wydała cię na świat! Jakie otrzymałeś od niej imię?

— Ta, która wydała mię na świat, jest, zapewne, bardzo nieszczęśliwa; imię zaś moje brzmi

poprostu — sługa Apollina. Ale nie czas na rozmowy o tem; o co pragniesz spytać boga?

— Pytanie moje zawarte jest w tym związanym i zapieczętowanym węzełku, — odpowiedziała Kreuza;—nie powinny czytać go oczy śmiertelne. A jak otrzymam odpowiedź?

— Odpowiedź odczytasz w tym samym węzełku; dla boga niema tajemnic, ani przeszkód.

Odszedł do świątyni; upłynęła chwila trwożnego oczekiwania. Nagle ze świątyni rozległ się nowy okrzyk Pytji, od którego wzdrygnęli się wszyscy obecni. Wprędce potem znów ukazał się młodzieniec; wszyscy spostrzegli, że bladość śmiertelna pokrywała jego lica. Podał węzełek Kreuzie.

Pieczęć była nietknięta. Zerwawszy ją, Kreuza rozwinęła węzełek, jednakże natychmiast upuściła go z ręki, zachwiała się i twarz przesłoniła rękoma. Węzełek był pusty; wosk deseczek był jakgdyby wypalony ogniem pochodni, i same one czarne były, jak węgiel.

W tej samej chwili przyszedł też sługa kościelny, który odbierał był ofiary od pielgrzymów; wiódł on barana o złoconych rogach.

— Gdzie jest atenka, która dała mi barana z podobizną sowy? Niechaj zabiera go z powrotem i idzie precz co prędzej; bóg odtrącił jej ofiarę.

Teraz tłum, jakby odepchnięty, rozstąpił się wokół Kreuzy, niby wokół zadżumionej. Dały się słyszeć głosy:

— Grzesznica!

— Świętokradczyni bezbożna!

— Wszystkich nas okryła zmazą!

— Ukamienować ją!

— Ukamienować!

Coraz groźniej wzbierało oburzenie tłumu; ten i ów chwytał już kamień do ręki; jeszcze chwila — byłaby wybuchła okrutna rozprawa.

Kreuza porwała się ku młodzieńcowi, jakgdyby szukając u niego ratunku; teraz po raz pierwszy ujrzał on jej rysy, wejrzał w jej piękne, szeroko w zgrozie rozwarte oczy. Jakieś dziwne, nieznane mu dawniej uczucie drgnęło w jego sercu.

— Rzućcie kamienie! — zawołał do tłumu. — Któż waży się wolę boga tłumaczyć? Bóg częstokroć człowieka upokarza, aby go potem wywyższyć. Pójdźmy wszyscy do źródła Kastalskiego, omyjmy się w jego oczyszczających strugach. Ty zaś, przybyszko, odejdź w pokoju, i niechaj bóg odtąd będzie łaskaw dla ciebie!

VIII.

Nieradosne było w Atenach spotkanie obojga małżonków.

— Bóg nie zaszczycił mnie odpowiedzią na moje pytanie.

Ksutos z zakłopotaniem spojrzał na żonę, lecz ta nie dodała więcej ani słowa, on zaś, znając ją, nie próbował nawet dobyć z niej czegokolwiek.

— A jednak nie możemy zlekceważyć prośby obywatelek, — rzekł do niej: — wypadnie mnie samemu udać się do Delf.

Jakoż wybrał się w drogę, przytem z kiesą

bogatą i z królewską świtą; nim wrócił, młody księżyc zdążył już zaokrąglić się w pełnię. Wrócił zaś, jak można było wnosić, zadowolony; na pytanie żony odrzekł wymijająco — „wszystko dobrze“ — natomiast dodał·

— Pozwól względom swoim polecić mego nowego towarzysza, z którym związałem się węzłem wzajemnej gościnności: Ion, syn Eolidy, delfijczyk.

Kreuza spojrzała na gościa i—wydała okrzyk: poznała w nim młodzieńca, który ocalił jej życie w Delfach. Ów zdawał się być niemniej zdumionym.

— A więc ty miałeś imię?

— A więc ty byłaś królową?

Kiedyindziej mimowolne te okrzyki wywołałyby podejrzenia Ksuta; lecz teraz sam on w największem był zakłopotaniu.

— Jako król ateński, wystąpiłem wobec delfijczyków z ucztą, godną Pallady—rzekł, jakgdyby usprawiedliwiając się.—Sądziłem, że i bogu to będzie miłe. W imieniu delfijczyków odwzajemnił mi się ucztą Ion — tak kazał los. W taki to sposób związał nas stosunek wzajemnej gościnności. Teraz chcę mu pokazać Ateny. Pozostanie on u nas przez czas pewien.

Kreuza skinęła głową w milczeniu i udała się do swych pokojów.

Ion rozgościł się rzeczywiście. Ksuta nie odstępował: uczył się odeń jazdy konnej i rzemiosła wojskowego, w którem był nowicjuszem; odwiedzał wraz z nim członków Areopagu, objeżdżał wsie. Ba dzo często Ksutos rozmyślnie zasięgał wobec osób obcych jego rady—i zdarzało się tak,

że za każdym razem bywała to rada zdrowa i rozumna. Czar i uprzejmość młodziana w obcowaniu z ludźmi, a także jego uroda zyskały mu przychylność u ludu; przyzwyczajono się doń, pokochano go i nawet ze smutkiem myślano, że jest on tylko gościem, jednakże, i że z czasem, acz jeszcze nierychło, odjedzie.

Natomiast królowej młodzieniec jawnie unikał; w jej obecności czuł się on zawsze skrępowany, jakgdy czemś wobec niej zawinił. Domownicy kładli to na karb naturalnej nieśmiałości młodego gościa wobec pani domu, jakkolwiek nie młodej już, lecz jeszcze hożej i urodziwej,—i w zupełności postępowanie jego aprobowali:

. — Widać, że wzrósł on w łasce, — mówiono.

Jednakowoż, nadszedł czas, gdy Ionowi i Kreuzie, mimowoli, wypadło cokolwiek tę surowość wzajemną złagodzić. Odwieczni sąsiedzi wrogowie ateńczyków, eubejczycy, znów rozpuścili zagony i siłą zbrojną zajęli ziemie odzyskane przez Erechteusza; Ksutos musiał ruszyć na wojnę.

Przed wyruszeniem zaprosił na ostatnią ucztę przyjaciół-areopagitów i za trzecią koleją puharów, wezwawszy domowników, uroczyście oznajmił:

— Żono, poruczam Iona troskom twoim, jako gospodyni, i — z uwagi na młodość jego — jako matki. Ionie, powierzam królowę i dom twojej obronie. Święte prawo wszechhelleńskie wiadome jest wam obojgu.

To rzekłszy, strącił kilka kropel wina na ziemię.

— Zeusowi Zbawcy! — zawołali wszyscy.

— Za zwycięstwo naszego oręża!—zawołał Ion.

Ksutos wychylił puhar.

— Za powrót twój szczęśliwy! — dodał najstarszy areopagita.

Ksutos chciał dolać sobie wina, lecz upuścił z rąk puhar, i ten rozbił się.

— Niechaj takiemuż ulegnie rozbiciu potęga naszych wrogów! — szybko dodał Ion.

Wszyscy pochwycili jego interpretację, zagłuszając uczucie, jakie powstało w ich piersi.

IX.

Wojna się przewlekała; pełnia księżyca następowała po pełni, a hufce ateńskie nie wracały.

Królestwem rządziła Kreuza pospołu z radą Areopagu; do pomocy Iona uciekała się raczej po to, aby rozstrzygać spory włościjan we wsiach; wypadało mu z tego powodu często wydalać się, i to zdawało się być jej zamiarem.

Podczas jednego z jego wyjazdów zaszło zdarzenie następujące:

Sędziwa Eurynoma, rzadko opuszczająca starcze swoje łoże, w najwyższem wzburzeniu weszła do pokoju królowej; jedną ręką wspierała się na lasce, drugą wiodła młodą niewolnicę, również wzburzoną i błagającą o łaskę.

— Nie błagaj, nie błagaj! — powtarzała Eurynoma. — Ani słyszeć chcę o tem. Opowiedz królowej wszystko, coś wczora opowiedziała Eutychidzie, nic nie ukrywaj! Pamiętaj, że ta wie o wszystkiem! Biada ci, gdybyś próbowała kłamać!

Kreuza na bok odłożyła przędzę.

— O co chodzi? — surowo spytała niewolnicy: — cóż wiesz ty takiego?

— Nie wiem o niczem, pani, — żałośnie zaczęła niewolnica, — poza tem, co opowiedział mi Straton, którego dałaś mi za męża.

— A cóż on opowiedział?

— Należał on do orszaku króla Ksuta w Delfach.

— W Delfach? — spytała powtórnie Kreuza z drżeniem w głosie.—Mów dalej!

— Ano, tam, jak zazwyczaj, powiadał Straton, wyprawiono ucztę; potem znów ucztę; potem, powiadał Straton, był dzień wróżby. Ów młodzieniec, wtenczas jeszcze nie mający imienia, pyta króla: jakie pytanie każe przekazać bogu? A król odpowie: ja sam przed obliczem boga stawię mu swe pytanie. I poszedł tedy do świątyni, młodzieniec zaś, powiadał, został przed świątynią i jął chodzić tam i z powrotem, czekając na wyjście króla. A młodzieniec ów, powiadał Straton, nie miał wtenczas żadnego imienia...

— Wiem, wiem, cóż więc dalej?

— A dalej, tedy, wychodzi król—młodzieniec go spotyka. Król, jak nie pocznie go ściskać: „Witaj, synu mój!“ Ów wyrywa się: czy nie stracił on—myśli sobie — zmysłów? A król: „Nie postradałem ja zmysłów, tylko tak mi powiedział Apollo: kto, mówił, pierwszy ze mną się spotka, ten jest synem moim“. I dał mu na imię „Ion“, dlatego, mówił, że wyszedł był naprzeciwko. I orszakowi całemu z całą surowością nakazał: skoro życie wam jest drogie, nikomu o tem ani słowa! I, na miłość

bogów, królowo, nie zdradzaj tajemnicy. — Gdyby dowiedział się król, zabiłby Stratona, a Straton mnie.

— Syn, powiedziałaś, syn... Jakże może on być jego synem?

— O to samo i on właśnie spytał: jakoż, powiada, jestem synem twoim, skoro ja jestem delfijczykiem, ty zaś pochodzisz z Aten? I począł król przypominać sobie — rozumiesz — dawne sprawy. I przypomniał, że niegdyś, przed laty dwudziestu, święcono uroczystość Djoniza w Delfach, i bachantki delfickie...

Rozdzierający krzyk, jaki wybuchnął z piersi królowej, nie pozwolił jej dokończyć. Zerwawszy się z miejsca, wybiegła na dziedziniec przed zamkiem. Groźnie podniosła rękę w kierunku Cyteronu i gościńca delfickiego:

— Bądź przeklęty, bądź przeklęty, bądź przeklęty! — krzyczała w uniesieniu. — Dlaczego jemu, nie zaś mnie? Czem na łaskę twoją zasłużył? Ha, jego krew rozkwitnie w domu Erechteusza, moja zaś...

Opuściły ją siły. Gdy oprzytomniała, spostrzegła obok siebie piastunkę.

— Niechaj bóg ma cię w opiece, córko, co znaczą twoje straszne słowa? Przekleństwami nic nie wskórasz; trzeba działać, i szybko, póki twój mąż nie wróci. Nie można dopuścić, aby na tronie twego ojca osadził on swego syna nieprawego, zrodzonego z jakiejś dziewki delfickiej.

Kreuza słuchała w pokorze, nic nie odpowiadając.

— Posłuchaj, co ci powiem, córko. Matka twoja, błogosławiona królowa Praksytea, znała wszelkie trawy, jakie tylko wydaje matka-karmicielka,—wiedziała, które leczą, wiedziała, które zabijają. Tę wiedzę i mnie przekazała. Zdaj go na mnie i — sprawa będzie skończona.

Lecz Kreuza zaprzeczyła ruchem głowy.

— On mi ocalił życie, a ja miałabym go zabijać? Nie, nianiu, niedobra jest twoja rada; nie godzi się córce Erechteusza wstępować na tę drogę.

Oczy jej błysnęły dumą i odwagą.

— Chcę jasności, jasności i prawdy. W Atenach naszych prawda boża pierwszą znalazła siedzibę.—Sama Pallas ustanowiła tu pierwszy w świecie sąd, sąd sprawiedliwy, nieprzedajny. Nawet bogowie nie uchylali się od stawania przed tym sądem; Ares odpowiadał przed nim za krew syna Posydonowego, którego zgładził w sprawiedliwej zemście za cześć swojej córy; i odtąd sąd ów zwie się sądem Areopagu.

W tej chwili podniosła się i powtóre wyciągnęła rękę w stronę Cyteronu i gościńca delfickiego.

— I ja wyzywam boga przed Areopag!

X.

Powróciwszy, Ion, wedle ustalonego obyczaju posłał do królowej z zapytaniem, kiedy może zdać jej sprawę ze swej wycieczki w głąb kraju. Lecz królowa nie chciała go przyjąć i przez dowódcę straży pokojowej kazała mu oznajmić, że

ogólną wypadnie mu zdać sprawę ze wszystkich czynności przed trybunałem Areopagu.

Ion zrozumiał, że dowiedziała się ona o wszystkiem i że nastąpił kres jego władzy w Atenach.

— Życie w Delfach pod łaską boga droższe mi było nad wszystkie trony świata. Ale żal mi zacnego Ksuta; jakże gorzka i samotna czeka go starość!

Wszedł do swej komnaty, złożył w skrzyni bogate suknie królewicza, podarowane przez Ksuta, i dobył z niej skromną szatę sługi Apollina, którą nosił był w Delfach. Dobył też kosz stary, lecz wytworny i mocny, który ofiarowała mu Pytja w chwili pożegnania.

— Com przyniósł, to zabiorę z sobą,—rzekł sam do siebie: — reszta niech zostanie w domu Erechteusza!

Tymczasem, Kreuza, o powrocie Iona usłyszawszy, kazała wezwać najstarszego z areopagitów. — Kefisodorze,—rzekła doń—mam sprawę dla Areopagu. Chcę wyznać mu swoją krzywdę, on zaś niech wyrokuje po prawdzie, jak zaleca przykazanie Pallady. Każ oznajmić też Ionowi, aby stanął przed sądem.

— Jako oskarżony?

— Nie, jako świadek.

— A któż będzie oskarżonym?

— Oskarżonego wymienię przed sądem; nie bój się, usłyszy on mój pozew. Zgromadźcie się tedy niezwłocznie na skale Aresowej.

— Areopag się teraz nie zgromadza na skale Aresowej.

— A gdzież?

— Pod Akropólem, na łące, w pobliżu Długich Skał.

Kreuza drgnęła.

— Dlaczego tam?

— Mamy wyprawić do Delf teorję uroczystą, królowo; sygnał atoli do wyprawy dać powinien sam Apollo błyskawicą z góry-Wozu, stojącej w łańcuchu Parnetu. I oto, obecnie, orszak areopagitów, ukazując się kolejno, śledzi z Długich Skał, skąd otwiera się widok na Parnet, kiedy ukaże się błyskawica; skoro Areopagowi wypada zgromadzić się w pełnym składzie, odbywa on tam właśnie zebrania.

— Doskonale, — odrzekła Kreuza z utajoną zawziętością w głosie: — będzie to jeszcze lepiej. A więc, oczekujcie mię na łące u Długich Skał.

XI.

Pieczara Długich Skał wyglądała teraz już inaczej, niż przed laty dwudziestu, gdy królewna Kreuza zrywała tu kwiaty podczas święta Antesterjów. Gęsta zasłona drzew laurowych zagradzała do niej dostęp, wąskie zaledwie zostawiając przejście; ale i ono było niedostępne dla ogółu ludzi. Dostępu do pieczary wzbroniła królowa Kreuza; w przeddzień swego ślubu poświęciła ona tu jakoweś przedmioty i odtąd, w zimną noc miesiąca Posydeona, dopełniała tam jakichś obrzędów, o których nikt nie powinien był wiedzieć.

Teraz, na łące przed pieczarą, półkręgiem

rozstawiono dwanaście stołków składanych; zajmowali je areopagici, uwieńczeni wiankami zielonemi, w porządku określonym koleją starszeństwa; w półkolu stał Ion — taki, jakim znano go w Delfach, u nóg zaś jego stał koszyk Pytji. Wszyscy czekali na przyjście królowej.

Wreszcie królowa nadeszła — blada, drżąca, wsparta na ramieniu kapłanki Pallady.

XII.

Za nią szedł cały ów tłum, który jawił się był przed nią z gałązkami oliwnemi onego dnia pamiętnego i uprosił ją, aby udała się do Delf.

— Nie mówiłam wam jeszcze, jaka była odpowiedź Apollina — ozwała się Kreuza — więc powiem wam teraz.

— Sędziowie są obecni, świadek także—podjął Kefisodor:—powiedz, królowo, kogo oskarżasz.

Kreuza wzniosła głowę i rumieniec gniewu pokrył jej policyki.

— *Jego!* — wykrzyknęła, wskazując na rozpadlinę Parnetu, której trzech areopagitów nie spuszczało z oka. — Byłam jeszcze dziewicą; udała mu się moja krasa. Wywołał mię we śnie, w noc przed Antesterjami. Czyż sądziliście, że moja komnata ślubna mieści się w zamku Erechteusza obok domu Pallady? Nie; oto, kędy jest moje łoże ślubne!

Wyciągnęła rękę w kierunku groty.

— Nie skarżyłam się ja wtenczas; szczęście nieziemskie porwało całą moją istotę: byłam szczęśliwsza nad wszystkie kobiety, że dano mi było

nosić pod sercem dzieciątko krwi bożej. Marzyłam wciąż: bóg mnie nie opuści, bóg wejrzy na moją nadzieję. Ale miesiące mijały, a bóg nie przychodził. W tajemnicy przed światem, bożą wynosiłam ciążę; potajemnie wydałam na świat dziecię w domu Erechteusza, do krwi zagryzając wargi, aby nie wydały krzyku zdradzieckiego z piersi; potajemnie przeniosłam je tutaj, do pieczary, przed oczy jego niepamiętliwego rodzica. I jest to wszystko, co o nim wiem. Minęło lat dwadzieścia — ani razu bóg nie wspomniał o mnie. A gdy zmuszono mię, abym podjęła do niego pielgrzymkę, i w węzełku zapieczętowanym podałam mu pytanie, gdzie jest syn mój i jego — wypalił on moje pytanie i nie dał żadnej odpowiedzi. Potem i mąż mój Ksutos udał się do niego; i cóż? Jemu ofiarował on to, czego mnie odmówił, dał mu syna jego miłości młodzieńczej. Synem tym jest — ten!

Pokazała ręką na Iona.

— Sędziowie Pallady — ciągnęła dalej Kreuza: Potężna córa Gromowładcy dała wam wielkie prawo wymiaru sprawiedliwości nad bogami i ludźmi: Ares i Posydon poddali się waszemu wyrokowi. Rozsądźcież tedy sprawę między mną a moim krzywdzicielem, zażądajcie od Apollina, ażeby oddał mi dziecko moje!

W tej chwili goniec zbrojny, zdyszany od pośpiechu, dopadł do Kefisodora i szepnął mu coś do ucha. Kefisodor westchnął i zdjął wieniec z głowy. Wszyscy areopagici zwrócili nań spojrzenia pytające:

— Co się stało?

— Sąd Areopagu odbywa się w dalszym ciągu, — głośno oznajmił Kefisodor.

— Królowo, w opowiadaniu twojem nie wszystko jest zrozumiałe. Dlaczego nie wyznałaś wszystkiego ojcu swemu Erechteuszowi? Był to człowiek łagodny, i kochał ciebie; z pewnością znalazłby on sposób, aby pomóc twej niedoli i, synów nie mając, chętnie przyjąłby wnuka krwi bożej, którego ty wydałaś na świat.

Kreuza zmarszczyła brwi.

— W swym nakazie przed rozstaniem bóg wzbronił mi mówić o tem komukolwiek; w tem zawierało się dopełnienie niedoli. Nikt o niczem nie wiedział, ani ojciec, ani piastunka. Wszystko przeboleć musiałam ja sama.

— Mówisz o nakazie: czy pamiętasz go dobrze?

— Jeszcze by też! Ognistemi zgłoskami zapadł on w me serce.

— Powtórz go więc przed sądem słowami samego boga.

— Rzekł do mnie temi słowy: „Dzięki ci, Kreuzo, za twoją miłość; nagrodą twoją cudne będzie dzieciątko, które urodzisz, skoro Selena poraz dziesiąty zwinie swoje rogi. Ale nie powinnaś wyjawiać nikomu, że ojcem jego jest Apollo...

— To wszystko?

Kreuza odpowiedziała nie zaraz.

— Nie, nie wszystko,—rzekła, nakoniec, prawie szeptem.

— Wobec sądu nie powinno być tajemnic; co jeszcze przykazał ci bóg?

— ...„i obowiązana jesteś w miłości je wy-

karmić i wychować sama, nie odsuwając go od siebie".

— A ty śmiałaś woli bożej nie usłuchać?

— Czyż mogłam ją spełnić? Pomyślcie! Pozostawić przy sobie dziecko, w dziewictwie urodzone, wstydu mojego poszlakę,—i nikomu, nawet ojcu rodzonemu, nie wyjawić tego, coby mię wobec niego usprawiedliwiło, żem to dzieciątko poczęła z boga! O, łatwo było bogu żądanie to stawić! W początku, i ja byłam mu posłuszna, spodziewając się, że przyjdzie on, że wesprze mię i poratuje. Lecz, gdy mijać poczęły miesiące, a jego nie było, gdy nadszedł dzień, który ciało me zakrwawił, a jego wciąż nie było, wtenczas i moja dusza załamała się w niemocy.

Kefisodor smutnie opuścił głowę.

— Wysłuchaliśmy oskarżycielki; wysłuchajmy też świadka. Ionie, synu Eolidy, co wiesz ty o swojem pochodzeniu?

— Apollo dał mię za syna królowi Ksutowi,— skromnie oświadczył Ion:—wiem to ze słów króla. Sam o ten zaszczyt się nie ubiegałem; skoro królowa jest na mnie niełaskawa, wrócę pod opiekę boga. Żegnając się ze mną, Pytja, w Delfach, zastępująca mi matkę, dała mi ten kosz; „po tym koszu — rzekła — poznasz ty swoją matkę prawdziwą". — „Kiedy?" spytałem; ona zaś odrzekła: „Kiedy bóg zechce".

— Oddaj kosz sądowi,—rzekł Kefisodor. Ion wykonał zlecenie. Kreuza, wciąż spoglądająca na rozpadlinę Parnetu, w tej chwili po raz pierwszy zwróciła nań uwagę. Serce jej przeniknął dreszcz.

Kefisodor rozwiązał sznurki, zdjął pokrywę i zajrzał do środka.

— Nieświetną schedę przekazała ci matka — rzekł z uśmiechem do młodzieńca.

W rzeczy samej, cała puścizna polegała na kawałku białej tkaniny, z pozoru przypominającej pieluszki dziecięce.

— Acz, zresztą, w robotach niewieścich nielada była ona mistrzynią. Patrzcie, co jest tu wyhaftowane: powalony olbrzym, nad nim zaś głowa Gorgony. Szkoda, że ręka Pallady, która go trzymała, została oderwana.

Kreuza podbiegła ku sędziemu. Nieprzytomna ze wzruszenia, rzuciła się do pieczary i natychmiast wyszła stamtąd z chitonem w ręku. Rozwinęła chiton:

— Spójrzcie, oto ręka Pallady. Widzicie? wszystko się zgadza, haft jest cały, haft ręką matki mojej Praksytei robiony.

Spojrzała na Iona:

— Sędziowie, sędziowie! Teraz proszę ja sama, aby uniewinnić oskarżonego. Wiele wycierpiałam, ale ta jedna chwila okupuje wszystko: Apollo zwrócił mi mego syna!

Wszyscy areopagici, prócz jednego, wstali ze swych miejsc. Dały się słyszeć okrzyki powitalne:

— Niech żyje Ion!

— Niech żyje syn Apollinowy!

— Niech żyje królewski wnuk Erechteusza!

Kefisodor przeczekał wybuchy radości, poczem z powagą obwieścił:

— Niech żyje *król* Ion!

Wszyscy oniemieli. Jakto? Król Ion? Dlaczego król?

Kefisodor mówił w dalszym ciągu:

— Przykro mi zasmucać królowę i was wszystkich w tak radosnej chwili; lecz wiadomość, jaką dopiero co otrzymałem, głosi: hufy eubejskie rozbite zostały przez wojsko Pallady, ale w boju, mężnie potykając się, poległ król nasz, Ksutos, syn Eoa.

Areopagaci zdjęli wieńce. Kreuza pochyliła głowę, radosny uśmiech znikł z jej ust, dwie łzy ciężkie stoczyły się po jej policzkach.

— Dobry był i prawy, — rzekła — i poległ śmiercią bohatera; niechże będzie uczczon złożeniem zwłok w grobowcu Erechtydów!

— A ja, matko, — dodał Ion — ja pomszczę jego śmierć. Nie lękajcie się, synowie Pallady, Eubeja będzie nasza!

— Niech żyje król Ion! — ozwały się znów okrzyki w gronie areopagitów.

W tej atoli chwili wstał aereopagita, siedzący dotychczas; był to obywatel posępny, lecz sprawiedliwy i od wszystkich za swą prawość skrupulatną szanowany.

— Czekajcie, obywatele, powstrzymajcie się od wyroku nazbyt skwapliwego. Chętnie wierzymy tobie, królowo; jednakże trybunał Areopagu wymaga nie wiary, lecz dowodów. Czem udowodnisz ty, że ów młodzieniec — tu wskazał na grotę — był, prawdziwie, Apollinem, nie zaś śmiertelnikiem?

Nie zdążył atoli słów swych dokończyć, gdy rozległ się okrzyk:

— Błyskawica z Parnetu!

Wszyscy zwrócili spojrzenia w tę stronę. Jeszcze podwakroć, coraz jaskrawiej, błyskawica oświetliła rozpadlinę nad górą.

— Ustępuję; gdzie bóg daje świadectwo, tam człowiek umilka.

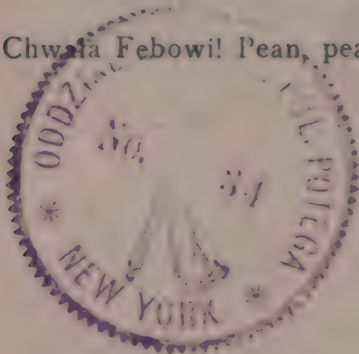
— Chwała Febowi! Pean, pean! — jęły śpiewać niewiasty.

Cały pochód ruszył w kierunku wzniesienia ku Akropolowi; na czele wszystkich szła Kreuza, wsparta na ramieniu syna, potem areopagici, dalej zaś — pozostały tłum.

— Chwała Febowi! Pean, pean!

I echo Długich Skał wtórowało szlochom radości:

— Chwała Febowi! Pean, pean!



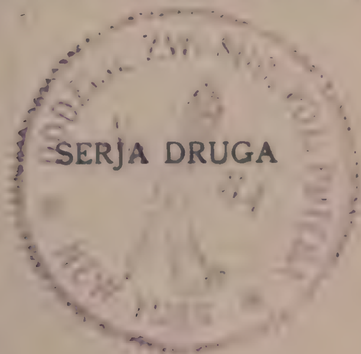
SPIS RZECZY SERJI PIERWSZEJ.

IREZYONA

TADEUSZ ZIELIŃSKI

IREZYONA

KLECHDY ATTYCKIE



SERJA DRUGA

WARSZAWA MCMXII KRAKÓW
WYDAWNICTWO J. MORTKOWICZA
TOWARZYSTWO WYDAWNICZE W WARSZAWIE

Drukarnia Naukowa. Warszawa, Rynek Starego Miasta 11.

PIEŚNI SŁOWICZE



W małym perystylu pałacu króla Erechteusza coraz więcej żeńskiej gromadziło się czeladzi: z ust do ust ważną podawano sobie wiadomość, że przybysze z Tracji, którzy sprzedali królowi ładunek budulca z gór Pangejskich, otrzymali pozwolenie na pokaz i, o ile się znajdą nabywczynie — na sprzedaż tkanin i haftów żon swoich i córek. Dowiedziała się o tem i młoda piastunka malutkiego królewicza, rodaczka przedawców, którą z tego powodu nazywano w pałacu poprostu Trattą. Serce jej trwożnie bić poczęło; wstała i, ująwszy dziecko za rękę, skierowała się do perystylu.

— Ty dokąd? — ponuro ozwała się do niej Eurynoma, druga piastunka, pielęgnująca młodszą siostrę królewicza, Kreuzę. Ta była starsza od Tratty, zresztą poza tem, jako greczynka, poczuwała się do niezmiernej nad tamtą wyższości.

— Idę zobaczyć hafty... A ty nie pójdziesz?

Eurynoma wzruszyła jeno ramionami.

— Mnie chcą imponować, — mnie, uczennicy nieboszczki królowej Praksytei. Przewyższała ją jedna tylko Pallada — cześć jej, władczyni grodu!

Lepiejbyś i ty nie chodziła; i tak zawiele się zadajesz z tymi wąsalami w spodniach.

Właściwie Tratta była zadowolona, że Eurynoma z nią nie poszła. Nie puszczając ręki dziecka, weszła do perystylu, gdzie aż wrzało od handlu. Kłótnie, żarciki, śmiechy; klucznica Nikostrata starała się utrzymać ład, lecz już nie było tego porządku, co przy nieboszczce królowej.

— Ile chcesz za tę narzutkę? — targowała się młoda niewolnica.

— Pół miny.

— Weź trzydzieści drachm.

— Chyba, jeżeli siebie dodasz.

Tłusty żart, wyrzeczony łamanym językiem greckim, wywołał powszechny śmiech. Korzystając z okazji, drugi handlarz szepnął wchodzącej Tratcie w jej ojczystym języku:

— Dziś, o godzinie wyprzęgania byków! Zrozumiałaś, Karaksto?

— Zrozumiałam. Lecz ty, Adoście, nie oszukasz mnie?

— Nie bój się. A nie przychodź mi bez malca.

— Naturalnie, że go nie zostawię.

— Pamiętaj-że. — A teraz, ślicznotki, ciągnął dalej już głośno po grecku, pokażę towar taki, jakiegoście dotąd nie widziały. Oddacie dusze w zastaw, ale nie pozwolicie mi zabrać go do domu.

Wiele srebrnych sówek przewędrowało tego wieczoru do sakiewek Traków; przewędrowałyby może i wszystkie, gdyby pożegnalne promienie z Egaleju nie ostrzegły handlujących o konieczności przerwania rozmowy.

— A jutro przyjdziecie? — spytała jedna szczególnie nienasycona.

— Przyjdziemy, ślicznotki, przyjdziemy — odpowiadał wąsal. Tylko sówek jak najwięcej przyszykujcie.

I poczęli układać w pudłach niesprzedane towary.

A tam, w świetlicy, Eurynoma kołysała do snu malutką Kreuzę, która płakała.

— Chcę braciszka! Gdzie jest braciszek?

— Nie płacz, sierotko moja, braciszek przyjdzie. — I nuciła dalej swoją piosenkę:

Będziesz kiedyś królową
I królowej synową.
Gdzie twa nóżka stąpi mała,
Tam wyrośnie róża biała...

Ale dziewczyna wciąż nie chciała się uspokoić, wciąż płakała rzewnie.

— Chcę braciszka! Gdzie jest braciszek?

II.

— Nianiu, tu jest tak strasznie. Woda wciąż i woda, nic nie widać prócz wody.

— Pomódl się do Nereid, mój drogi, a strach minie.

— A jak trzeba się do nich modlić?

— Podnieś rączkę tak, jak się zwykle modlisz.

— Tak, jak się modlę do naszej opiekunki, dziewicy-Pallady?

— Tak, kochany, tylko rączki wyciągnij do morza. I mów: „O potężne Nereidy, dajcie nam szczęśliwie przepłynąć“.

— O potężne Nereidy, dajcie nam szczęśliwie przepłynąć! Nianiu, a gdzie one są, te Nereidy?

— Tam, moje dziecko, w tych modrych falach. Lecz my ich nie widzimy.

— O nie, nianiu, ja je widzę. O, tam widzę — i tam — i tam. Dużo, dużo Nereid. I takie ładne, zupełnie, jak ty.

— Co ty! co ty mówisz, kochany, nie należy mnie, śmiertelnej, porównywać z boginiami: one się obrażą.

— To one złe?

— Nie, one się tylko na złych gniewają, a dla dobrych zawsze są dobre i ratują ich od burz i skał. I nasz okręt dawno by zginął, gdyby one nie były dla nas przychylne.

— To tutaj wszyscy są dobrzy?

Niania nic nie odrzekła. Pomyślała, że gdyby to, co powiedziała, było prawdą, to już dawno by ich okręt leżał na dnie morza.

— I ten wujek, co cię niedawno całował, także jest dobry?

Niania umilkła i zarumieniła się.

— Nianiu, a dokąd my jedziemy?

— Do twojej cioci, mój śliczny.

— Do jakiej cioci?

— Czyżbyś nie słyszał o twojej cioci Prokne, siostrze twego ojca? I o drugiej twej cioci Filomeli?

Twarz chłopczyka nabrała nagle wyrazu przerażenia.

— Słyszałem, nianiu. Słyszałem, jak niania siostrzyczki mówiła o nich z Nikostratą. Ale ona

mówiła coś niedobrego i Nikostrata rozpłakała się; powiedz, nianiu, jak to było?

— A było tak, że twoja ciocia Prokne wyszła zamąż za Tereusza, króla tej krainy, do której jedziemy.

— A jak on wyglądał ten Tereusz?

— On wyglądał tak, jak ten wujek, który... który z nami jedzie.

— To on był także w spodniach? Z takiemi samemi wąsami, takiemi długiemi i śmiesznemi?

Właśnie Adost przechodził koło nich i, usłyszawszy słowa dziecka, z niezadowoleniem potrząsnął głową i mruknął coś gniewnie w swoim języku.

— I także był taki złośnik?

— Nie, mój miły, ale ty się nie śmiej z tego wujka: on tego nie lubi.

— Opowiadaj mi o cioci Prokne. Więc Tereusz zabrał ją tam daleko?

— Tak, zabrał ją.

— A co dalej?

— A dalej to, że twoja ciocia Prokne żyła z nim szczęśliwie, aż urodził im się synek, Itys.

— A ja nie wiedziałem, nianiu, że mam braciszka. Myślałem, że mam tylko siostrzyczkę Kreuzę...

Dziecku nagle stało się smutno.

— Chcę do siostrzyczki! gdzie jest siostrzyczka?

— Nie smuć się, drogi, przecież jedziemy do braciszka. No, więc, żyła sobie, żyła twoja ciocia i zatęskniła za siostrą, tak jak ty w tej chwili, I powiada do męża: mężu mój kochany, przywieź

mi moją siostrę Filomelę. I pojechał Tereusz znowu do nas do Aten i wziął z sobą ciocię twoją Filomelę, i powiózł ją do siebie...

— A co dalej?

— A dalej... to już niedobrze. Skrzywdził twoją ciocię, Filomelę. Teraz nie zrozumiesz tego mój kochany, a jak będziesz duży — zrozumiesz.

— To on był złośnik?

Znów Adost przeszedł i na widok chłopczyka zmarszczył brwi.

— Taki złośnik, jak i ten wujek?

Adost usłyszał te słowa i pociągnął dziecko boleśnie za ucho. Chłopczyk się rozpłakał.

— Nianiu! jak on śmie mię krzywdzić?

Tratta wypowiedziała krzywdzicielowi kilka słów w swoim rodzimym języku, ale i na nią zaczął krzyczeć. Więc i ona zalała się łzami i rozpaczliwie przycisnęła chłopczyka do piersi.

— Co ja zrobiłam, bogowie, co ja zrobiłam!

III.

Żywiczny aromat sosnowego gaju, roztopiony w upale dnia wiosennego, unosił się w wietrzyku wieczornym. Słońce zachodziło za modry łańcuch gór Pangejskich, oświetlając swemi skośnemi promieniami olbrzymi drewniany posąg dzikiej bogini, potrząsającej dwiema włóczniami i wspierającej się kolanem na grzbiecie powalonej łani. Pod tym posągiem siedział mężczyzna o wyglądzie niemniej dzikim, w wilczej czapie, z której groźnie sterczała para rogów; zwracał się on krótką urywaną mową

do gromadki innych mężczyzn, wśród których był i Adost. W pobliżu siedziała w milczeniu Tratta z dzieckiem.

Chłopczyk z początku przyglądał się ciekawie to bałwanowi dzikiej bogini, to dzikim ludziom. Co oni robią? Na kolanach u rogatego leżały jakieś drewniane pałeczki; po odpowiedziach Adosta brał on coraz inną z nich w ręce i robił na niej jakieś zazębienia. Pracę swoją obficie zapijał winem, w czem zresztą naśladowali go też wszyscy pozostali mężczyzni. Doprawdy, stawało się to nudne.

Cyt... cóż to ozwało się w krzewach? Śpiew słowika. Zupełnie, jak w Atenach, w gaju Kolońskim. Tylko daleko bliżej; rozróżnia wyraźnie piewczynię. Przelatuje ona z gałązki na gałązkę i patrzy nań tak przyjaźnie swojemi mądremi oczkami. Wydaje się, że mógłby ją pochwycić. Nie, w ręce wziąć się nie daje, ale nie odfruwa daleko i śpiewa wciąż, śpiewa tak słodko, tak pieszczotliwie. Oj, ptaszyno, gdyby zrozumieć, co mi chcesz powiedzieć!

Oto skoczyła na górną gałązkę i jakby kogoś wzywała. I rzeczywiście, ktoś nadlatuje. Taki śmieszny. Bury z pstrokatemi skrzydłami i ogromnym czubkiem. Przyleciał i powiada: „Du-du! du-du!“ To pewnie znaczy: „jestem, co rozkażesz?“ Widać piewczyni coś mu rozkazała, bo „dudek“ znowu odleciał. I znów na cały gaj rozbrzmiewa pieśń słowicza, pieszczotliwa, słodka i taka żałosna, taka żałosna. Na płacz się zbiera.

Cyt... jakiś łomot słychać z wysokości, para

ogromnych skrzydeł przysłoniła słońce. Wiem: to jest sęp: widzieliśmy z ojcem takiego na Likabecie. Ratuj się, droga! Lecz ona ani myśli się ratować. Sęp opadł na wierzchołek sosny i patrzy stamtąd na chłopczyka, aż strach. Ale słowik rozełkał się jeszcze silniej i pieśń jego rozprasza strach.

— Kikkabau! Kikkabau!

Ach, wiem: to stara przyjaciółka z Akropolu, nasza kochana sowa, ptak Ateny. Teraz niema się już czego obawiać. To ona tam siedzi na dolnym grubym sęku sosny. Siedzi, patrzy i jakby się uśmiecha swoją okrągłą twarzą. I nawet ta ptaszyna jej się nie boi: skoczyła jej wprost na głowę i czyści sobie dziobek o jej pióra. To pewnie ma oznaczać: jak się masz! — Och, przeszkodzili! A zresztą, nic to nie szkodzi: przynieśli dzban mleka i kawał chleba. A choć się przegłodziłem, pomimo to nakarmię okruszynkami ptaszynę. Masz, kochana! Cóż to? Spostrzegła, lecz nie chce okruchów i kręci łebkiem. Widać jej nie smakuje. A to co? Całe stadko ziąb, dwie, trzy, mnóstwo. I nagle niema okruszek, wszystko wydziobały. Jakież one oswojone!

— Du-du! Du-du!

A, znowuś się ukazał, stary znajomy. I jaką chmarę z sobą przyprowadził: sroki, sójki, dzięcioły, drozdy, synogarlice i kraski. Ale najśmielsza ze wszystkich przyleciała jaskółka, usiadła na ręce, kłania się główką i wciąż szczebiocze. Chciałbym zrozumieć, moja ty, ale nie mogę...

Cały gaj zapełnił się ptakami; ze wszystkich

stron zlatują się, jak na wiec. Na każdej gałązce po kilka: hałasują, piszczą, śpiewają, każdy na swój sposób.

Lecz nagle inny hałas przerwał marzenia chłopczyka. Adost zakończył swe sprawozdanie i wysypał z worka stos srebrnych tetradrachm. Rogacz je przeliczył i widać było, że jest zadowolony.

— A teraz — zakończył Adost — bierz i dodatek. Po sprzedaży — zdobycz. Pierwsza zdobycz — oto ta niewiasta. Druga zdobycz — chłopczyk, hellen. Mały, ale zdrów; gdy wyrośnie, będzie z niego dobry niewolnik.

— Prowadź ich tutaj, — rzekł rogacz.

— No, Karaksto, pójdź do króla.

Zerwawszy się, popatrzyła nań ogromnemi z przerażenia oczami.

— Co mówisz! Opamiętaj się! Żonę własną w niewolę zaprzedajesz?

— Co ty za żona! Tego brakło, żebym brał za żonę niewolnicę helleńską!

— Adoście! Wszak przysięgałeś, że będę ci żoną i że tego chłopczyka przyjmiemy za syna.

— Głupia, a któż ci kazał wierzyć?

— Zdrajco! Krzywoprzysiężco! Niech cię ta bogini ukarze, nasza potężna Bendyda!

— A ty? zdradziłaś swych panów, a oczekujesz wierności od obcego? Dalej! ruszaj przed króla!

Nieszczęsna niewiasta jękła.

— Co ja zrobiłam, o bogowie! Co ja zrobiłam!

I porwawszy dziecko na ręce, jak szalona pomknęła z gaju, wprost we mgłę nadciągającego wieczoru. Rzucili się w pogoń Tracy, lecz nogi

ich niezbyt słuchały, — jakoś zbyt wiele pozostawali w tyle. Lepiej się wiodła pogoń powietrzna— wszystkie ptaki mknęły za uciekającą; lecz ta pogoń nie była straszna.

Wciąż dalej, a dalej po zboczu dzikiego Pangeju.

Wtem krzyknęła Tratta i upuściła dziecko: ziemi zabrakło pod jej nogami, i runęła w przepaść. Jeszcze krzyk jeden z dna przepaści — a potem cisza grobowa.

IV.

Lecz dziecko wraz z nią nie upadło. Zaraz, zatoczywszy się, poczuł pod sobą coś miękkiego, ciepłego i puszystego. Chwycił rączkami za to coś i zrozumiał odrazu, że obejmuje szyję sępa.

Sęp ociężale machnął skrzydłami i wkrótce wolno opadł ze swym ciężarem w drugiej części wąwozu; chłopczyk stanął na nogach.

Wokoło była ciemność. Nad sobą rożróżnił prostopadłą ścianę, ponad nią niebo, usiane gwiazdami. Przed sobą krzewy i drzewa.

— Nianiu! nianiu!

Milczenie. Nie otrzymawszy odpowiedzi, zapłakał.

— Kikkabau! Kikkabau!

Strząsnął łzy; chwała bogom, nie jest sam. Stara piastunka akropolska jest także tutaj.

Powtórzył się zew. Poszedł w jego kierunku; dziwna rzecz, rozlegał się jakby z wnętrza skały. Aż oto w skale jest pieczara, a z głębi jej migają

gościnnie dwa światełka. To jego gospodyni, poczciwy ptak Pallady.

Wszedł do pieczary. Sucho, ciepło, wonnie, jakby czyjaś oń troska zebrała umyślnie tymianek z górnych zboczy Pangeju. Grunt skalisty, lecz oto nagle coś miękkiego. Pomacał ręką—podściółka z liści suchych, okryta delikatnym puchem ptasim. Jakby ktoś przygotował dla niego posłanie. Położył się i zasnął tejże chwili.

Przyfrunęła sowa i okryła go swemi szerokiemi skrzydły.

Tak minęła noc.

A gdy dnia następnego słońce do pieczary zajrzało, dziwny zoczyło obraz: jak kwoka siedziała nad śpiącem dzieckiem sowa, nie ruszając się z miejsca.

Lecz razem ze słońcem przyleciała do jaskini piewczyni wczorajsza i zaraz zaszczebiotała wesoło.

— Jeszcześ tu, Niktymeno? Dzięki ci, żeś ogrzała mojego chłopczyka!

— Jest za co, rodaczko: prawdę rzekłszy, straciłam przezeń polowanie nocne i trzeba będzie iść spać o pustym żołądku. Raz można tak zrobić, lecz na noc następną wymyśl, proszę, co innego.

— Już wymyśliłam. Poleciłam sójce i kobusowi zdjąć wełniane okrycie z owej nieszczęsnej; schnie ono teraz na murawie, a potem damy je dziecku zamiast kołderki.

— Schnie?

— Tak. Przecież ona wpadła prosto do stru-

mienia, który już do połowy przysuł ją piaskiem. Tak nawet lepiej, nie trzeba jej kopać mogiły.

— A jakże ty go nakarmisz?

— Także obmyśliłam. Dziadek Gip, ten, co go wczoraj uratował — obiecał mi przynieść ze wsi trackiej szkopek z mlekiem. A po chleb wysłałam sroki, one przecież są mistrzynie w kradzieży. Lecz oto i one.

Rzeczywiście, w pieczarę wefrunęły trzy sroki, każda z obwarzankami wkoło szyi. Poczęła się natychmiast paplanina: „jak się masz, Prokne?“ „jak się masz, Prokne?“ „a gdzie twój mąż?“ i t. d. Dziecko podniosło główkę i zaczęło przecierać oczy.

— Ot i przebudziło się — rzekła sowa — no, mogę się udać na spoczynek po nocnym głodzie. A już dawno oczy mi się kleją; całkiem osowiałam, jak mówią u nas w Attyce. Życzcie mi spokojnego dnia, dzieciaki moje.

I wpakowała się w najciemniejszy kąt pieczary.

— A gdzie twój mąż? — pytały natarczywie sroki.

— To, moje drogie, tajemnica.

— My nie powiemy nikomu.

— Aha, akurat wam uwierzę. Nie, powiedzcie mi lepiej, gdzie zostawiłyście starego Gipa.

— Leciał z nami, lecz pozostał w tyle: ciężko mu ze zdobyczą w szponach. A ty jednak co do męża...

— Posłałam go po trawkę, a po jaką, nie powiem, choćbyście nie wiem jak prosiły. Nemezys nie pozwala.—A, Gip, prosimy. No, widzę, żeś

i o sobie pamiętał: w pazurach szkopek, a w dziobie, zdaje się, kura?

— Trzeba było pomyśleć i o Niktymenie — odrzekł Gip, ostrożnie stawiając szkopek na ziemię i biorąc kurę w pazury.—Hej, ciotko! Poczekaj ze spaniem, podzielimy się wprzód zdobyczą.

Z głębi pieczary dało się słyszeć aprobujące „kikkabau“ i sęp przepadł. Dziecko leżało jeszcze w półśnie i przecierało oczy.

— Du-du! du-du!

— Jesteś i ty, Tereuszu. W samą porę. Widzę, że znalazłeś trawkę.

— Znalazłem, żono. Cały Pangej obleciałem. Wszystkie żmije zwołałem. Nie wiedzą nic. Wszystkie aby jesteście, pytam? Nie, mówią. najstarszej gadziny niema, jej ciało zgrzybiałe nie ma sił już pełzać. To ją przywleczcie, mówię.

— Wstrzymaj się z opowieścią. Dziękuję wam, drogie, zostawcie swe obwarzanki i pofruńcie do kukułki. Prokne, powiedzcie, kazała się kłaniać i opowiedzieć o sikorce, że wysiedziała jakieś podejrzane pisklę, niepodobne ni do matki, ni do ojca.

Sroki wyfrunęły z pieczary.

— Teraz mów dalej.

— A więc, mówię, przywleczcie ją. Wybrały się dwa młode węże, zawiązały swe ogony na węzeł wkoło starej i przyciągnęły ją. Zwracam się więc do niej. „Tak, rzecze, jedna taka trawka pozostała jeszcze w głębokiej przepaści Pangeju, lecz jakżeż tam dopełznę?“

Na szczęście, znalazł się puhacz w pobliżu, okręcił sobie gadzinę koło szyi i przyświecał jej

ślepiami, gdyby latarniami. Szukali, szukali, aż znaleźli.

— Doskonale.

Wzięła trawkę w dziobek, podfrunęła do sennego dziecka i zawisnąwszy nad jego otwartemi ustami, poczęła ją gnieść, tak, żeby sok ściekał mu w usta. Wycisnęła trzy krople i odfrunęła na bok. Chłopczyk zbudził się całkowicie.

V.

— Dzień dobry, kuzynie, czy dobrze się spało?

Zerwał się chłopczyk i obejrzał się wokoło.

— Kto mówi? czy to ty, nianiu?

— Nie, drogi: nie masz już piastunki. Mówi z tobą ciocia twoja, Prokne, do której jechałeś w odwiedziny, niegdyś kobieta, teraz ptaszyna, słowik. Już wczoraj mówiłam do ciebie, lecz nie rozumiałeś mnie; a dziś zrobiłam tak, że będziesz i mnie i wszystkie inne ptaki już rozumiał. Ale przedewszystkiem wypij mleko i zjedz chleb na śniadanie.

Szybko minęło zdziwienie chłopczyka, a za to głód przemówił. Gruntownie go zaspokoiwszy, począł szukać oczami swojej rozmówczyni.

— Cociu!

— Co, mój miły?

— A co będziemy teraz robili?

— Pójdziemy na przechadzkę. Chcę ci pokazać moje królestwo. Spodziewam się, żeś słyszał, iż jestem tych miejsc królową.

Chłopczyk wyszedł z pieczary; ptaszyna przelatując z krzewu na krzew, ze skały na skałę,

wskazywała mu drogę. Dolina, do której przyniósł go Gip, z jednej tylko strony oddzielona była od reszty świata prostopadłą ścianą skały; po drugiej stronie strumienia ciągnęły się pochyłe zbocza, częściowo porosłe lasem, częściowo pokryte zieloną trawą. Tam malca poprowadziła przewodniczka. Pytał się jej o wszystko, o każdego ptaszka i każdy kwiatek, i na wszystko otrzymywał od niej odpowiedź.

Zmęczony przechadzką, wyciągnął się pod krzewem: ptaszyna usiadła na jednej z gałązek, wprost nad jego główką i zanuciła swą zwykłą pieśń.

Rozumiał już teraz tę piosenkę—była to pieśń żałobna o losie Itysa, który zginął w niemowlęctwie z matczynej ręki. Zrobiło mu się smutno...

— Jakżeż to się stać mogło, ciociu?—zapytał, gdy swoją pieśń skończyła.

— W szale namiętności, mój miły.

— W szale czego?

— W szale namiętności. Nie wiesz, co to namiętność?

— Nie wiem, ciociu. Wytłomacz mi.

— Więc słuchaj. Mówiono ci, że zostałam małżonką Tereusza, króla Tracji.

— Mówiono.

— Zrozumiejże teraz. Kochałam namiętnie siostrę swoją, a twoją drugą ciocię, Filomelę; kochałam tak, iż żyć nie mogłam bez niej.

— Więc to jest namiętność?

— Tak, drogi, to jest namiętność, jedna z wielu namiętności.

— Ciociu, ja mam siostrzyczkę, Kreuzę, którą bardzo kocham. Przypomniałaś mi o niej i smutek mnie ogarnął.

— To, mój drogi, nie jest jeszcze namiętność, lecz łagodna miłość braterska. Lecz ja nie chciałam żyć bez Filomeli. Więc mówię do małżonka: drogi mój, przywieź z Aten moją siostrę.

— I przywiózł ją?

— Przywiózł, lecz tu wydarzył się grzech, gdyż on pokochał ją również.

— Namiętnie?

— Tak, namiętnie.

— Więc to źle było?

— To było bardzo złe. Przypomnij sobie: twój ojciec miał żonę?

— Rozumie się, moją mamę.

— A czy kochał tak inną kobietę, żeby z niej zrobić żonę obok twej matki?

— Nie.

— Więc widzisz; a małżonek mój tak właśnie pokochał siostrę moją. A gdy ta nie zechciała, to on ją...

— Skrzywdził?

— Tak, strasznie skrzywdził—skrzywdził tak okrutnie, że wypowiedzieć ci tego nie mogę.

— I pocóż on to zrobił?

— Pod wpływem gniewu, drogi. Gniew, widzisz, to też namiętność.

— Cóż dalej?

— Dowiedziałam się o tem. I coś strasznego stało się ze mną. Zapragnęłam się zemścić, zemścić tak okropnie, jak nigdy nikt się nie mścił.

Zabić go—było dla mnie za mało. Trzeba mi było czego jeszcze straszniejszego.

Chłopczyk z zastanowieniem patrzał na opowiadającą. Przypominiała mu się towarzyszka piastunki, której się zawsze obawiał; potem znikła nagle i powiedziano mu, że ona zabiła człowieka. Taka widać sama była wówczas i ciocia.

— Ty nie rozumiesz tego, mój maleńki, lecz wierzaj mi, ze wszystkich namiętności—najstraszniejszą jest żądza zemsty. I pomimo wszystko nie spełniłabym tego, co zrobiłam, gdyby nie jeszcze jedno...

— A cóżeś ty zrobiła?

Prokne powoli i z naciskiem odrzekła:

— Ja zabiłam naszego malutkiego syna, Itysa.

— Ach!

— Z pragnienia zemsty, rozumie się; lecz w tem było jeszcze coś. Ty tego tembardziej nie zrozumiesz, bo jesteś malutki. Lecz powiedz, czy ci mówiono, kto jest Dyonizos?

— Mówiono: on nauczył naszego rodaka Ikarjosa robić wino, a Ikarjos nauczył innych. Było to jeszcze za mojego dziada, a twojego ojca Pandjona. Od tego czasu obchodzimy coroczne święta, sielskie Dyonizje, Leneje, Antesterje. Wtenczas bywa bardzo wesoło.

— To jeszcze nie wszystko. Czy ci mówiono, co to są obrzędy Dyonizosa, jego nocne orgje w górach? Zresztą na cóż pytam, wy ich jeszcze nie znacie. A tu, w Tracji, znają je dawno i obchodzą. A więc postaraj się zrozumieć mnie: w tych orgjach człowiek dochodzi do szału i wszystko wydaje mu

się olbrzymiem. W taki szał wpadłyśmy i my obie z siostrą i razem zabiłyśmy Itysa.

— A cóż on, twój mąż?

— Rzucił się na nas z mieczem w ręce. Lecz bogowie ulitowali się nad nami. Chciałam uciekać i nagle poczułam, że fruwam i staję się zupełnie, zupełnie malutką. Oglądam się i widzę, że z nimi staje się to samo. I odtąd jestem słowikiem, Filomela — jaskółką, a Tereusz — dudkiem.

— O cześć bogom wielkim! Lecz wytłomacz mi jeszcze jedno. Widziałem cię razem z mężem i porozumiewaliście się ze sobą, a żadnej nienawiści nie było między wami. Ja tego nie pojmuję.

— To dlatego, mój drogi, że, zostawszy ptakami, zstąpiliśmy poniżej namiętności.

— Poniżej namiętności?

— Tak. Słyszałeś oto, jak w mojej pieśni opłakiwałam syna mego, Itysa, którego sama zabiłam; tak, smucę się przez to, i nigdy już ten smutek mnie nie opuści. Lecz smutek, to nie rozpacz, nie namiętność; my, ptaki, możemy się smucić, ale rozpaczać nie umiemy. To samo jest z gniewem: albo ptaki znają gniew? Nastroszą piórka na chwilę, a po chwili już nie pamiętają powodów gniewu. Prawdziwe namiętności miewacie tylko wy — ludzie.

— Jak dziwnie to wyrzekłaś: poniżej namiętności. A powiedz, czy jesteś szczęśliwsza, odkąd tak żyjesz?

— O tak, kochany, o wiele szczęśliwsza. I wielekroć myślałam, że jeżeliby bogowie uczynili cud, gdyby mój Itys zmartwychwstał, tobym i jego du-

szę starała się utrzymać poniżej namiętności. I oto bogowie spełnili ten cud — dali mi ciebie, syna mego brata, ciebie, sierotę. Będziesz mi teraz zamiast syna, a ja zastąpię ci twą zmarłą matkę. Chcę twego zupełnego szczęścia, a do tego potrzeba, żebyś i ty, idąc w nasze ślady, zjednoczył się rzetelnie z matką wspólną, Ziemią, i według praw jej żył. I tak będzie, tak będzie.

Znów zaśpiewała. Lecz była to pieśń nowa: był to hymn tryumfalny na cześć wspólnej matki Ziemi. I rosły trele pieśni coraz silniej i potężniej. Cały gaj wypełniły, rozbudziły, ukoiły. I odpowiedział gaj na zew swej krolowej; wtórowały jej ptaszęta, wtórowały jej drzewa; nie był to już gaj, ale jakaś czarodziejska olbrzymia lira, grająca wiekuistą pieśń o matce wspólnej, Ziemi-żywicielce.

Malec słuchał, jak oczarowany: i zdało mu się, że chmury, co wieńczą wierzchołki Pangeju, rozstępują się, że pomiędzy niemi widzi on błogosławiony orszak bogów olimpijskich. Słuchają i oni dźwięków liry wspólnej matki-Ziemi, i aby im odpowiedzieć, Apollo bierze własną i gra, gra pieśń nieba bez granic, obydwie zaś te pieśni, łącząc się ze sobą, na skrzydłach niosą jego duszę w dal błękitną, nadobłoczną.

VI.

Prokne dotrzymała przyrzeczenia. Nie opuszczała chłopczyka ani na chwilę: w dzień prowadziła go wszędy, pokazywała mu wszystko i objaśniała, a nocą, nim zasnęła na gałązce przed pie-

czarą — usypiała go kołysanką. Nad jego wyżywieniem i bezpieczeństwem czuwał Gip z Niktymeną. Szczególniej czynna była pomoc pierwszego. Na rzecz swego wychowańca grabił bezlitośnie wieś tracką, a szczególniej posiadłość bezecnego Adosta, w czem zresztą żwawo pomagały mu podwładne sroki. Niktymena zaś napędzała strachu wszelkiemu stworzeniu, które zechciałoby zbliżyć się do pieczary malca.

Coraz bardziej i bardziej jednoczył swą duszę z dziećmi wielkiej Matki. Rozumiejąc ich mowę, począł się uczyć odpowiadać im w ich języku, a one rozumiały go; wskutek tego mimowoli przejmowały go ich troski i wszystko to, co stanowiło treść ich błahego życia. Stopniowo zanikły w jego umyśle wspomnienia z dalekiej ojczyzny. Zachowując swój ludzki wygląd, z myśli swych i uczuć stawał się ptakiem pośród ptaków, najlichszym i najmniej wiedzącym między niemi.

Minęło lato, zbliżała się jesień. Prokne poczuła w sobie zwykłą jesienną tęsknotę. Wiedziała, że ten niepokój, rosnąc z dnia na dzień, zmusi ją nakoniec porwać się z zasiedziałego miejsca i każe jej pofrunąć na długo do bezśnieżnych krain. I w dwójnasób troskała ją myśl o tem, co się stanie pod jej nieobecność z wychowańcem. „Jak mogłam nie pomyśleć o tem wcześniej", mówiła do siebie, nie znajdując wyjścia z kłopotu.

Lecz gdy napróżno łamała sobie głowę i naradzała się z Gipem i Niktymeną, tymczasem inna Matka, mędrsza i bardziej przewidująca, poczyniła niezbędne zabiegi. Po jesiennem zrów-

naniu dnia z nocą, malec stał się jakiś ospały, przesypiał świt i kładł się spać przed zachodem słońca, mało dotykał przynoszonego mu przez Gipa jadła i prawie nie odpowiadał na pytania Prokne; a po tym wieczorze, gdy Plejady pogrążyły się w morze, nie wychodził już z pieczary.

Przeraziła się z początku Prokne: a nuż umarł; ale nie, nachyliwszy się do jego ust, przekonała się, że serce jego wolno bije pod chitonem i że piórka jej czują jego lekki oddech. „Zapadł w sen zimowy“, powiedziała sobie. Zwołała wszystkie znane sobie ptaki i zleciła im wyskubać ze siebie tyle puchu, żeby się nad chłopczykiem utworzyła cała górka. Zwierzchu Niktymena przykryła go kołderką, a żórawie nadźwigały kamieni, żeby to okrycie przymocować do ziemi. Potem Gip z przyjaciołmi zawalił wejście do pieczary nałamanemi przez wichry gałęźmi, zostawiwszy niewielki tylko otwór dla Niktymeny. Prokne wyśpiewała swemu sennemu synkowi pieśń pożegnalną i potem udała się w drogę.

Nadeszła zima burzliwa i śnieżna. Zagrodziła wejście do pieczary ścisłą i białą ścianą, a w pieczarze spokojnie drzemał mały ateński gość na łonie ciepłem Matki-Ziemi pod ciepłem pokryciem, utkanem przez jej dzieci.

I kiedy z nadejściem wiosny ściana stopniała, gdy znowu pozieleniał gaj — wróciła Prokne i obudziła swego ulubieńca pieśnią-wezwaniem. Nie odrazu otrząsnął się z zimowej śpiączki, nawet nie odrazu mógł opuścić swoje miękkie łoże; a gdy mu się to powiodło — minęło jeszcze kilka dni, zanim doszedł do świadomości, kim jest i czem

jest i nim powiązał tę wiosnę z jesienią ubiegłą. Lecz zwolna życie w całej pełni wstąpiło w swoje prawa, życie z naturą i w naturze, łatwe, beztroskie i beznamiętne.

Znów wiosna, lato, jesień, znów zima z jej śpiączką i tak rok za rokiem; podrósł chłopiec, i Prokne z Gipem i Niktymeną postanowili, że czas mu już samemu myśleć o sobie. I oto pewnego ranka przyfrunął Gip, trzymając w szponach jagnię, porwane z Adostowego stada; za niem nastąpiło drugie, trzecie i więcej. Nauczyli pacholę, jak się z niemi obchodzić; owczarnię urządzili w sąsiedniej pieczarze, gdyż Niktymena oznajmiła, że nie ścierpi brudu w swojej.

Pacholę stało się pastuchem. Do ziemi przywiązywał się coraz bardziej. Odczuwał już bezpośrednio wszystkie zmiany kierunku i natężenia wiatru, ciepła i wilgoci powietrza, umiał już przeczuwać jutrzejszą pogodę, nie posiłkując się wskazówkami ptaków. Wydawało mu się nawet, że jego dusza roztapia się jakoby w otaczającej przyrodzie, że bierze udział w radości i smutku każdego drzewa, każdego ptaka. Zrozumiał, czemu jest ona szczęśliwa cała, nawet gdy jej oddzielne cząstki cierpią. Tak, myszka cierpi, gdy Niktymena ją pożera; lecz myszka jest tylko cząstką natury, a natura osiąga samowiedzę nietylko w takich cząsteczkach, ale i w częściach donioślejszych, a przedewszystkiem w swym zespole, jako wielka Matka-Ziemia. Ludzie o tem nie wiedzą, rozumował, oni mierzą nas podług swojej miary, miary cząstek, i sądzą, że między nami są nieszczęśliwi, i nawet,

że nieszczęsnych jest więcej, niż szczęśliwych. Lecz tak nie jest: jesteśmy wszyscy szczęśliwi, gdyż stanowimy jedność.

Czy w nim samym te myśli się zrodziły, czy też podpowiedziała mu je Prokne?—tego sam nie był pewien. Tak się stopił z nią w jedną całość, że — zdało mu się — ich rozmowa zawiera się w śpiewie tej samej melodji. I ta świadomość dawała mu podwójne szczęście.

Przekonawszy się o tem, postanowiła Prokne, iż nadszedł dla pacholęcia czas ostatniej próby. Rozpoczęła od tego, że kazała mu rozkopać ziemię pod korzeniami pewnego dębu. Spełniwszy jej żądanie, znalazł gliniane naczynie, a w niem skórzany woreczek pełen złotych monet, pochodzących ze wschodniej mennicy: „Przymocuj go do pasa", rzekła mu, „przyda ci się między ludźmi".

Potem opowiedziała mu ostatnie wieści z Attyki: że jego ojciec, król Erechteusz, zestarzał się i dziś, jutro umrze, że jego samego uważają za zaginionego, a lud widzi w jego siostrze, Kreuzie, swą przyszłą królowę. „Jeżeli chcesz", zakończyła „możesz wrócić do Aten i upomnieć się o swe prawa. Zaprowadzę cię do portu Dziewięciu dróg; codzień odchodzą ztamtąd okręty do Grecji—znajdziesz tam i ateński. Każdy z właścicieli okrętów przyjmie cię chętnie za jedną z twych złotych monet. Czy pragniesz tego?"

Ledwo połowę uwagi zwracał wyrostek na jej opowiadanie o swej ojczyźnie, przerywał jej co chwila, aby przywołać owieczkę, która się zbytnio oddaliła. Po jej ostatniem zapytaniu spokojnie lecz stanowczo pokręcił głową.

— Niech żyje śliczna siostra moja Kreuza, przyszła królowa Aten przez bogi zbudowanych! Dla niej—dom Erechteusza, a dla mnie—ty i Niktymena i Gip, i wszyscy i wszystko.

Serce Prokne zabiło w piersi radośnie. Tak, pomyślała, moim teraz jesteś, tylko moim.

Nie wiedziała wówczas, jak dalece się myliła, i sam wyrostek tego nie wiedział. Lecz z rokiem każdym czuł coraz mocniej, że gdzieś, w najtajniejszej głębi duszy budzi się w nim coś, co nie roztapiało się w przyrodzie i co roztopić się nie mogło, i właśnie wiosną obecność tego nowego żywiołu dawała się odczuwać z niezwykłą siłą. Sam nie mógł określić, co to było. Jakaś dziwna tęsknota, popęd, niemoc. Południowy wietrzyk, ciepły i wilgotny, wlewał w pierś jego moc krzepiącą, lecz jednocześnie jakby mu obiecywał coś nieokreślonego, słodkiego a niewykonalnego. Więc płakał wtenczas, a sam nie wiedział, czemu płacze.

Pewnego razu przyśnił mu się dziwny sen. Dnia tego wiatr południowy wiał jakąś niezwykłą wonną pieszczotą, i chłopiec był cały pod władzą swych nieokreślonych marzeń.

I we śnie on, który nigdy nie myślał o swojej ojczyźnie, zobaczył siebie w swym domu ojcowskim, wyraźnie ujrzał pewne drobne zdarzenie dzieciństwa, co zdaje się zupełnie znikło z jego pamięci.

W domu było pełno gości; do matki jego, Praksytei, przybyła krewna, żona niejakiego Metyona, ze swoją córeczką, jego rówieśnicą, którą zwano przez pamięć na jej ojca Metyoną. Obydwie matki pyszniły się bardzo swojemi dziećmi—pierw-

sza z nich miała jedyną córkę pośród wielu synów, a Praksytea syna jedynego pomiędzy wielu córkami. I oto w żartach przebrały dzieci: królewicz paradował w sukniach Metyony, a ona przez dzień cały chodziła w jego chitonie. I teraz we śnie wydawało mu się, że w tem przebraniu odczuwa błogość niewypowiedzianą.

Obudził się z imieniem Metyony na ustach, „Opowiedz mi o Metyonie", poprosił Prokne. Ta się zdziwiła. „Wiem tylko to o Metyonie", rzekła, „że obecnie na święcie Pallady ma razem z Kreuzą piastować kosze, i że ludzie nie mogą rozstrzygnąć, która z nich piękniejsza. Ale jej ojciec, Metyon, jest dla twego powodem wielu smutków i zgryzoty; stoi na czele niezadowolonych i szczerze mówi, że po śmierci króla tron się należy jemu i jego synom".

.Obojętnie wysłuchał wyrostek ostatnich słów Prokne i tylko zcicha powtórzył: „Metyona".

Obecnie cała słodycz marzeń i przeczuć mieściła się dlań w tem imieniu; wciągał je w płuca razem z pachnącą wilgocią południowego wiatru. Ale było to imię tylko, żadnego określonego wyobrażenia z niem nie łączył. Coprawda nieraz zapytywał siebie, jak też wygląda owa Metyona; spróbował nawet odpowiedzieć sobie: „tak, jak moja piastunka", lecz natychmiast z oburzeniem tę myśl odepchnął. Nie, on tylko czuł Metyonę, lecz nie wyobrażał jej sobie wcale. W korze rozłożystego dębu wyrył imię Metyony: Prokne nauczyła go pisać, wskazawszy mu litery na attyckiej amforze z oliwą, którą Gip porwał Adostowi z jego go-

spodarstwa. Kwiatami ozdobił to imię i na nowiu ofiarował mu mleko owcze. A najtkliwszą, najbardziej marzącą z pośród pieśni Prokne nazwał „pieśnią o Metyonie“. Śpiewała mu ją często, on zaś spoglądał w dal w zadumie wdychając ciepłą, wonną wilgoć południowego podmuchu.

Tak upłynęły jeszcze trzy lata. Pacholę stało się młodzieńcem.

VII.

Zapachniała znów wiosna: przyleciawszy z dalekich krain, zaśpiewała wychowankowi swemu Prokne zwykłą pieśń powitalną, lecz nie zdołała go obudzić.

Był to jakiś dziwny, skuwający sen; pierś chłopca burzliwie się wznosiła, widzenia snadź jakieś, coraz niespokojniejsze, wciąż przeciągały przed oczyma jego duszy.

Nocą ocknął się sam. Jakieś dziwne życie wrzało na całej górze. Wicher ze świstem pędził po gaju, łamiąc suche, a czasem i żywe gałęzie. Wilki, spłoszone ze swych legowisk, coraz wybiegały z gęstwiny; ptaki nocne, zaniedbawszy polowania, unosiły się tędy i owędy. Wszystkie widocznie były opanowane jednem uczuciem — wszystkie jakby czegoś szukały i nagle, jakby to coś znalazłszy, wszystkie popędziły w kierunku wiatru pod górę. Młodzian, podniecony tem samem uczuciem, pobiegł razem z niemi. Wkrótce zrozumiał dlaczego biegnie właśnie tam. Skroś świst wichru przebijał się dźwięk liry. W tych dźwiękach było jakieś nieodparte wołanie: usłyszawszy je raz

jeden, niepodobieństwem już było o niczem innem myśleć, nic innego czuć. I im dalej, tem liczniejszy stawał się tłum: wszystkie zwierzęta Pangeju pokrywały ziemię, wszystkie ptaki ją przysłaniały, zaciemniając światło młodego księżyca. W góry, w góry! Cóż to? Nawet drzewa dostać nie mogą, nawet one jakby oderwały się od swych korzeni i cicho suną po zielonym kobiercu. Oto już górna polana; co ludu tutaj! Wszelakiego ludu— mężczyźni, niewiasty, jedni mają w rękach dymiące pochodnie, drudzy cedrową gałąź z szyszką zatkniętą na końcu. A tam, na skale, stoi czarodziej z lutnią w ręku. Oto jął śpiewać: teraz zapomina się nawet o lirze...

„Słuchajcie wszyscy! Oświecaj się ludu! Precz od nas ci, których dusza jest martwa, których serce nie bije na dźwięk mojej liry. Niech odejdą stąd: nie zbawienie, lecz śmierć znajdą w pieśni mojej!"

Płacz rozległ się w tłumie; sto czy dwieście mężczyzn i kobiet oddzieliło się od niego i z pochyloną głową jęło schodzić z góry. Lecz młodzieniec pozostał; czuł, że jego serce drżało radośnie w oczekiwaniu cudów zapowiedzianych.

„Słuchajcie wszyscy! W pieśni mej posłyszycie treść życia swego.

„Czy widzicie go? Ja go widzę. O, tajemnico ślubów odkupieńczych, ślubów króla niebios z królową świata podziemnego.

„Widzicie go? Ja go widzę — młodziana odkupiciela, cud cudów, pierworodnego Dyoniza!"

— Widzimy, widzimy — odrzucił tłum. — Cześć mu! Evoe, Dyonizos!

„Przyjdź, o piękny! Przyjdź, niepokalany! Weźmiesz świat, skażony gwałtem ojca i przodków, w rękach twych odrodzi się on w czystocie i prawdzie i wszystko odrodzi się pospołu z nim".

— Przyjdź, o piękny! Przyjdź niepokalany! Evoe, Dyonizos!

„Czy i ich widzicie? Ja ich widzę. O, gniewie utajonej zemsty! Czy na to, Tytani, zdjęto z was okowy, abyście podnieśli swe ręce krwawe na jego postać piękną, niepokalaną? Gorze, gorze! Miedź mają w rękach, ale nie miecze, nie włócznie, miedź gładką, miedź łyskliwą. Nie krew ona wytoczy, lecz obraz, obraz jego wysysa, jego, pięknego, jego, niepokalanego. Już nie jest on cały, Dyonizos pierworodny, w dwunastu obrazach moc jego się przełamała. Uchodź, umiłowany! Odzyskaj swą jedność, abyś zjednoczony, mógł i nas odrodzić!"

— Gorze, gorze! Uchodź, ach! uchodź, Dyonizie pierworodny!

„Widzicie go? Ja go już nie widzę. Rozdarty, pochłonięty; dwanaście ciał pochłonęło jego istność. Już niema zbawcy, niema odrodziciela. Tytani pochłonęli Dyoniza pierworodnego".

— Gorze, gorze! Już niema zbawcy, niema odrodziciela!

„Czy widzicie? Ja widzę! Coś czerwonego leży, coś drga, — ostatnia to nadzieja odrodzenia, jest to serce Dyoniza pierworodnego.

„Ratuj je, o Pallado! Odnieś je swemu ojcu

niebieskiemu: niech weźmie z powrotem to, co niegdyś wyłonił ze siebie".

— Ratuj, Pallado! Zbaw Dyoniza!

„O, tajemnico ślubów odrodzeńczych, ślubów króla niebios z królewną tebańską! Strzeliła błyskawica, ognień strawił pałac ślubny; w popiół obrócił śmiertelne ciało matki — ale nie martwcie się, ludzie! Ocalał boski płód, uratowany został zbawiciel, Semeli syn, wtóry i wieczny Dyonizos".

— Uratowany nasz zbawiciel! Evoe, Dyonizos!

„Słuchajcie wszyscy! W pieśni mej posłyszycie treść życia swego.

„O ludzie, krew z krwi Tytanów! Zali nie wiadomo wam było, że w postaci waszych ciał dwa jestestwa waśnią się ze sobą? Po Tytanach macie wszystko, co dzieli, co wyosabnia. Po nich narodziny i zgony, po nich męczące koło bytu. Lecz i Dyonizos mieści się w was, rozpylone są w was cząsteczki pierworodnego odkupiciela. Pragnie on znów powrócić ze stanu rozpylenia w dawną jedyną, a wielką istność! Czy słyszycie, ludzie, to wołanie? Ja słyszę je! Jest to zew wtórego Dyoniza, syna królewny tebańskiej, dziedzica serca pierworodnego zbawcy. Zgromadzajcie się, zgromadzajcie się, ludzie! Łączcie się ze stanu rozpylenia, i między sobą, i ze mną, odtwórzmy istność jedyną pierworodnego Dyoniza! Wówczas rozerwie się męczące koło narodzin i zgonów, wówczas nastanie wieczna szczęśliwość bytu niedzielonego. Gromadźcie się, gromadźcie się, o ludzie! Doznajcie rozkoszy bytu zjednoczonego, pozacielesnego! Dyonizos was wzywa na swe misterja, da

on wam zakosztować rozkoszy nowej, wiecznej istności, oczekującej dusze wtajemniczonych poza granicami śmierci".

Umilkł prorok. Milczał tłum oczarowany pieśnią, lecz milczenie to niedługo trwało. Zahuczały tympany, zadzwoniły cymbały. „Do korowodów! Do korowodów!" I od szalonego tańca zatrzęsła się góra. Przed wzrokiem młodzieńca mignęły białe ramiona, zamigotały rumiane, rozpalone lica: bachantowie, bachantki, szczególnej bachantki. I ściskał serdecznie te ręce, i twarze te radosne śmiały się do niego — wszyscy stanowili jakoby rodzinę braci i sióstr. Słychać było mowę, której nie rozumiał, lecz mowa była życzliwa, radosna.

Nie pragnął jej zresztą; porywał go taniec, natchniony, szalony tan! Nóg nie czuł pod sobą: całem swojem jestestwem oddawał się temu oszałamiającemu, druzgocącemu wichrowi tańca. Czuł rozkosz, ale zarazem pragnął rozkoszy jeszcze potężniejszej, czekał cudu zjednoczonej, nadcielesnej istności.

Nagle—ostre i wrogie okrzyki. Cóż to? Niemożna było zrozumieć, lecz wtargnęło coś obcego, zburzyło powszechny nastrój zachwycenia. Otóż i oni: gromada włościan, uzbrojonych w bicze i maczugi; werżnęli się w tłum bachantek, chwytają je... Te bronią się, wyrywają. Na czele napadających olbrzym z wielkiemi, siwiejącemi już wąsami. Jego to, rozumie się, zwą: „Adost! Adost!" Na dzwięk tego imienia z najtajniejszej głębi duszy naszego młodziana powstaje coś strasznego, krwawego. Patrzy na niego: któż to stoi przed

nim? Włościanin tracki? O nie! Teraz sam czuje on, nie zdając sobie z tego sprawy, że w tych orgjach Dyoniza oszalałemu wszystko wydaje się olbrzymiem. Jest to Tytan, Tytan! A więc to ty rękę podniosłeś na niemowlę królewskie? Zemsta! Zemsta! Zemsta za Dyoniza! Cóż to się ze mną dzieje? Ach, pojąłem teraz, że z pośród namiętności wszystkich, niema straszniejszej nad żądzę zemsty.

Adoście! Adoście! Oto on — Tytan: podbiega, wznosi maczugę!

Jeszcze mgnienie oka, i jej żelazne i ciężkie okucie zmiażdży mu głowę... Lecz młodzian nie czeka. Jeszcze mgnienie oka, i wydarta z rąk olbrzyma maczuga leci daleko, hen aż w gęstwę lasu; mgnienie oka — i on sam pada nawznak; mgnienie oka — i grożna głowa wąsala, bryzgając krwią wokoło, głucho uderza o sąsiednią skałę.

Chłopi uchodzą, bachantki za nimi. Evoe! Evoe! I znowu tympany, znowu cymbały. Młodzieniec pobiegł również za nimi, lecz odmówiły nogi posłuszeństwa. Czuje znużenie nagłe i czuje coś jeszcze ponadto, coś, co go trawi, gryzie i dręczy. Pada na ziemię, wybucha płaczem.

Evoe! Evoe! słychać te dźwięki, lecz już w oddali, już zamierające w powietrzu nocnem. Niema już wiatru, zwierząt, ni ptaków... Wszystko zamilkło. Zamilkło? Nie; wszakże tuż nad nim słychać jakąś pieśń. To pieśń słowika. Taka żałosna, rozdzierająca duszę.

Śpiewaj ptaszyno, śpiewaj kochana! Gdybym tylko zrozumieć mógł, co chcesz mi powiedzieć!

VIII.

Następnej nocy to samo. Nikt się nie umawiał, nikt nie wydawał zarządzeń, lecz była to prawdziwa wyprawa. Szalona drużyna zbiegła z Pangeju w dolinę, przepłynęła Strymon i po równinach Macedonji skierowała się ku szafirowym górom Pijeryjskim. Niejeden pozostawał w tyle, niejeden zawracał, zato przyłączali się inni mieszkańcy, a częściej mieszkanki wsi, przez które wiodła droga oszalałych.

Jak wicher pędzili przez sioła; kto nie zdążył się ukryć, bywał porywany. Żony porzucały mężów, matki—dzieci; „w góry, w góry!"—niepodobna było się oprzeć temu wołaniu.

Oto już błogosławiona Pijerja; już na Olimpie brzmi zachwyt nocnych korowodów. Młodzian nasz wciąż na przedzie. Nie pamięta o krwawej nocy Pangeju; i tu nie obywa się bez krwi, bo wszędzie dużo napastników. Już i Olimp został poza nimi: przeszli Peneus, i już Ossa zielona przyjmuje gościnnie drużynę Dyoniza. Słychać już mowę grecką; rodzina bachantów dzieli się wrażeniami z młodzieńcem. Ten słyszy jej opowieści i czyni mu się smutno. Czyż nie on tańczy tańcem najszaleńszym? Lecz próżno łaknie jego dusza cudów pozacielesnego bytu — bóg ich nie daje. Ciągle braknie czegoś do uczucia pełni momentu — do uskrzydlenia duszy.

— Czegóż potrzeba? — pyta szczęśliwych towarzyszów. — Czegóż jeszcze trzeba?

— Potrzeba namiętności, — odrzekną mu — potrzeba namiętności ponad wszelką namiętność.

Coś drgnęło w jego sercu. Ponad namiętność? Ktoś mu kiedyś śpiewał o szczęśliwem życiu poniżej namiętności; jakże to było dawno!

— Ależ ja ją poznałem! — odrzekł z uniesieniem. — Pomściłem krzywdę w dzieciństwie doznaną — okrutnie ją pomściłem. Czyż to nie namiętność ponad namiętności — szał zemsty?

— Dla jednych — tak, a dla innych nie, mój przyjacielu. Widać ty jesteś inny. Czekaj, aż bóg cię powoła, jeśli wogóle powoła. Nie napróżno widać powiadają u nas: wielu mamy piastunów tyrsu, ale mało bachantów.

Poza Ossą — Othrys; za Othrysem — Parnass, za Parnassem — Helikon; cudu niema i niema.

Jak wicher poniosła się przez Teby drużyna szalona; wielu się tu przyłączyło do niej — wszak Teby są ojczyzną Dyoniza. A teraz dokąd? Dokąd teraz?

„Na Cyteron! Tam na nas już czekają: nasi wysłańcy zwołali bachantki.“—„Skąd?“—„Z Aten“.

Oto nareszcie tajemnicze wąwozy i polany Cyteronu. O, jest to już co innego, wyczuwał nasz młodzian, jest to kraj własny, rodzimy. O słodkie dźwięki mowy attyckiej! Jak nawałnica zalały mu duszę! Huczą tympany, dzwonią cymbały, migają lica, nieznajome lecz bardziej znane od dawnych. Patrzą inaczej i uśmiechają się inaczej.

I on sam stał się inny.

Wznosi się zachwyt, sięga coraz wyżej. Dokoła spojrzenia, dokoła uśmiechy! Mili są wszyscy,

łecz gdzież ta ponad wszystko milejsza? Wznosi się zachwyt, kipi siła boska; teraz, ach teraz! teraz nie zawiedź, nadziejo!

Dokoła ramiona, dokoła twarze! Ach wy-ż to jesteście, oczy czarne, wy-ż to jesteście, czarne, w nocnym wietrze igrające, włosy?

— Czy to ty, Metyono?

— Czy to ty, Kekropsie?

Do korowodów! Do korowodów!

Ona jest z nim—i na całym Cyteronie niema nic poza nią.

„W góry, w góry!“ Gdzieżeś, o góro? Czyś ty jest tam, głęboko, połyskująca jasnemi smugami? Dalej, a dalej uciekają te smugi, i oto znikły zupełnie. Cyt, jakiś szmer, najpierw daleki, a potem bliższy, coraz bliższy.

To fale morskie z głuchym pomrukiem jedne o drugie biją. Ono pod nami — to morze falujące; spójrz, jak się pieni w blasku księżyca!

Śpiewaj, Metyono! W taką noc niepodobna milczeć! Niech nasze pieśni się spoją, bo nasze dusze spoiły się już dawno.

Dusze nasze! Giną one w tym ciepłym pachnącym wietrzyku, jak w wielkiej wspólnej duszy. Wiesz, Metyono? On mi już dawno nucił o tobie, ten ciepły, pachnący wiatr; duszę mi twoją niósł, a jam nie wiedział tego.

Dusze nasze! Ależ my nie jesteśmy sami. Patrz, zewsząd biegną ku nam błogosławieni. Byle nie zgubić się w powietrznym korowodzie! A choćbyśmy się nawet i zgubili? Ach, Metyono! Jakże łaknąłem tego cudu! I oto spełnił się... spełniła go

namiętność — wyższa ponad wszelkie namiętności. Czy znasz jej imię? znasz je, Metyono?

Zatraćmy siebie! Bądźmy we wszystkiem i w nas niechaj wszystko będzie.

IX.

— Powiedz mi, cudzoziemcze, jak zowie się gród ten groźny, co na tej skale się wznosi?

— Jakże to, gościu, nieznasz murów Alkatoosu? Dziękuj Apollinowi, że cię skierował tutaj: przed tobą zbożny gród — słynna Megara. I ty, i żona twoja będziecie w niej bezpieczni.

— Widzę, cudzoziemcze, żeś obywatel Megary. Powiedz-że, proszę, jak zwą waszego króla?

— Nasz król jest Pilas, prawnuk Posydona; jestem jego wysłańcem i mogę ci usłużyć, jeśli masz co do niego.

— Powiedz, że Kekrops, syn króla Attyki, Erechteusza — wraca tu doń wraz z żoną swą Metyoną. Byliśmy w Cyteronie wespół z bachantkami i zstąpiliśmy w kraj jego, sami o tem nie wiedząc.

Zadziwiony wysłaniec długo kręcił głową, ale spełnił nareszcie prośbę wędrowca.

Nie nazbyt miłościwie przyjął gości Pilas. Lecz królewska nieufność nie oparła się oczywistej szczerości i prawdzie opowiadań młodzieńca. Mówił o swem dzieciństwie, o porwaniu zdradzieckiem i życiu na Pangeju.

— Wierzę tobie, o gościu — rzekł król, gdy ten umilkł — ale położenie moje jest kłopotliwe.

W Atenach rządzi Ksutos, mąż królewny Kreuzy. Pojmuję, że twe prawa do tronu ateńskiego są słuszniejsze, niż prawa przybysza; ale zrozumiej, że nie chcę psuć sobie dobrych stosunków sąsiedzkich z Atenami i ich królem.

— Bądź nadal sojusznikiem i druhem mej ojczyzny, czcigodny królu. Co do mnie, skłaniam się przed wolą bogów i nie odbiorę władzy siostrze swej Kreuzie. Niech panuje szczęśliwie i nigdy się nie dowie, że jej brat żyje jeszcze; bracia Metyony niechaj dalej mniemają, że siostra ich zginęła między bachantkami. Ty, królu, w swej krainie daj nam schronienie, jakiś kawałek ziemi na górze Geranei, skąd mógłbym spoglądać na ziemię Pallady i błogosławić jej.

Rozpogodziło się oblicze Pilasa. Lecz Kekrops mówił dalej.

— Nie przystoi synowi Erechteusza prosić jałmużny: mam czem wynagrodzić za ziemię. Oto skarb z góry Pangeju.

Odwiązał swoją sakwę—i potok złota wschodniego popłynął przed oczy Pilasa. A złote monety były wówczas rzadkością w Helladzie; więc choć król Megary był mężem sprawiedliwym, lecz zaiskrzyły mu się oczy na ów widok.

— Widzę—rzekł—żeś zasłużył na łaskę Hermesa; tem droższym będziesz nam gościem. Życzenie twoje zostanie spełnione, lecz nie jako osadnik—jako obywatel, mieszkać będziesz w grodzie Apollina. I niech sprowadzi szczęście nam obu twe przyjście!

Siedziba na Geranei przyjęła wkrótce Ke-

kropsa z Metyoną: rozpoczęło się życie skrzętne, pracowite. Lecz ktoś jeszcze osiedlił się tam wespół z nimi. I gdy po pracy dziennej w swym górnym ogrodzie spoczywali pod cieniem wysokiej topoli, a oczy ich błądziły po wzgórzach oddalonej, niedostępnej ojczyzny — wtenczas w listowiu topoli dźwięczała niemilknąca—żałosna, to znów wesoła— pieśń słowicza. I zadumane oblicze Kekropsa jeszcze głębszej nabierało zadumy.

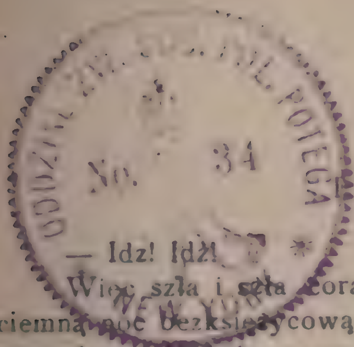
— O czem myślisz? — spytała go razu pewnego Metyona.

— O tem, co my z nią wiemy — odrzekł, wskazując na piewczynię — o cichem mojem dzieciństwie w wąwozie Pangeju.

— Czy tęsknisz za niem?

— Nie. Doznałem szczęścia w życiu poniżej namiętności, i doznałem uniesień namiętności ponad namiętność. Lecz bogowie ludzką przeznaczyli nam dolę — bądźmyż posłuszni bogom!

PIECZĘĆ PERSEFONY



— Idź! Idź!

Więc szła i szła coraz dalej, zstępując w tę ciemną noc bezksiężycową coraz niżej po strasznem zboczu, u którego podnóża szemrał Strymon. Nie przeraża jej Strymon, lecz przeraża ją polana wązka, leżąca między nim a wzgórzem.

Czyż wyobrażała sobie kiedy, że wypadnie jej tam skierować kroki, jej, królewnie Fillidzie? Lecz poco rozumować! Czyż myślała kiedykolwiek, że miast małżeństwa z jakimś królewiczem, losem jej będzie ta miłość tajemna do helleńskiego przybysza?... Spóźnione rozmyślania!..

— Idź! Idź!

Gdybyż odpocząć chwilkę! Ach, nie pozwala. Pochodnia drży w jej ręce; gdyby zgasła, co wówczas? Pochodni strzeże jak źrenicy oka, lecz miłośniej jeszcze strzeże tej ołowianej pisanki, którą czuje pod chitonem, na ciele nagiem, między piersiami. Pochodnia—to życie; lecz pisanka—to zemsta.

W lewej ręce pochodnia, a prawą trzeba się chwytać tych krzewów tarniny i głogu, co bramują ścieżynę skalistą, żeby nie spaść do bara-

tronu. Tak, zstępuje ona do baratronu, ku miejscu, w które obywatele Dziewięciu Dróg z prostopadłej skały strącają, na rozkaz królewski, skazanych na śmierć przestępców. Niedawno jeszcze temu strącono tam pięciu piratów tyrreńskich, którzy nie zdążyli się schronić na swój okręt przeklęty. Wzdrygnęła się ze zgrozy, gdy jej opowiadano o tem, lecz zato nazwa pozostała jej w pamięci—nazwa „baratron". I oto teraz—rozkazał On...

— Idź! Idź!

Przecież idzie, lecz niepodobna tak bez odpoczynku. Połowa drogi jest już poza nią z pewnością: szmer Strymonu słychać zupełnie wyraźnie, jak gdyby był tuż, u jej stóp. Ostrożnie oparła pochodnię o wystającą skałę i siadła obok: trzeba przeczytać pisankę, nim ją odda... tej, której imienia się nie wymawia. Coprawda, to przecież sama ją pisała... lecz nie, to nie ona, tylko jej ręka, wyrazy zaś szeptał jej ten sam głos, który i teraz wciąż jej władczo szepcze:

— Idź! Idź!

— Pójdę, pójdę, lecz muszę wpierw przeczytać. — Wyjmuje pisankę i czyta przy świetle pochodni:

„Związuję Pandiona, syna Metyony; związuję i tę kobietę, która jest z nim teraz, związuję jej oczy, jej uśmiech, jej język, jej pieszczotę. Związuję Pandiona, syna Metyony, aby zapomniał o tej kobiecie, która z nim jest teraz; związuję tę kobietę, co jest z Pandionem, aby straciły połysk jej oczy, aby zastygł jej uśmiech, oniemiał jej język i aby Pandionowi obrzydła jej pieszczota.

Związuję Pandiona, syna Metyony, i związanym oddaję go tobie, potężna Persefono; i tak jak on odebrał mi to, co było mi najdroższe, tak, i ty, luba Persefono, odbierz mu to, co będzie dlań najdroższe, odbierz mu wówczas, gdy stanie mu się najdroższe".

Nie, to już zanadto straszne; choć to ostatnie zaklęcie trzeba zetrzeć. Wróci do domu teraz i tam zetrze je, a jutro spełni, co zamierzyła; wszak i jutro będzie jeszcze nów. A więc, do domu! — Tak, do domu! Jakgdyby ściana, zastygło za nią powietrze: nie pozwala jej stąpić ani kroku. I jednocześnie coraz głośniej i władniej... czyż to Strymon tak ryczy? O nie, słyszy wyraźnie:

— Idź! Idź!

Iść trzeba; a przytem głos ten ma słuszność. Zetrzeć ostatnie zeklęcie? Co za małoduszność! Cóż wtenczas pozostanie? Aby zapomniał o tej... o tej nieznajomej? Tak, zapomni o niej, to podoba mu się inna; aby zaś kochał ją, ją jedną... nie dała tego Afrodyta, to i Persefona napewno nie da.

Porwała się z miejsca i poszła, coraz dalej, coraz niżej, czepiając się krzaków, świecąc sobie pochodnią po drodze. Oto już dno, teraz trzeba przedzierać się na lewo, pomiędzy Strymonem a skałą. Zabłądzić niemożna: Strymon jest przewodnikiem pewnym, a jeszcze lepszym ten dający się już odczuwać, coraz cięższy, odór trupi. Zapiera oddech. Obrzydliwość i strach! obrzydliwość aż do mdłości, a strach aż do zawrotu w głowie. Nie idzie już, lecz słania się, nie wiedząc nawet, gdzie nogę postawić. Można się potknąć. O, już się po-

tknęła. Pod stopą coś miękkiego, zimnego, śliskiego. Światła! A! Leży nawznak nagie ciało; zwłoki, snadź, togo młodego pirata, o którym jej opowiadano: płowe włosy we krwi czarnej, na skroniach krew, pasmo krwi wypłynęło z ust półotwartych, barwiąc górne zęby pod uchyloną wargą. Nie ma sił utrzymać pochodni, nie ma już sił, by utrzymać się na nogach; jeszcze chwila...

— Któż to tu włóczy się po nocy? — dał się słyszeć głos gruby, raczej męski, niż kobiecy. A jednak była to kobieta, acz ogromnie szkaradna. Podeszła bliżej i poznawszy Fillidę, wybuchnęła śmiechem:

— A, to ty, królewno! i ty przyszłaś do czarownic? Słusznie, słusznie! Lecz cóż ci przyszło do głowy, aby do Niewymienianej wybrać się z upiętemi włosami? Pozwól, pomogę ci, lecz pamiętaj, wstaw się za mną, gdy królowa znów mnie rozkaże wychłostać.

I przygarnąwszy ją do siebie, zaczęła rozpuszczać jej włosy na ramiona, ogarniając ją przytem całemi falami duszącego odoru trupiego.

— Gotowe już, możesz iść. Lecz widzę, że zupełnie osłabłaś. No, cóż, poprowadzę cię: wynagrodzisz mi za to. Chodźmy! No, chodźmy-ż! Ot, tak, pomału, ale pewnie. No, już zrównałyśmy się z kapliczką Hekaty; gdzie masz garnuszek z objatą?—Nie wzięłaś? Któż to cię tak nauczył? Napewno Surakta: nie naprożno kręciła się wciąż koło was i z twą piastunką się zaznajamiała. Jak mogłaś zaufać takiej głupiej! A do Miodoimiennej nie

można bez Hekaty, podobnie jak do ciebie bez twej piastunki.

Znowu wybuchła śmiechem.

— Co? Mów głośniej, dzieciątko; ja przecież nie mam prawego ucha; twa matka, niech bogowie dadzą jej długie życie, odciąć mi je kazała. — I uniósłszy cienkie pasmo siwych rozpuszczonych włosów, pokazała Fillidzie za prawą skronią dziurę, otoczoną czerwoną szramą. Lecz ta ani myślała odpowiadać, nawet nie dosłyszała jej słów, wogóle nie słyszała nic, poza donośnym, rozkazującym głosem:

— Idź! Idź!

— Więc jakżeż będzie z objatą? Może się obejdzie bez tego: ja swoją złożyłam, zobaczy nas razem, to może starczy za obie. Pozwól, że cię mocniej obejmę: niech sądzi, że jesteś moją córką. Wszak miałam córkę w tym wieku, lecz nieboszczyk król, twój ojciec, oby znalazał wieczny odpoczynek na tamtym świecie, tu ją strącić rozkazał. Tam oto kości jej próchnieją. Chodźmy dalej. Otośmy doszły. Tu w skale jest kaplica Wszechmiłej. Lecz wejść tam musisz sama; może choć tego wyuczyła cię Surakta, jak należy. Nie zapominaj o Zelrunie, żegnaj!

Zaraz potem znikła wśród trupów. Fillida weszła do pieczary. Pieczara była dosyć obszerna; jedną pochodnią nie można jej było oświecić całej: ledwo było widać przy ścianie wewnętrznej ogromny posąg bogini z szarego wapniaka. Fillida starała się tam nie patrzeć. Na przodzie środkową przestrzeń zajmował nizki kominek z czarnym otwo-

rem, do którego spuszczano krew ofiarnej owcy; lecz nie był on potrzebny Fillidzie, poczęła wypatrywać na ścianie takiego miejsca, gdzie możnaby było przybić przyniesioną pisankę. Nieprędko je znalazła; wszystkie ściany zawieszone były podobnemi ołowianemi tabliczkami. Przytem nie każde miejsce było odpowiednie, lecz tylko takie, gdzie w kamieniu była szparka do wbicia gwoździa. Nareszcie znalazła odpowiednie miejsce, wyjęła z pod chitonu pisankę, zwinęła ją w trąbkę, gwóźdź przyniosła ze sobą, za młotek mógł służyć choćby ten kamień, przyniesiony tu widocznie w tym celu.

Przytrzymując lewą ręką trąbkę z gwoździem, zamierzyła się prawą:

— Raz!

Odpowiedział jej rozdzierający, przeciągły krzyk dziecinny. Ręka jej opadła: cóż to? Ściana krzyczy? Czy pisanka? Czy może kto tam w baratronie, gdzie ta wiedźma, Zelruna, obszukuje teraz trupy? Milczenie dokoła: zdawało jej się, ot i wszystko.

— Dwa!

Znowu ten krzyk, jeszcze przeraźliwszy i bardziej przeciagły, niż poprzednio. Gdzieś ten głos słyszała... Ach! Nie, lepiej nie myśleć, aby nie oszaleć do reszty.

— Trzy!

I poczęła, jak oszalała, bić coraz częściej, póki gwóźdź nie zagłębił się zupełnie w ścianie; potem rzuciła kamień i wybiegła nazewnątrz. Krzyk nie ustawał, lecz wtórował mu wielogłośny ryk i wycie, ryk i wycie wszystkich umarłych, którymi

było zasłane dno baratronu. Dopiero teraz spostrzegła, jakie ich było mnóstwo: modre ogniki coraz pojawiały się tu i tam, oświecając twarze skażone i rozkładające się, rozsypujące się ciała.

Porwała się do ucieczki, lecz biec było trudno: wszędy trupy i trupy... Wyciągają do niej ręce, chwytają podół jej sukni. Owego władczego głosu już nie słyszy więcej, zagłuszył go krzyk dziecka i ryk, i wycie umarłych.

Pomimo to wyrywa się, ucieka, lecz oto znów ciało młodego pirata z zastygłą krwią w kędziorach, z zakrwawionemi, rozchylonemi usty i bielejącemi z pod górnej wargi zębami. Ten jej nie wypuści: mocno wczepił się w nią silnemi żylastemi rękoma... Już słabnie w walce i pada; upadłaby, gdyby jej nie podtrzymały czyjeś ręce.

A co zaszło potem, tego już nigdy przypomnieć sobie nie mogła. Ocknęła się w swej komnacie, leżąc na miękkich dywanach, które pokrywały jej łoże; przed nią stała jej piastunka i sączyła jej w usta słodki odwar z mięty. Milczały obie: i głosu owego nie było słychać, umilkły ryk i wycie; tylko krzyk dziecka nie ustawał i rozlegał się wyraźnie z kołyski, przysuniętej do jej łoża, tam, koło nóg.

Na znak jej piastunka otworzyła okiennicę: do komnaty wraz z falą świeżego powietrza wpadła głośna pieśń słowika, który śpiewał tuż nad okiennicą na gałęzi topoli. Dziecko ucichło w okamgnieniu i, zwróciwszy twarzyczkę w stronę okna, poczęło się wsłuchiwać.

Na wschodzie zapalała się zorza.

II.

Misterja dyonizyjskie, które powstawały o jedno pokolenie wcześniej na sąsiedniej górze Pangeju, zdążyły do tego czasu zapuścić głębokie korzenie wśród całego ludu trackiego, szczególniej zaś wśród ludności nawpół greckiego, a nawpół trackiego miasta Dziewięciu Dróg. Świętowano je co tryeterydę, t. j. co drugi rok; ponieważ zaś wkrótce po opisanem zajściu przypadała tryeteryda, więc i Fillida ze swą przyjaciółką Iantą, młodą kapłanką, wzięła w niej czynny udział. Lecz nie znalazła w tem ulgi, przeciwnie: nastrój jej, i przedtem niewesoły, stał się tak ponury, że matka jej, owdowiała królowa, poczęła się niepokoić o jej życie.

Razu pewnego, gdy pogrążona w smutnej zadumie siedziała przy kołysce swego śpiącego dziecka, ozwało się pukanie do drzwi; na jej zaproszenie wszedł mężczyzna, młody jeszcze i piękny. Zdziwienie jej minęło szybko: poznała Aglaodora, natchnionego proroka Dyoniza, gorliwego rozpowszechniciela jego kultu.

— Nie chcę cię w błąd wprowadzać, królewno, rozpoczął: twa królewska matka prosiła mnie, abym się zatroszczył o ciebie. Pomyśl i powiedz: czy możesz mi zaufać i przyjąć mą radę? Coprawda, z wieku mego nadaję się raczej na twego brata; lecz Dyonizos zsyła mi natchnienie, a Orfeusz mnie oświecił.

Fillida długo i badawczo popatrzyła mu w oczy; znalazła coś ciepłego i uspakajającego w ich głębokim blasku wewnętrznym, i odrzekła cicho:

— Zgadzam się.

Przysiadł się do niej.

— A więc odpowiedz mi szczerze, nie ukrywając niczego, wszystko, co się tyczy jej—wskazał dziecko — urodzenia.

Zarumieniła się Fillida. Lecz szybko opanowała swój wstyd i jęła opowiadać.

— Było to wiosną roku ubiegłego. Na pierwszym okręcie z Hellady przybył do nas Pandion, syn obywatela Megary Kekropsa i atenki Metyony: zamiarem jego było pozdrowić te miejsca, gdzie upłynęło cudowne dzieciństwo jego ojca, a przytem pomówić z mym ojcem w imieniu króla megarskiego Pilasa o możliwości wspólnego wydobywania złotych skarbów z Pangeju. My, Tracy, nie umiemy z nich korzystać, lecz oni, Hellenowie, dużo umieją. Podobała się ta myśl ojcu memu, i gościnnie przyjął go w swym pałacu. Tam go ujrzałam... i pokochałam. Często chodziłam wówczas do pewnego lesistego wąwozu Pangeju, gdzie mieliśmy umówione miejsce spotkania. Tak upłynęła wiosna, najszczęśliwsza wiosna mego życia.

— Z końcem wiosny odjechał i on, i trzeba było wtajemniczyć rodziców w to, co się stało. Mama życzliwie wejrzała na moją miłość, acz smutno jej było, że nie wyprawi mi wesela z którymś z królewiczów trackich; ojciec, chcąc na kimś wywrzeć gniew, kazał strącić do baratronu pewną dziewczynę miejscową, którą podejrzewał, że służyła Pandionowi czarami miłosnemi przeciwko mnie. Było to zresztą niesłuszne. Prawda, że często krą-

żyła koło Pandiona, lecz raczej dla siebie, choć, zdaje się, bez powodzenia.

— Zdaje się?

— Czy ja wiem! Zobaczysz. Dla mnie w każdym razie nie trzeba mu było jej czarów: posiadał dosyć własnych. Wkrótce potem umarł mój ojciec, do ostatniego dnia zachowując mi swą miłość. Tejże zimy urodziła się ona; dałam jej imię takie, jakie mi dać kazał na pamiątkę tej szczęśliwej pory naszego życia, „córy wiosny“, Eryny.

Aglaodor niecierpliwie odsunął stołek.

— Wyjaśnij mi jedno, królewno. Więc on cię oszukał i porzucił, a ty zachowałaś dlań wdzięczną pamięć i nazwałaś swą córkę według jego, jak mówisz, polecenia?

— Jakżeż inaczej? Przecież to jego dziecię, które ja mu urodziłam. Oszustwa tu wcale nie było: wiedziałam, że prawa helleńskie nie uznają małżeństwa między Hellenem a córką barbarzyńców, wiedziałam, że jest zięciem króla Megary i nigdy zazdrosna o żonę jego nie byłam. A nawet nie wiadomo, kto więcej z nas pragnął dziecka, czy on, czy ja; żegnając go, byłam szczęśliwa, że nie całego go tracę. Jednego mi tylko żal było na razie: marzyłam więcej o synie wiosny. Lecz i to już minęło.

Miłośnie spojrzała na dziecko; Aglaodor zaś z niezadowoleniem potrząsnął głową.

— Na wiosnę znowu przyjechał Pandion, który nie wiedział nic o śmierci mego ojca; wobec zmienionych okoliczności, zmuszony był wraz z giermkiem zatrzymać się u pewnej obywatelki tutejszej,

uczciwej wdowy, Surakty. Pobyt jego nie trwał długo: matka moja, przyjąwszy go uprzejmie, odpowiedziała mu, że, jako kobieta, ma zamiar rządzić swym ludem podług wskazań przodków i że wydobywanie złotych skarbów z Pangeju należy odłożyć do czasu, gdy na tronie Dziewięciu Dróg zasiądzie mężczyzna. Pandion mógł był już trzeciego dnia odjechać, lecz zdarzyło się tymczasem coś... bardzo dziwnego.

Głos Fillidy zaczął drżeć.

— Surakta miała młodą córkę, która natychmiast po przybyciu Pandiona zakochała się do szaleństwa w jego giermku. Nie doznając odeń wzajemności—dla przyczyny bardzo zasadnej, jak się dowiesz — zwróciła się o pomoc do pewnej doświadczonej czarownicy, matki tej dziewczyny, którą ojciec mój kazał strącić do baratronu; i ta dała jej środek tak silny, że giermek obłożnie zaniemógł. Sprawa się wydała; matka moja według praw tutejszych surowo ukarała czarownicę, lecz dopiero po dziesięciu dniach giermkowi polepszyło się o tyle, że mogli odjechać. A po ich odjeździe wydało się coś jeszcze...

Porwała się z miejsca i szybko zaczęła chodzić po komnacie. Aglaodor nie spuszczał z niej oczu, pełnych współczucia i niepokoju. Wkońcu wybuchła złowrogim śmiechem:

— Giermek okazał się giermkinią!

Aglaodor z kolei zerwał się z miejsca.

— Tak! — ciągnęła Fillida. — Wiedziała o tem tylko Surakta, która pielęgnowała chorą; będąc w przyjaźni z moją piastunką, opowiedziała jej o tem,

a ta powiedziała mnie. Wtenczas, już sama nie wiem, co się ze mną stało; tak, jakbym swą wolę straciła, jakiś Alastor towarzyszył mi wszędzie, rozkazując mi, co mam czynić. Surakta nauczyła mnie odpowiednich czarów, ale pisankę ułożyłam sama, lub raczej ułożył ją Alastor, a ja napisałam tylko. A oto, co napisałam...

Powtórzyła Aglaodorowi treść pisanki; przy ostatniem zaklęciu wzdrygnął się.

— I on, ten Alastor nakazał mi ją odnieść do świątyni Persefony, co jest w baratronie, i z powrotem mnie przywiódł; nie miałam woli własnej. Nawet już o niej nie marzyłam, lecz zapragnęłam zmienić pana, zmienić Alastora na Dyoniza. Przyjaciółka moja, kapłanka, poparła mój zamiar; razem poszłyśmy na Pangej, na obchód świętej tryeterydy. I oto nastąpił dzień cudów. Z tyrsami i w nebrydach, obie popędziłyśmy tutaj: wszyscy ze czcią nam ustępowali, witając potężne bachantki, służebnice Dyoniza. Przybiegłyśmy do mej komnaty. Ianta, tak zwano przyjaciółkę, chwyciła Erynę, posadziła ją sobie na ramię i z powrotem w góry, w góry! I dziewczynka trzymała się mocno, z zachwytem chwytała wiatr maleńkiem swem ciałkiem i, śmiejąc się, klaskała w dłonie. Dobiegłyśmy do pustej chatki pastuszej: nikt za nami nie pogonił prócz stada przeróżnych ptaków: nawet razem z nami wleciały do izby. Ianta złożyła dziecię na podłodze i zaczęła się gorąco modlić, nachylając się nad niem, przyczem słowik swą pieśnią wtórował modlitwie. Było to niewypowiedzianie cudne; zdawało się, że takiej modlitwie nikt

nie mógłby się oprzeć. I rzeczywiście, izbę zalało nagle różowe światło, otworzyły się drzwi i weszła niewiasta nadludzkiego wzrostu, cała w różach; podszedłszy do mej dziewczynki, podniosła ją i pocałowała. I dzieweczka w odpowiedzi uśmiechnęła się tym cudnym uśmiechem, który i teraz widzisz na sennych jej ustach. Spojrzała i na nas okiem łaskawem: „Ciesz się, Afrodyto!“ wykrzyknęła Ianta, a potem znów poczęła się modlić! Afrodyta znikła, unosząc z sobą odblask różowy. Ianta wciąż modliła się, słowik rozełkał się jeszcze silniej, zachwyt potęgował się z każdą chwilą. I nagle napełniła izbę zorza złota, drzwi rozwarły się powtórnie, weszła Pallada, podniosła dzieweczkę i pocałowała ją, dzieweczka zaś spojrzała po raz pierwszy na nią tem głębokiem spojrzeniem swych oczu niebieskich, które już odtąd jej nie porzucało. Potem ostrożnie położyła dziecko, pożegnała nas skinieniem głowy i znikła. Ianta zerwała się na nogi. — „Ciesz się, Fillido, zawołała do mnie, córka twa wzrastać będzie pod błogosławieństwem dwóch bogiń!“ Chciałam już wziąć ją na ręce, gdy wtem...

— Gdy wtem?...

— Gdy wtem słowik-ptaszę przerwał swój śpiew i zatrzepotał przerażonemi skrzydełkami; pozostałe z żałosnym piskiem rozbiegły się po kątach. Zgasło światło dzienne i wolno zaczęła się unosić jedna deska podłogi za drugą, z przepaści wybłysnęło krwawe światło, izba jakby zapłonęła z wewnątrz. I przy blasku tym z tejże przepaści wypłynęła postać cała w czerni o bladej i surowej twarzy. Nogi podcięły się pode mną,

upadłam i nie mogłam dojrzeć, co było dalej, lecz Ianta widziała, jak bogini w czerni dotknęła czoła dzieweczki, jak jej blade wargi poruszyły się, wyrzekły jakieś słowo — lecz słowa nie dosłyszała, gdyż zagłuszył je rozdzierający płacz Eryny. Na płacz jej i ja się zbudziłam, zerwałam się, chwyciłam ją — zjawa znikła, tylko jakiś cień pozostał na małem czółku i długo nie mogła się uspokoić dzieweczka. Porzuciłam tyrs, i nebrydę, i wianek bluszczowy i jako zwykła kobieta wróciłam do domu z mem chorem dzieckiem na rękach. I od tego czasu nie znalazłam spokoju ani dniem, ani nocą.

Aglaodor zamyślił się.

— Powiedz mi jeszcze jedno, królewno. Pokazałaś Erynę jej ojcu?

— Naturalnie, przecież wówczas jeszcze nie wiedziałam...

— Jakże się wobec niej zachował?

— On? bardzo serdecznie; całował ją i hustał, nazywał swoją wiosną. Ale to wszystko było tylko udane.

— Jesteś pewna tego?

— Czyż może być inaczej? Pieścił ją, a myślał o swej... giermkini.

Aglaodor z uznaniem skinął głową.

— A ona jak wobec niego?

— Ona? Także nieźle... Nawet się uśmiechnęła do niego. Tak, nawet matka moja się ździwiła. Wszedł on wprost i przedewszystkiem pochwycił ją: „Radości ty moja, cudna moja“, mówił, „uśmiechnij że się choć raz do mnie!“ Myślałam, że się rozpłacze, gdyż obawia się obcych, lecz ona popa-

trzyła nań niepewnie swemi niebieskiemi oczętami, a potem naprawdę się uśmiechnęła. „To nadzwyczajne“,—rzekła wtenczas moja mama,—„wszystkich obcych się obawia, a do niego się uśmiecha“.

— Do czego to dochodzi udawanie—wycedził zwolna Aglaodor.—A więc, królewno, jesteś przekonana, że on nie kocha tej swojej córki?

— W zupełności przekonana.

— I dobrze robisz. O tobie niema co mówić: oszukał cię i znieważył w sposób niegodziwy. Naturalnie, przestałaś go po tem kochać?

Długo myślała Fillida, badawczo patrząc na proroka, potrząsnęła głową, znów popatrzyła na niego, potem jakiś cień przemknął po jej twarzy i odpowiedziała stanowczo.

— Rozumie się.

— Inaczej być nie może: powinnaś pamiętać, żeś jest kobietą i królewną. Pięknie powiedziałaś przedtem, że Dyoniza za pana wybierasz; słuchaj więc, co Dyonizos przez usta moje tobie rozkazuje. Niech imię Pandiona w twym domu nie będzie ani razu więcej wymówione; niechaj córka twoja nie dowie się, kto jest jej ojcem. Pandion zapomnieć musi o drodze w tę stronę, zapomnieć musi o tej niekochanej córce swojej; niech sobie utrzymuje choćby cały hufiec giermkiń, lecz niema dlań żeglugi do Dziewięciu Dróg. A ty i Eryna odtąd będziecie służyć tylko Dyonizowi. Ręką moją przyjmuje on was do swego orszaku.

Podał jej rękę. Przypadła do niej i okrywała ją pocałunkami. Chciał natychmiast się z nią pożegnać, lecz ona, upewniwszy się, że dziecko twardo

śpi, wyszła z nim, aby go odprowadzić do ogrodzenia pałacowego.

W tej samej chwili ptaszęta, które szczebiotały i ćwierkały w ogrodzie, wleciały do opustoszałej komnaty i otoczyły kołyskę; za niemi podążyli dwaj szanowni goście, sęp i sowa. Ptaszę-słowik zajęło miejsce na kotarze wprost nad główką dziecka.

— Ślepy ród śmiertelnych — poczęło ptaszę — Wszyscy ją kochają i wszyscy jakby się zmówili przeciwko niej. Aglaodor wielkim będzie prorokiem, lecz jest jeszcze młody i niesłusznie sądzi, że Dyonizos zawsze przez jego usta przemawia. Bóg nieodłączny jest od dobra, a niema w tem nic dobrego, aby odbierać ojcu jego dziecię. A matka niesłusznie spędza swą winę na Alastora: sama powzięła swój szalony zamysł i za własną szła wolą, która wyodrębniła się od niej, gdy zazdrość zburzyła jej rozum. Ochraniajmy więc krew Erechteusza, przyjaciele. My tylko kochamy ją, jak należy. Nie mogę sprawić tego, aby nas rozumiała: owa trawka była ostatnią. Lecz możemy rozweselać ją naszemi pieśniami oraz igraszkami, możemy ją upieścić, gdy straszny ów cień ukaże się znów na ślicznem czółku. Bądźmy wciąż koło niej, przyjaciele; da bóg, że swą miłością i pieszczotą zetrzemy pieczęć Persefony.

III.

Czas płynął i Eryna rosła.

Nikt w jej obecności nie wymawiał imienia Pandiona; zlecenia Aglaodora były święcie speł-

niane w domu królewskim. Lecz nikt również nie ważył się powiedzieć jej wprost, że ojciec umarł, gdy, powołując się na przykład innych dzieci, pytała, gdzież jest jej tata; zbywali ją wykrętnemi odpowiedziami i niedomówieniami. Dziecko, spostrzegając skrytość koło siebie, samo również nauczyło się skrytości; przestało się pytać, lecz wewnętrznie było przekonane, że ma tatę i że nie dziś, to jutro, tata się objawi. A pochodziła ta pewność stąd, że ptaszyna-słowik co noc śpiewała w ogrodzie pałacowym o świętych Atenach i o hali górskiej na Geranei megarskiej, skąd dobrowolny wygnaniec Pandion spojrzeniem błogosławi swej niedostępnej ojczyźnie, miastu Pallady i Erechteusza. Jej pieśń przeistaczała się w widzenie, i widzenie to, rozjaśnione najjaskrawszem światłem marzeń i pragnień, nawiedzało duszę dzieweczki.

Czasami się jednak zdradzała. Raz, gdy zachorowała na febrę, w gorączce szukała ulgi u obrońcy swych nocnych widzeń: „Gdzie jest mój tata?“ pytała żałośnie, „ja przecież mam tatę!“ Innym razem, już zdrowa i wesoła, nie odmówiła sobie przyjemności podrażnienia matki, proponując jej przechadzkę po Dziewięciu Drogach i „złowienie“ kogokolwiek, „abym miała tatę“. I gdy ta, żartem na żart odpowiadając, wyraziła swą gotowość, dzieweczka, chytrze kiwając główką, odparła: „nie, tu nie da się złowić, należy jechać do Hellady i tam go schwytać!“ Wogóle miała rozum ponad swój wiek, tak iż Fillida niepokoiła się tym szybkim rozwojem i starała się raczej go powstrzymać, zapominając o tem, że inaczej rozwijają się ci,

których pocałowała Pallada. Dar drugiej bogini dawał się spostrzegać również — zachwycający uśmiech, któremu nikt się oprzeć nie mógł. Zato pieczęć fatalna trzeciej rzeczywiście jakby znikła: blask radości to głośnej, to cichej, nie schodził ze szlachetnego czoła córki Pandiona.

Fillida przestała się już obawiać i troskać szczęście swe przypisywała mądrości Aglaodora, nie zaś jego istotnej sprawczyni, spiewaczce swego ogrodu. Jednakże zdarzenie nieoczekiwane przekonało ją, że na tryumf jeszcze jest zbyt wcześnie.

Stara królowa zachorzała — według wszelkich poszlak na swą chorobę ostatnią. W jej wieku było to zupełnie naturalne, lecz ubóstwiający ją lud nie chcial wierzyć, aby to nie było za sprawą wrogich czarów. A gdy raz zauważono koło pałacu czarownicę Zelrunę tajemnie wezwaną w sprawie miłosnej przez jedną z dziewcząt dworskich, dla wszystkich stało się rzeczą jasną, że to właśnie ona sprowadza chorobę na królową. Całym tłumem przyprowadzono ją do przełożenego straży pałacowej; ten, widząc z twarzy ofiary, że zawiniła ona jeżeli nie to, to wiele innych sprawek, nie uważał za potrzebne niepokoić chorej i na swoją rękę zarządził, aby wiedźmę strącono do baratronu.

Lecz Zelruna nie chciala bez oporu pogodzić się ze swym losem. Prowadzona przez dwóch strażników do pałacu, gadała głośno, zapewniając o swej niewinności i, błogosławiąc królowę i jej rodzinę, wzywała wszystkich sił podziemnych na przełożonego i zbyt posłusznych mu żołnierzy.

A kiedy zrównali się z pokojami królewny, nagle zawołała:

— Puśćcie mnie do niej! Ona wie wszystko; puśćcie albo będziecie odpowiadali przed królową i przed nią! Muszę jej powierzyć pewną tajemnicę; jesli mnie nie puścicie, królowa umrze i będzie to z waszej winy.

Strażnicy zakłopotali się; już przedtem czuli się nieswojo wskutek przekleństw wymownej czarownicy, a teraz stracili głowę zupełnie. Pomówiwszy pomiędzy sobą, postanowili, że dwóch z nich odprowadzi ją do królewny.

Fillida swym zwyczajem przędła przy oknie swego pokoju; na stołku obok leżał jej koszyk roboczy z gotowemi motkami i nożyczkami; Eryna stała obok i uczyła się. Zelrunę poznała nie odrazu, lecz widok jej wzniecił dziwną trwogę w jej sercu. Ta ostatnia zresztą nie pozwoliła jej się długo namyślać: rzuciwszy się do jej nóg, poczęła namiętnie całować rąbek jej sukni.

— Ratuj mię, luba królewno! Oni chcą mię zgubić, choć wiedzą, że nic nie zawiniłam. Powinnaś mnie uratować; wspomnij, jak ja ciebie uratowałam tej nocy, międy trupami w ba....

— Milcz!—krzyknęła na nią Fillida, czując, jak wszystka krew odpłynęła z jej serca.—Nie waż się wspominać o tem! Czego chcesz?

— Każ im wpierw odejść.

Na znak królewny strażnicy odeszli do swych towarzyszów. Wówczas czarownica, cokolwiek się uspokoiwszy, obszernie jej opowiedziała, jak to było.

— Cóż mogę dla ciebie zrobić?—spytała Fillida. — Chociaż cię każę uwolnić, lud w każdym razie cię rozszarpie.

— Każ mnie odprowadzić do portu. Pójdę na wygnanie; tutaj i tak nie mam nikogo, odkąd...

— Dokąd pójdziesz?

— W porcie stoi okręt ateński, on mnie odwiezie do Aten.

— Do Aten? czemuż koniecznie do Aten?

— Innego okrętu niema, a mnie wszystko jedno, dokąd jechać; moja sztuka przyda się wszędzie, — dodała z dumą.

Fillida, pomyślawszy trochę, przyzwalająco kiwnęła głową — „byle tylko nie do Megary", szepnęła do siebie.

Potem wyszła do strażników.

Ledwo zdążyła wyjść z komnaty, gdy Zelruna śpiesznie podeszła do Eryny.

— Radości moja, królewienko, co każesz powiedzieć swemu ojcu?

Eryna ze zdziwieniem wzniosła ku niej swe wielkie oczy niebieskie.

— Mojemu ojcu?

— Tak, ojcu twojemu, wielkiemu królowi boskich Aten. Oni tego nie wiedzą, lecz ja wiem i ty powinnaś wiedzieć. Ciesz się, śliczna moja, jesteś teraz królewną ateńską. Lecz co mu powtórzyć od ciebie? Że pamiętasz o nim? że go kochasz? tak?

— Pamiętam... kocham... rzecz prosta.

— Tak mu powiem; a jaki będzie szczęśliwy! Albo jeszcze lepiej... poczekaj chwilkę.

Schwyciła nożyczki z koszyczka do robót Fil-

lidy i, zanim dzieweczka mogła oprzytomnieć, odcięła jej pasmo wspaniałych jasnych włosów.

— Jaki rad będzie z tego podarunku — ciągnęła słodziutko dalej.—Przecież on cię bez pamięci kocha, ten twój ojciec. Lecz nie mów o tem nikomu, nie zdradź mnie.—A w myśli dodała: to złoto lepsze od wszelkiego innego!

— Zelruno, co ty robisz koło dziewczynki? Odejdź od niej!

— Chciałam się pożegnać z naszą radością powszechną, królewienką — urażonym głosem odrzekła czarownica.—Nie bądź tak surowa, szanowna królewno, byłam dotychczas poddaną twoją, teraz na starość będę wygnanką.

— W każdym razie oddal się.

Zelruna odsunęła się do koszyczka i nieznacznie wsunęła weń nożyczki; promień włosów zdążyła przedtem schować pod koszulę. Wkrótce zjawił się przełożony straży. Położenie jego było kłopotliwe: z jednej strony wiedział, że gdy wypuści wiedźmę, a królowej się pogorszy, to on będzie winien; z drugiej strony, nie wypadało mu sprzeciwiać się królewnie, która, być może, dziś, jutro sama królową zostanie. Doradził więc, aby do wieczora zatrzymać ją w więzieniu, a potem, z nastaniem ciemności, pod pewną strażą wyprawi ją na okręt ateński. Fillida się zgodziła; Zelruna rzuciła się znów całować kraj jej szaty.

— Dosyć, już dosyć! Szczęśliwej drogi!

Odwróciła się. Wiedźma podniosła się i obrzuciła obie tryumfującym, złowrogim wzrokiem.

— Będziesz pomszczona, córko moja!— zasyczała.

Lecz uwagę Fillidy pochłonął w zupełności widok jej córki: patrzała w dal z zadumą, a ślad dawnego dotknięcia cieniem szerokim leżał na pięknem jej czole.

— Eryno, co ci jest? Co ona z tobą zrobiła? Mów!

— Cicho, matuniu, cicho! Czyż nie słyszysz?

W ogrodzie rozdzwonił się znów słowik. Dzieweczka chciwie pieśń jego chłonęła.

— Ty, matuniu, nie wiesz, o kim on śpiewa? A ja wiem... wiem.

IV.

Wrzawa dzikiego życia na Pangeju przebrzmiała wraz z jutrzenką; gdy słońce się podniosło, promienie jego smutny oświeciły obraz.

Pod urwiskiem na zielonej polanie leżała młodziutka bachantka; nebryda okrywała jej ciało, głowa jej spoczywała na tympanie, trochę dalej leżał jej tyrs. Jej sposób leżenia nie był takim, jaki przybierają ludzie naturalnie, zasypiając; widocznem było, że upadła i leżała tak, jak upadła.

Na dębie, który nad nią chwiał swą stuletnią koroną, siedział sęp i sowa, oba ze współczuciem i niepokojem patrzyły na nią i na ptaszynę-słowika, która przywarła do jej bladych ust. Wokoło tłukło się z żałosnym piskiem stado innych ptaków— dużych i małych.

— Czy żywa?

— Myślę, że tak, Niktymeno, lecz dusza jej jeszcze się nie skupiła w jej piersi. Straszny to był upadek; widać święta nebryda błogosławionego boga ją uratowała. Lecz jak się to stało? Byłaś przecież przy tem.

— Byłam i mogę opowiedzieć. Lecz naprzód chciałabym wiedzieć, jakim sposobem ona, taka jeszcze dziewczynka, dostała się do korowodu menad.

— Nietrudno się tego dowiedzieć. Zawsze ją otaczają nasi; jednego przy sobie zatrzyma, innego zwolni, a na jego miejsce weźmie innego. Już ona nas tak kocha, jak i my ją.

— Ptaki, kto z was był przy Córze wiosny podczas ostatnich dni przed tryeterydą?

— Ja — odrzekła synogarlica.

— Opowiedz nam, jak dostała się ona do korowodu.

— Było to na życzenie Aglaodora; wszak królewna wszystkie jego życzenia poczytuje za prawo. Nieodzowną jest rzeczą, powiedział on, już teraz polecić ją łasce Dyoniza, aby mu w przyszłości służyła gorliwie. W nebrydzie, w wianku bluszczowym, z twarzyczką, pałającą ze wzruszenia, była tak cudna, że napatrzeć jej się dość nie było można. Nie było takich objawień, których nie oczekiwała by od nocy cudów! Uwolniła nas wszystkich najpierw, a potem wzięła tyrs i w radosnem podnieceniu pomknęła z matką w góry. Podążyliśmy za nią, jak jeszcze pierwej zleciła nam Prokne; lecz co się stało nocą, tego już widzieć nie mogliśmy.

— Tu zaczyna się moje opowiadanie,—podjęła Niktymena.—Uniesienie bachiczne opanowało Eryne

z siłą nadzwyczajną. Wkrótce starsze bachantki, a nawet matka straciły nad nią wszelką władzą. Z całej mocy czuła, że dusza jej oddzieliła się od niej i miejsce jej zajął sam Dyonizos w jej ciele. Wciąż dawały się słyszeć jej szalone okrzyki: w góry! naprzód, bachantki! naprzód, bachantki! Matka pozostała w tyle; Eryna rzuciła się do korowodu, pędzącego wdal, wzdłuż urwiska. „Czemu pędzicie strachliwie wzdłuż brzegu?“—zawołała do nich,—„czyż Dyonizos pożałuje skrzydeł dla wiernych swoich służebnic?“ „Oszalałaś!“ — odrzekła jej najstarsza.—„Rozumie się! wszak tego żąda Dyonizos. Jesteście wszystkie nosicielkami tyrsów zaledwie, ja tylko jestem pośród was bachantką! Daj tutaj!“ I przełożywszy w lewą rękę tyrs — prawą wyrwała pochodnię z rąk starszej bachantki. Wyrwała i ze śmiechem pobiegła wprost na krawędź urwiska. „Pędź, płomieniu Dyoniza!“ wykrzyknęła wesoło, rzucając w przepaść pochodnię. Były to jej słowa ostatnie. Śladem pochodni i sama skoczyła ze skały — i oto leży tutaj.

— Byłem ja przytem,—powiedział Gip—lecz cóż mogłem począć? Dziada jej niegdyś uratowałem od zguby, tu, na tym samym Pangeju; lecz był on wówczas dzieckiem, a i ja byłem młodszy.

— Zaufała Dyonizowi — odrzekła Prokne; — na cóż jej inni obrońcy? I wierny bóg jej nie zawiódł: przeniósł ją bezpiecznie drogami powietrznemi i złożył ją ostrożnie na wiernej piersi matki-Ziemi. Nie straciła nawet przytomności; poprostu oczekuje na powrót duszy swojej z korowodu błogosławionych. I boję się nie tego, lecz

o wiele bardziej czego innego. Aglaodor będzie wielkim prorokiem, lecz tego nie wie, że obrzędy Dyoniza, zbawienne dla innych, są trucizną dla niej. Drodzy moi, podwójmy nasze zabiegi, śpiewajmy jej i dniem i nocą o zielonej szacie matki-Ziemi i nie pozwólmy, aby myśli głębinowe opanowały jej duszę!

Zerwała się i pofrunęła na gałąź, na której siedział Gip wraz z Niktymeną, i wkrótce stamtąd popłynęła ku śpiącej głośna, niemilknąca, żałosna a tryumfująca pieśń. I powoli poczęła się „skupiać w piersi" leżącej jej dusza.

Uniosła głowę, ze zdziwieniem popatrzyła wokoło—z początku uśmiechnęła się na chwilę, lecz wkrótce zamyśliła się i głęboki cień, żywy ślad dawnego dotknięcia, zasnuł jej czyste czoło.

— Więc to jest dusza—szepnęła jakby sama ze sobą mówiąc.—Więc taka jest jej samoistność. A skoro samoistność—to i nieśmiertelność. Czegoż boją się ludzie? Chwała ci, Dyonizosie! Nauczyłeś mnie wiele podczas tej nocy...

— Dyonizos, syn Semeli i Zeusa, i Dyonizos pierworodny, syn Persefony... i obaj są jednem boskiem jestestwem. Czemuż boją się ludzie Persefony, skoro jest ona matką Dyoniza? Nie rozumieją tajemnicy tych słów i dlatego się boją; a ja rozumiem i dlatego się nie boję. Nie boję się ciebie, Persefono, lecz kocham i bez zgrozy wymawiam twe imię, jak córka imię matki. Kocham cię, Persefono...

— Zapomnienie... cóż to jest zapomnienie? Gdy żyję, jeden obraz wypiera drugi w mej świadomości, aby nowe mogły osiągnąć miejsce; stare

ustępują, ostałnie zapadają w przepaść. To właśnie jest zapomnieniem. A skoro żyć przestanę, to nie będzie tej zmiany obrazów, i nie będzie zapomnienia. Wszystko, co dało mi życie, pozostanie w mem trwałem posiadaniu po wszystkie czasy, wszystkie myśli moje, wszystkie uczucia i wszystka miłość moja. Czemuż mam się obawiać smierci? Smierć—to pamięć wieczna, posiadanie wieczne tego, co mi jest drogie, wszystkich wartości mej duszy. Oto, co dał mi Dyonizos, jako dar matki swojej Persefony.

Złożyła znowu głowę na tympanie: spojrzenia jej, skierowane na niebo poprzez listowie dębu, wykryły sowę, sępa i ptaszynę-słowika. Ta rozśpiewała się jeszcze donośniej, pragnąc zagłuszyć swą pieśnią głębinowe myśli swej ulubienicy. Eryna uśmiechnęła się.

— Zdaje się, że się nie zgadzasz ze mną, droga moja; cóż robić, ja mimo to mam słuszność. Mówisz mi, że powinnam kochać matkę. Kocham ją, a więc pragnę kochać ją na wieki. Rozumiesz? na wieki. Czyż będzie tak, gdy będę długo żyć na ziemi? Zdaje się, mam tam braci, których nie znam jeszcze, a gdy poznam, to pewnie pokocham. A później będzie mąż, a jeszcze później—dzieci. I wyobrażenia będą wypierać się wzajemnie, i jedne będą naciskać na drugie, ostatnie zaś strącone będą w przepaść. Matunia będzie strącona w przepaść! Czyż mogę pragnąć tego, skoro ją kocham? O tem ty mi zaśpiewaj, skoro się ze mną nie zgadzasz.

Lecz ptaszyna śpiewała swoje i pieśń jej pokonała wkońcu dowody młodej myślicielki. Pod-

niosła się, jeszcze raz rozejrzała się wkoło, podjęła tyrs swój. Tak miłośnie grzało ją słonko, koniki polne grały i ptaszyna boża tak żarliwie śpiewała tam na sęku między czcigodnemi postaciami sowy i sępa. Uśmiechnęła się Eryna.

— Hej, stara znajoma, i ty jesteś tutaj?

Chwyciła synogarlicę, która się nie broniła.

— Pobędziesz jeszcze u mnie, nie znudziło nam się,—rzekła jej.—Znajdzie się także miejsce i dla innych gości.

— Oto ona! Oto ona! — krzyknął czyjś głos radosny. Eryna poznała Iantę, przyjaciółkę swej matki. Były one obie; lecz Fillida ani słowem, ani krzykiem nie zdradziła swego wzruszenia. Podeszła tylko do córki, długo, długo patrzała jej w oczy i, objąwszy ramieniem jej kibić, powiodła ją w dół potoku, ku Strymonowi i Dziewięciu Drogom. I nie puściła jej przez cały czas, tuląc ją do siebie, jak skarb, odnaleziony niespodzianie. I mimowoli nasuwało jej się pytanie: na ten raz zwrócono mi cię jeszcze, lecz co będzie następnym razem?

V.

Stara królowa umarła. Gdy krewni i dostojnicy zebrali się, aby rozstrzygnąć sprawę dziedzictwa tronu, nikt nie wspomniał imienia królewny Fillidy: została usunięta ogólnem milczeniem zebrania; nikt też nie zapytał o przyczyny, wszyscy i tak wiedzieli. Powołany został na tron najstarszy w rodzie Kotys, człowiek starotrackiego

pokroju, ojciec wielu synów. Przeniósłszy się do pałacu, przedewszystkiem odwiedził Fillidę i prosił, aby zachowała swe mieszkanie i służące, i aby uważała się za członka rodziny. Ta zgodziła się z wdzięcznością. Nie uważała za stosowne pytać o przyczyny swego usunięcia—nie były one dla nie tajemnicą.

Tym sposobem zewnętrznie nic się nie zmieniło w życiu Fillidy i jej córki; wewnętrznie też nic, jeżeli nie liczyć tego, że śmierć babki powiększyła jeszcze zadumę Eryny, zmuszając ją do stawiania matce i Aglaodorowi coraz nowych pytań co do stanu duszy po rozłące jej z ciałem. Nie zawsze zadowalały ją ich odpowiedzi; chętnie im przeczyła lub też rozwijała dalej bieg ich myśli. Szczególniej przypadło jej do serca słowo Orfeusza, powtórzone jej przez Aglaodora: „sôma-sêma“, „ciało-grób“. „Żyjemy swą śmiercią, umrzemy zaś do swego życia“, kończyła. „Lecz jeżeli tak, to czemuż odrazu nie umieramy?“ Odpowiedzi Aglaodora wydawały jej się niedostateczne. Więcej oddziaływały na nią słowa matki, mówiącej o swoich do niej prawach. „Ciebie jedną mam tylko“, twierdziła, „co się ze mną stanie, gdy mnie porzucisz“? Wówczas ściskała ją, prosiła, aby jej przebaczyć szalony skok pangejski, i obiecywała, że nigdy go nie powtórzy. I Fillida była spokojna do następnego razu.

Lecz wkrótce zdarzyło się coś, co dało ich myślom nowy zupełnie kierunek.

Gdy raz siedziała sama przy kądzieli, Eryna zaś przechadzała się po ogrodzie pałacowym, do

jej komnaty, po oznajmieniu przez służebną, weszło troje ludzi: na przedzie herold ze swoją laską, za nim zaś dwie podstarzałe niewiasty poważnego wyglądu, wszyscy ubrani po helleńsku. Grzecznie skłoniwszy się królewnie, rozpoczął herold swą przemowę:

— Już kilka lat temu Pandion, syn Kekropsa, najstarszy wnuk króla i bohatera Erechteusza, według polubownej z ciotecznym bratem Ionem umowy, zajął tron ateński, przyczem Ion, który dotąd rządził Atenami, oddalił się wraz z synami swemi do Grecji wyspiarskiej. Pierwsze lata zeszły na ustaleniu nowej władzy i ukróceniu niezadowolonych; lecz teraz król Pandion czuje się dość pewnym siebie władcą tronu Erechteuszowego. Obok siebie ma czterech częściowo dorosłych, częściowo podrastających synów, podporę swojej władzy, lecz córki mu bogowie w małżeństwie jego z megarską królewną Pilją nie dali. Więc życzy sobie, abyście wraz z królewną Eryną — uznana jest za taką postanowieniem Areopagu i ludu—przesiedliły się obie do Aten, gdzie i dla ciebie przeznaczone jest odpowiednie godności twojej utrzymanie.

Fillida ze wzrastającem wzburzeniem słuchała jego przemowy i drżącemi usty odpowiedziała:

— Wdzięczna jestem królowi Pandionowi za jego względy dla mnie i mej córki, lecz stanowczo nie mogę spełnić jego życzenia.

Herold, zmarszczywszy brwi, pomilczał chwilę, a potem cicho i stanowczo podjął:

— Być może wyraziłem się niedość jasno; pozwól mi przeto powtórzyć w krótkości moje

zlecenie. A więc król Pandion ateński wzywa do siebie swą uprawnioną córkę, ateńską królewnę Erynę, zapewniając jednocześnie jej matce, jeżeli sobie tego życzyć będzie, zaszczytne przyjęcie w grodzie Pallady.

Fillida zbladła.

— Postanowienia Areopagu i ludowego zgromadzenia ateńskiego obowiązują w Atenach, lecz nasze miasto rządzi się swemi prawami trackiemi, a według tych praw...

— Według tych praw — grzecznie wtrącił herold, jakby usprawiedliwiając się ruchem głowy przed królewną, że jej przerywa — według tych praw, obie z córką jesteście niewolnicami króla Kotysa. Do niego mam drugie zlecenie, z którem wolałbym się doń nie zwracać. Głosi ono tak: „król ateński Pandion ofiaruje ci wybór między wojną a sojuszem. Teraz po przyłączeniu Megary do Attyki w całej Helladzie niema potężniejszego nad nią mocarstwa; samej wieści o jego z tobą sojuszu wystarczy, aby utrzymać w posłuszeństwie trackie plemiona, które powstały przeciw tobie wzdłuż górnego Strymonu z miastem Drabeskiem na czele. Z drugiej strony miasto Dziewięciu Dróg wygodnem jest miejscem do spożytkowania kopalni złota na Pangeju, o czem dawno marzą Ateny. Lecz niech bogowie odwrócą wojnę między Ateńczykami, a ich dawnymi przyjaciółmi — Trakami! Za warunek sojuszu król kładzie zwrot swojej uprawnionej córki, krewnej twojej, Eryny".

— Widzę — rzekła Fillida z uśmiechem goryczy — że król Pandion z korzyścią dla siebie spę-

dził tu czas, jako gość moich rodziców: miłość — miłością, a interes — interesem. Lecz w twojem drugiem zleceniu jest mowa o samej tylko Erynie, a o matce się przemilcza?

— Tak, królewno. Nie żądać cudzego i nie oddawać swego, taka jest zasada królów ateńskich.

— Rozumiem: matka — to cudze, a córka — to swoje. Dobrze rozgraniczone...

— A więc, jak postanawiasz?

— Powiedz mi jeszcze jedno, heroldzie. Czy król Pandion nie zamierza, gdy przyjmę jego propozycję, odebrać mi moją córkę? Czy pozwoli nam podawnemu żyć razem?

— Królowa Pilija słynie z cnót wielu, które zapewniły jej miłość dawnych i nowych poddanych: jest ona godną następczynią miłych bogom królowych, Praksytei i Kreuzy. Nie myślę jednak, aby nalegała bardzo na umieszczenie pasierbicy w domu Erechteusza, choć przyjmie w nim gościnnie i ją i ciebie. A na stałe zamieszkanie wybrał wam król osobny dom w najlepszej dzielnicy miasta w pobliżu świątyni Afrodyty w Ogrodach.

— W takim razie, poddaję się. Kiedyż wypadnie mi odpłynąć?

— Jeśli król Kotys, do którego mam jeszcze jedno zlecenie, mnie nie zatrzyma, to w razie twojej zgody, jutro wieczorem podniesiemy kotwicę. Idę teraz do króla, a tymczasem pozwolę sobie oddać ciebie i królewnę opiece dwóch obecnych tu obywatelek ateńskich, które król przeznaczył do waszego orszaku. Jest to Teano, kapłanka naszej

Pallady akropolskiej, oraz Iona— kapłanka sąsiadującej z wami Afrodyty w Ogrodach.

Tu po raz pierwszy ukazał się uśmiech na ustach Fillidy.

— Pallady i Afrodyty! — radośnie wykrzyknęła — obu bogiń, opiekunek mojej córki! Dobrze to król Pandion obmyślił. Pozdrawiam was, czcigodne!

Obie pocałowały Fillidę; herold odszedł za swoją sprawą, a między trzema pozostałemi poczęła się przyjacielska rozmowa. Fillida opowiedziała im, dlaczego nazwała obie boginie opiekunkami swej córki. W czasie tej rozmowy weszła ona sama: na ramieniu jej siedziała samiczka drozda, a w ręce trzymała małego drozdka, starając się rozgrzać go swoim oddechem. Przywitawszy się szybko z gośćmi, zwróciła się do matki.

— Pomyśl tylko, matusiu, co za szkoda: wypadł z gniazdeczka i potłukł się nieboraczek!

— Włóż go z powrotem do gniazdka, moje dziecko, jego matka już będzie wiedziała, co z nim począć.

— Nie, matusiu, stan jego jest beznadziejny: wypadł na kamień i rozbił się. Patrz, krew mu idzie z dziobka. Niedługo już pożyje!

Tymczasem obie Atenki zachwycały się nią „Jaki miły uśmiech dziecięcy!“ rzekła Iona. „I jakie cudne, głębokie spojrzenie“, dodała Teano.— „Tak, zadowolona będzie Pallada z takiej piastunki kosza podczas najbliższych Panatenejów. Ale skąd weźmiemy inne, tak wysmukłe jak ona?

Eryna, usłyszawszy te słowa, spojrzała pytająco na matkę.

— Jedziemy do Aten, moja córko; twój ojciec, król ateński, przysłał po ciebie... po nas, chciałam powiedzieć. Winszuję ci, jesteś królewną ateńską. Lecz ciebie to, jak się zdaje, nie dziwi szczególniej?

Eryna zatroskana patrzała na swe pisklę.

— Więc włożę je lepiej z powrotem w gniazdeczko: niech umiera pod pieszczotą matki.

I wyszła z komnaty, starając się ogrzać swym ciepłym oddechem nieszczęsnego skazańca.

Gdy weszła po raz drugi, Teano posadziła ją obok siebie.

— Widzę, że jesteś prawdziwą Atenką—rzekła z uśmiechem.—My także kochamy ptaki; opowiadają nawet, że dwie nasze królewny, Prokne i Filomela, siostry twego pradziada Erechteusza, zamienione zostały przez bogów w ptaki. I dotąd żyją one to u nas, to u was, jedna jako słowik, druga — jako jaskółka.

— Dotąd, powiadasz? Więc one są wieczne?

— Tak mówią, moja córko. Widzisz, oto już teraz zaczynam cię uczyć! A wiesz ty, że będziesz się musiała pilnie u mnie uczyć, gdy będziesz się przygotowywać do noszenia kosza naszej bogini?

— Chętnie, matko-kapłanko, i niechaj Pallada rozstrzygnie me wątpliwości. Oto, gdyś powiedziała mi o wieczności, aż oddech mi zaparło. Wyobraziłam sobie, coby było, gdyby bogowie mnie obdarzyli tym strasznym darem.

— A co byłoby?

Pożałowała swego pytania.

Jakby płomień ogarnął Erynę i poczęła szybko, bez zająknienia, opisywać swój stan przypuszczalny— stan człowieka, który przeżył swych braci, potem swe dzieci, swych wnuków i nabiera przekonania, że doświadczył już wszystkiego, czego doznać można na ziemi, a wciąż ma przed sobą tę niepożytą wieczność, której niczem zapełnić nie można.

Słuchano jej ze zdumieniem; słowa jej płynęły rozumnie i wymownie; czuło się, że nieraz już przemyślała w sobie to wszystko, co teraz wypowiada swej słuchaczce.

Iona z troską pokiwała głową.

— Obawiam się — rzekła, zwracając się do Fillidy—że nie będę miała co robić z twoją córką. Skąd ma ona takie niedziewczęce myśli?

Fillida obraziła się. Cieszyła się, że córka, jak się zdawało, dobre na Atenkach sprawiła wrażenie, tembardziej, że nikt nie mógł jej posądzić o chęć popisania się; oczekiwała pochwały, nie zaś nagany od swych gości.

— Była w korowodach Dyoniza,— odrzekła sucho.

— Dyoniza... tak, rozumiem teraz. I rozumiem także, dlaczego król Ion, syn Apollina, zabronił u nas tych szalonych orgij, które się po raz pierwszy pojawiły za panowania jego ojczyma. Wprowadził je w miarkujące łożysko religji swego ojca—to też błogosławimy radosne dary łagodnego boga. Oby Pallada chroniła naszą królewnę! Podziwiam ją, lecz obawiam się o nią.

— Jednak nie masz słuszności, ma córko,— rzekła Teano do Eryny, gdy ta skończyła: zapo-

minasz, że nieskończoności czasu odpowiada nieskończona podzielność czy rozciągliwość naszej świadomości, że dlatego żadna skończoność niemożliwa jest dla nas. Lecz zdążymy pomówić o tem na Akropolu, gdy cię przedstawię naszej bogini. Zobaczysz, że powietrze naszych gór ateńskich łagodniejsze jest od powietrza Pangeju; nienapróżno mniema się u nas, że na górach naszych wychowały Muzy złotowłosą Harmonję.

VI.

Nadeszło uroczyste święto Panatenejów. Nigdy jeszcze nie obchodziły go Ateny tak wspaniale, nigdy dotąd one same nie były tak potężne. Attyka była zjednoczona od Cyteronu do Sunjonu; z tamtej strony zatoki nazywała swoją — Eubeję południową, podbitą przez króla Iona, a sam Pandion, jako mąż następczyni tronu megarskiego Piliji, przyłączył do Attyki Megarę ze sporną wyspą Salaminą, kluczem zatoki Sarońskiej, i z portem w drugiej, w Korynckiej zatoce, co otwierało cały Zachód nieprzejrzany marzeniom ateńskim. Jednocześnie Ion, wierny brat swego brata, rozszerzał potęgę ateńską na wyspy wschodnie i przemyśliwał już o przeprawieniu się na pobrzeżny pas Azji. Całą tę potęgę obecną i przyszłą chciał król ateński poświęcić swej bogini podczas tegoż święta. I kiedy myślał, że zadowolone spojrzenie tej bogini spocznie łaskawie wśród jej czcicieli na jego córce, to duma jego wzrastała jeszcze, i widział w niej, w tym kwiecie swej nadziei, jakby po-

średniczkę między Atenami a ich niebiańską orędowniczką.

Jednakże na tem niebie były chmury, tymczasem niewielkie, lecz ponure i groźne. Dzieci licznych synów owego Metyona, który już za króla Erechteusza był przywódcą rokoszan, same przez się stanowiły liczną partję i zapomocą wszelkich środków starały się powiększyć swą liczbę o tych, którzy z jakiegobądź powodu nieżyczliwie usposobieni byli dla króla Pandiona. Główną areną ich działalności była Mesogja, której większa część należała do nich; prócz tego mieli tajemną umowę z piratami z Lemnos, którzy mieli im oddać swe okręty dla napaści na Ateny od strony morza, a za swą przysługę mieli otrzymać część ziemi attyckiej u podnóża Hymettu. Można sobie wyobrazić z jakiem uczuciem spotykali oni obchód Panatenejów i ich symbol prześliczny, królewnę-kaneforę. Gdyby można było zaburzyć tę nienawistną uroczystość, lub choć złą wróżbą zamącić nastrój świąteczny!...

Jedna nieprzyjemność już była, lecz udało się ją przytłumić, nie donosząc królowi i nie przerażając nikogo. Gdy Teano weszła do namiotu na placu, gdzie przechowywane były święte kosze, zobaczyła tam staruchę z wyglądu nadzwyczaj wstrętną. A że ta nie mogła dać rozsądnej odpowiedzi na pytanie, co tam robi, więc kapłanka kazała ją schwytać i wyprawić do prytanów dla dalszego badania; tem zakończyła się sprawa.

Teraz święto było w całej pełni. Na skale Areopagu siedziały żony i córki Metyonidów, przy-

glądając się pochodowi, który je mijał, a potem wstępował po zboczu na Akropol. Ich zjadliwe uwagi sypały się na jego uczestników.

Tem radośniej usposobieni byli pozostali. Po danym przez herolda sygnale zapanowało obrzędowe milczenie, lecz nie nadługo. Nieskończone błogosławieństwa spotykały kroczące na czele dzieweczki-arrefory, tak mile jaśniejące przed wszystkimi w swych białych szatach, haftowanych złotem. Z rzeczową lecz życzliwą krytyką przyglądały się niewiasty rozwiniętemu peplos, świątecznemu darowi dla bogini, za którem kroczyły jego biegłe wykonawczynie, „ergastyny". Wśród nich widzowie znajdowali wiele krewnych i znajomych i z ogólnego pochwalnego gwaru wyróżniały się chętnie powtarzane oddzielne pozdrowienia: „Witaj Alkandro!" „Witaj Lizydiko!" i t. d. Potem głosy umilkły, z uszanowaniem przepuszczono grono sędziwych starców z ich oliwkowemi gałązkami. Lecz potem hałas się ponawia i staje się coraz silniejszy: zjawia się nieprzejrzany pochód pięknych mężczyzn, wiodących hekatombę, krowy i owce; towarzyszą im muzykanci, cytarzyści i fleciści. I znowu milknie gwar; zastępuje go hymn ku czci Ateny, prastara pieśń króla Pandiona Pierwszego:

Bądź pochwalona, córo Gromowładcy,
Władyki ziemian i bogów rodzica...

wielotysięczny tłum widzów podchwytuje święte dźwięki, które wzlatują ku niebiosom... Rada będzie Władczyni, spoglądająca ze swego tronu niebieskiego na wierny lud swój. Potem nowa scena:

wesoły tętent niezliczonych koni: to młodzieńcy ateńscy, nadzieja kraju, harcują na dzielnych rumakach.

Zachwyt widzów dobiega szczytu. Lecz i ten obraz wkrótce nowy zastępuje: zjawia się piękny chłopiec w długiej odzieży z wielką gałęzią oliwki, okręconą wełnianemi taśmami, w ręku. Obwieszona jest figami, bułkami, oliwą i winem w dzbanuszkach, i nie wiedzieć czem jeszcze: wszystkie dary ziemi attyckiej powinny otrzymać błogosławieństwo bogini. Jest to tak zwana irezyona, a niesie ją Likos, najmłodszy syn króla.

— Rozumie się — złośliwie zauważyła Stratonika, żona najstarszego z rodu Metyonidów — i syna musiał przedstawić bogini, jakby to było jego domowe, nie zaś wszechateńskie święto!

— Na syna zgodziłabym się jeszcze — odparła Arata, jej swatka—chociaż Megarką jest jego matka, lecz zawsze to Hellenka. Ale że swoją córkę z tej trackiej czarownicy podsunął jako kanefore, to już jest wprost świętokradztwo: i wcale mnie to nie zadziwi, jeżeli Władczyni miasta gniewnie odsunie podobną służebnicę.

— Co do czarownicy, to już przesadziłaś — wtrąciła staruszka, matka Stratoniki.— Ze szczepu barbarzyńców, z tem się zgadzam, lecz w każdym razie królewna, nie zaś czarownica.

— Zapewniam cię, zacna Klearysto, że jest to najczystsza prawda. Ta wiedźma, Zelruna, powiedziała mi o niej taką rzecz. . obawiam się tylko pokalać nastrój uroczysty bogini, gdyż w przeciwnym razie szybkobym cię przekonała.

— A odkąd to miewasz stosunki z wiedźmami trackiemi?

— Była mi potrzebna; a na co — o tem lepiej w tem miejscu nie mówić. Ani możesz sobie wyobrazić, jak była oburzona moja Melibeja, gdy zmuszono ją nieść koszyk razem z tą dziką Traczynką... Ale cyt, otóż idzie.

W istocie, pod skałą Areopagu ukazała się, witana życzliwym pogwarem, grupa kanefor, w strojnych szatach, obwieszonych złotemi ozdobami, ze złotemi koszyczkami na głowach. Na przedzie dwie: Eryna i Melibeja; król Pandion chciał okazać względy Metyonidom, zapraszając dziewczę z ich rodu, jako parę dla swojej córki, i zaproszona była bardzo rada w duszy, choć udawała obrażoną. Lecz w tej chwili nie było mowy o uczuciach, trzeba było urzędowo i z surową godnością nieść koszyczki Palladzie, a do tego trzeba było umiejętności i całej skupionej uwagi. Spojrzenia ludu ślizgały się po Melibei i z miłością zatrzymywały się na Erynie; czuła to i na miłość powszechną odpowiadała uśmiechem—tym uśmiechem, którym obdarzyła ją Afrodyta.

U podnóża Akropolu kanefory zatrzymały się na krótko, aby odetchnąć przed wejściem na górę. Kobiety mogły im się przyjrzeć dowoli.

— Co to znaczy?—spytała nagle Klearysta—koszyczek Traczynki, jakby drgnął.

— Słusznie, nie chce mu się siedzieć na tej głowie — odrzekła Arata. — Zobaczymy zaraz coś więcej.

Koszyczek drgnął w istocie, lecz Eryna nie

spostrzegła tego. Nie zauważyła i tego, że pokrywka lekko się uchyliła i z pod niej poczęła wolno wysuwać się żmija — nie święta żmija Pallady, lecz zwykły gad, który dotąd leżał, snadź zaczarowany. Żmija wypełzła do połowy swego ciała, wijąc się naprawo i nalewo, potem odrzuciła się z powrotem i gotowa była skoczyć na pierś dziewczęcia.

— Widzicie?—tryumfalnie krzyknęła Arata—jawny gniew obrażonej bogini!

W chwili później krzyknęła jeszcze głośniej. Nie zdążyła skoczyć żmija, gdy z nieba, jak strzała, spuścił się sęp, chwycił ją za szyję i również szybko uniósł się z powrotem na swe wysokości. Eryna się nie zlękła, gdyż poznała pangejskiego przyjaciela. Lecz Melibeja wydała pisk, żachnęła się w bok i upuściła swój koszyczek. Zawstydzona, zmuszona była pochód opuścić.

Nikt nie zwracał na nią uwagi. Wszyscy umilkli: lecz milczenie trwało ledwo chwil kilka. Nastąpił po niem grzmot oklasków, okrzyków, pozdrowień.

— Stał się cud! Chwała Palladzie! Witaj Eryno! Niech żyje królewna! Niech żyje ulubienica bogini!

Eryna promieniała; serce jej biło, jakby miało wyskoczyć z piersi. Lecz nie zmieszała się: czuła, że teraz szczególniej zachować musi przytomność, aby pozostać godną łaski Pallady. Sama jedna, przed wszystkimi, poczęła wolno a wdzięcznie wstępować po wykutych w skale stopniach na górę świętą bogini.

VII.

Zelruna nie uniknęła swego losu. Prytanowie z łatwością ustalili za pomocą starannego śledztwa, że winną zamachu przeciwko królewnie była ona. Prawda, że od pierwszych zaraz słów wskazywała ona na Aratę, lecz do tej trudno było dotrzeć. Z przybyszami zaś takimi, jak ta czarownica tracka, nie krępowano się zbytnio; następnego dnia odprowadzono ją już za Święte wrota i strącono do znajdującego się tam baratronu. Co się zaś tyczy Araty, ta porzuciła zawczasu Ateny i oddaliła się do Mesogji, gdzie rozwinęła zaciętą wprost działalność, nastrajając lud przeciw Pandionowi, dopóki nie osiągnęła oderwania się Mesogji. Ale to zdarzyło się dopiero później.

Teraz zaś jego szczęście wydawało się być bez chmurki. Córkę swą kochał aż do niepamięci, lecz pod tym względem całe Ateny miał po swojej stronie.

Cud Panatenejski zatarł wszelkie skazy, jakich dotąd dopatrzeć się było można w pochodzeniu Eryny: skoro tak jawnie sama Pallada przyjęła ją za córkę, przeto nie mogli od niej stronić obywatele. Nie było już mowy o „Traczynce": jedna przed drugą zapraszały ją do siebie żony magnatów, a przyjaciółki mogła wybierać w najlepszych rodzinach miasta. Dom Erechteusza już dawno stał przed nią otworem; królowa Pilija przyjmowała ją, jak córkę, królewicze, jak siostrę. Wesele, jak się zdawało, było nie za górami; atoli przedtem pragnęła użyć swobody dziewczęcej,

zwłaszcza, że wypadło powetować cały czas, strwoniony poza Atenami. Nie spieszył się król Pandion z poświęceniem swej córki Demetrze Eleuzyńskiej; z opowiadań Fillidy i samej Eryny przekonał się, że lepiej duszę jej trzymać zdaleka od tamtego świata. Nowe przyjaciółki zapraszały ją do korowodów Artemidy; lecz w początkach zagarnęła ją przedewszystkiem sąsiadka, Afrodyta w Ogrodach, za pośrednictwem kapłanki swej Iony: nie było wątpliwości, że powinna była odwzajemnić się bogini za jej błogosławieństwo. Córę wiosny zaliczono więc w poczet dziewcząt, wielbiących Afrodytę w Ogrodach. Wesoła była to służba: pieśni i tany, tany i pieśni, w przerwach rozmowy, zabawy, kwiaty — czoło dziewczęcia było wciąż jasne: cień dawny w całym okresie życia ateńskiego nie ukazał się na niem ani razu. Tak płynął czas od rana do wiecora, a nocą — miłe sny, wywoływane niemilknącą pieśnią nowego gościa Afrodyty w Ogrodach, ptaszyny-słowika z gajów Pangejskich.

Pandion nie mógł odmówić sobie tej przyjemności i po jesiennem całonocnem święcie Afrodyty, które dla Eryny było nowym tryumfem, wziął ją z sobą na Akropol do domu Erechteusza. Czekało tam na nią miękkie posłanie w zacisznej komnacie królowej Piliji; lecz tymczasem ani ona, ani też on nie czuli znużenia: po przejściu stadji z okładem wzdłuż brzegu szemrzącego Ilissu weszli do miasta przez bramę Dyomejską i wzdłuż ściany wstąpili na wzgórze Muz, tam gdzie one według legendy wyhodowały złotowłosą Harmonję, symbol przyszłego nastroju świętego grodu. Zorza

już rozpalała się na wschodzie; w jej blasku różowym wyraźnie widać było pagór Ardettu, przypominający porwanie Orytji, a jeszcze wyraźniej— święty Akropol.

Pandion stał na stopniach przybytku Muz, wieńczącego wierzchołek wzgórza; Eryna, wciąż jeszcze rozgorączkowana zachwytem nocy Afrodyty, stała przed nim. Czy własny rumieniec twarz jej zalewał, czy też było to odbicie zorzy wschodzącej nad Ardettem? stała przed ojcem w całej krasie młodości, cudniejsza, niż kiedykolwiek dotąd. Patrzał na nią i przypomniała mu się jej matka, przypomniała się taka, jak niegdyś, o takiej samej zorzy, gdy stała przed nim w gaju Pangejskim... tylko wtenczas była wiosna, nie jesień.

Nie wytrzymał.

— Eryno, czy wiesz, czemu zawdzięczasz swe imię?

Popatrzyła nań swem uporczywem spojrzeniem, które tak dobrze znał i kochał: czuła, że za tem pytaniem nastąpi zwierzenie — nieodparte, nieuniknione zwierzenie, które zburzy ostatnią przegrodę między ojcem a córką. Czekała na nie oddawna i teraz właśnie była mu szczególniej rada.

— Wiem od matki—cicho odrzekła,—lecz chętnie z ust twoich usłyszę.

W powietrzu dał się słyszeć groźny pęd ciężkich skrzydeł; znajoma Pangejska sowa przyfrunęła z Akropolu i siadła nad głową króla na wysadzie świątyni Muz.

Uśmiechnęła się do niej Eryna swym dziecięcym uśmiechem, darem Afrodyty.

— Czyżbyś ją znała?

— Jakżebym znać jej nie miała! — wesoło odrzekło dziewczę. I opowiedziała mu kolejno o swej ucieczce i swej przyjaźni ze wszystkiemi ptakami Pangeju. „Przyjaźń ta trwa jeszcze dotąd, pierzaści goście Afrodyty w Ogrodach wszyscy co do jednego są mi znani, i nawet podejrzewam mocno, że wielu z nich przyleciało tu za mną z Dziewięciu Dróg. O niektórych wiem to napewno, naprzykład o tej.

Sowa siedziała spokojnie, rada snadź z tego, że rozmowa inny przybrała kierunek. Lecz nad Ardettem ukazało się słońce i sowę począł ogarniać sen. Jeszcze raz poruszyła się niespokojnie, gdy Eryna, spojrzawszy na ojca, uśmiechnęła się doń wyczekująco; lecz wkrótce potem skrzydła jej opadły bezradnie... zasnęła.

Pandion począł opowiadać o swym przyjeździe do Dziewięciu Dróg, o zapoznaniu się swem z Fillidą, o ich spotkaniach w wąwozie Pangejskim, o wszystkich czarach tej wiośnianej miłości w młodem państwie wiosny. Teraz przeżywał je powtórnie, po nocy, poświęconej Afrodycie, pod promieniami tego porannego słońca, które oświecało przepiękny, błogosławiony owoc tej miłości. Było coś jedynego w tem zwierzeniu, zwierzeniu ojca przed córką o tem, co dało jej życie.

Opowiadanie jego nie we wszystkiem zgadzało się z tem, co wielokrotnie słyszała od matki; zdarzenia były te same, lecz oświetlenie ich miejscami inne. Dziewczę porównywało widać obie opowieści, jedną dopełniając drugą. Wynikło z tego coś jednolitego, krągłego, śmiałego, a jednocześnie,

pięknego. Więc z uśmiechem powtórzyła słowa, słyszane wielokrotnie od ojca—dumne słowa: „Na wyżynach niema grzechu".

W uśmiechu jej, w łagodnem jej spojrzeniu dojrzał swe usprawiedliwienie; i z *tego* jej łatwo było usprawiedliwić go, gdyż było to warunkiem jej własnego życia. Pozostawała druga część zwierzenia, trudniejsza: o drugim przyjeździe i o... „giermkini". Cóż tu było do powiedzenia? Przymus obowiązku, słowo dane bez zastanowienia... Jeżeli tamto usprawiedliwienie było rzeczą konieczności, to to mogło być tylko wolnym darem serca córki. Czy ma do tego serca prawo? Czy córka da mu to, czego odmówiła matka?

Opowiedział jej wszystko. I patrzał na nią w dalszym ciągu, nie puszczając jej ręki. Czuł, że teraz nadchodzi chwila stanowcza: chwila ta albo odbierze mu córkę, albo, jeśli wróci — to wróci nazawsze.

— Co powiesz, Eryno?

Popatrzyła nań swem znanem badawczem spojrzeniem, potem położyła mu ręce na ramionach i cicho rzekła:

— *Mój* tato.

Wszystka łaska góry w jej porannej świeżości jakdyby skupiła się w tych dwóch słowach i razem z niemi wstąpiła w duszę szczęśliwego ojca.

Pragnąłby, aby czas się wstrzymał! Tak, tego właśnie pragnął teraz, jak wielokrotnie później, gdy w nieuleczalnym smutku wspominał o tej szczęsnej, a niepowrotnej chwili swego życia.

— Gołąbko moja... córko moja.

Patrzyła na niego promiennemi oczyma. Jakżeż inaczej wyglądał on teraz taki, jaki był w rzeczywistości, w porównaniu z tem wyobrażeniem, jakie wytworzyła sobie niegdyś na podstawie opowiadań swej matki—wyobrażeniem ojca przypadkowego, niekochającego, władczego i drapieżnego jastrzębia śród niewinnych turkawek... Nie, nie zawsze jednak tak o nim mówiła; czasem i duma pewna wybijała się nawierzch; duma z ojca swego dziecięcia, kiedy inni nań napadali, a szczególniej Aglaodor. Lecz do zdarzenia z „giermkinią" stosowała zawsze tę samą ocenę, która przeczyła tamtej drugiej. A teraz nie było sprzeczności, wszystko połączyło się w obraz kochającego, tkliwego, bezgranicznie oddanego swej córce ojca.

— Powiedz mi, tato — zająknęła się ..

Czy nie weźmie jej pytania za oznakę zarozumiałości i pustki duchowej? Nie, to niemożliwe: w takiej chwili wyłączone są wszelkie złe myśli.

— Powiedz mi, ojcze... kto ci jest teraz najbliższy i najdroższy?

Przyciągnął ją do siebie i pocałował w oba oczy.

— Kto mi najbliższy i najdroższy? Rozumie się, że ty, gołąbko moja. Czyliż nie czujesz tego?

Chciał ją znów pocałować — lecz zniewolony był ją puścić. Nagle zmieniła się, oczy nabrały jakiegoś obcego przerażonego wyrazu i głęboki cień pokrył jej marmurowe czoło.

— Dokąd-że mam iść?

— Co ci jest dziecię? Jakto, dokąd masz iść?

Rozumie się, że nigdzie, lecz pozostać masz ze mną... aż do nowego, szczęśliwego życia.

— Dlaczego mówisz mi: idź! idź!

— Kto mówi? Opamiętaj się! Córko, gołąbko moja!

— Idę przecież... Idę, idę, nie obawiaj się: dojdę do końca... To Ty jesteś? Myślałam, że to on, a to Ty. Tak, masz słuszność: służyłam jednej, służyłam drugiej, a teraz Tobie. Idę, idę: bierz mnie.

Odwróciła się od Pandiona i szybkiemi kroki zaczęła zstępować ze wzgórza. Poszedł za nią, lecz wszystkie jego namowy i błagania, o ile dochodziły do jej świadomości, rozdrażniały ją tylko. Tak, los okrutnie zadrwił sobie z niego: w tej samej chwili, gdy sądził, że zwrócona mu jest nazawsze, została mu odjęta... nazawsze?

VIII.

U stóp wzgórza czekała na nią Fillida na wózku, zaprzężonym w parę mułów. „Dobrze, że cię znalazłam. Jedziemy do Faleronu. Na korynckim okręcie przyjechał Aglaodor“.

Nic nie odpowiadając, Eryna pozwoliła się usadowić obok matki. Pandion chciwie chwytał jej spojrzenie przez cały ten czas, szepcąc do niej: córko moja... gołąbko moja! W istocie spojrzała nań spojrzeniem długiem i uporczywem, lecz nie tem znanem, dawnem, pieszczotliwem Z niem też zniknęła z oczu, obca, nie własna.

Fillida nieodrazu spostrzegła zmieniony na-

strój córki; cała pochłonięta była oczekiwanem spotkaniem z Aglaodorem.

Natychmiast po przybyciu do Faleronu napisał do niej list. „Posłuchaj, co mi pisze: Siostro moja, myliliśmy się oboje. Apollo mnie oświecił: teraz stało się dla mnie zrozumiałem wiele, czego nie wiedziałem wcześniej. Chwała bogom, że jeszcze nic nie jest stracone. Gdy tylko otrzymasz ten list, przyjeżdżaj do Faleronu z Eryną“.

— Apollo oświecił tego, którego poprzednio natchnął Dyonizos, — ciągnęła Fillida. — Teraz już przeszedł on całą szkołę proroctwa. Córko moja, możemy być dumne: przyjaciel nasz jest największym prorokiem Hellady.

Eryna słuchała jej z roztargnieniem.

— Apollo, Dyonizos — to przeszłość. Pallada, Afrodyta — to również przeszłość. Teraz jest Ona. Ona to — teraźniejszość, przyszłość i wieczność.

Dopiero teraz zwróciła Fillida uwagę na zmianę, która zaszła w jej córce, na okropny cień, który poraz pierwszy po długiej przerwie, poraz pierwszy wogóle w Atenach, pokrył jej czoło.

— Eryno, co ci jest? Czy przez cały czas byłaś z ojcem? O czem rozmawialiście? Czy był dla ciebie surowy?

— On? Nie, raczej był serdeczny. Lecz było mi bardzo trudno znosić jego obecność i ledwie doczekałam się jego odejścia. Nie mówmy o nim: on też jest przeszłością.

— Nie kochasz go?

— Jego? Nie. Ja już nikogo nie kocham. Kochanie — to przeszłość.

Łzy rzuciły się do oczu Fillidy.

— A mnie? Eryno, czyż i mnie już nie kochasz?

— Ciebie?—Głos jej zadrżał; zdawało się, że dawna serdeczność czyni swe ostatnie przedśmiertne wysiłki, aby się jeszcze raz rozświetlić w tem stygnącem sercu.

— Ciebie, matuniu, kochałam, jak nikogo na świecie.

— Mówisz „kochałam“? A teraz? Teraz już nie kochasz?

— Teraz jesteś jedyną, którą znoszę. *Jeszcze* znoszę.

Tymczasem wózek dojechał do wrót Świętych i znagła skręcił na drogę, wiodącą do Faleronu. Poganiacz, spostrzegłszy po rozmowie, że obie kobiety nie są Atenkami, uważał za stosowne dać im kilka objaśnień.

— Tu, nalewo, cudzoziemki, jest świątynia Nimf; zbudował ją król Erechteusz z powodu suszy, jedynej jaka była za jego błogosławionych rządów. Mówiąc dokładniej — przez wdzięczność dla Nimf za odwrócenie tej klęski. My, Ateńczycy, umiemy byc wdzięczni i nikomu nie pozostajemy dłużni: ani bogom, ani ludziom. Lecz umiemy także karać bezbożników: tu, naprawo, jest straszne miejsce kary, baratron, a na dole, w samej skale— w pieczarze jest świątynia Persefony... obym tylko nie w złej godzinie ją wspomniał! Tu niedawno strącona została bezbożna czarownica tracka, która zrobiła zamach na życie naszej królewny, na do-

miar w oczach wszechwidzącej władczyni Pallady. Słyszałyście o tem, cudzoziemki?

Nie odbierając odpowiedzi na swoje pytanie, umilkł i machnąwszy biczem popędził muły po drodze do Faleronu.

Obie kobiety milczały również. Fillida popatrzyła z troską na córkę w tym czasie, gdy poganiacz opowiadał o losie Zelruny; lecz ta tylko rzuciła okiem obojętnie w kierunku jego ręki i zlekka kiwnęła głową.

Wkrótce powiało świeżością od morza; ukazał się port, zapełniony statkami ze wszystkich pobrzeży Hellady i bliskiej barbarji. Poganiacz poprowadził cudzoziemki do korynckiego działu wybrzeża; siedział tu na swym tobołku Aglaodor, czekając na nie.

Radośnie je obie przywitał; oczy jego jaśniały pragnieniem czynu.

— Bogowie, rzekł, zaszczycili mnie wielkiem zadaniem; odtąd ani jedna godzina mego życia nie należy już do mnie. Żniwo wprawdzie wielkie, ale robotników mało. Trzeba zbłąkanym wskazać drogę ich życia.

— Drogę dokąd? — smutnie spytała Eryna.

— Drogę do Dyoniza! Przez Apollina do Dyoniza. Dyonizos jest celem, a Apollo drogą; nie wiedziałem tego wcześniej, lecz wiem teraz. I wy, drogie moje, winnyście poznać to przeze mnie, wy, pierwsze uczennice mej dojrzałości, a poznawszy — rozpowszechniać tę wiedzę śród ludzi. Czy chcecie? Chcesz tego, Fillido?

— Chcę! — odrzekła z uniesieniem.

— A ty, Eryno?

— Ja znam swą drogę—cicho odrzekło dziewczę. — Sòma, sèma. W tem tkwi cała prawda. Wszystko inne to obłuda. Więc idę — idę.

Fillida poczęła błagać Aglaodora, aby z niemi jechał do Aten, ofiarując mu schronisko w swym domu w pobliżu Afrodyty w Ogrodach. Najęto muła z poganiaczem, który zabrał rzeczy Aglaodora, a sam prorok piechotą towarzyszył wózkowi, który wiózł obie kobiety.

Siedząc ponownie obok matki, Eryna nagle się ożywiła. Nie zwracając uwagi na obecność Aglaodora, lecz zarazem starając się nie być przezeń słyszaną, jęła przekonywać matkę, aby ta nie pozostała bez niej sama na świecie i aby jej nie zostawiła samej — tam...

— Byłyśmy zawsze razem, i bądźmy zawsze razem. Wierz mi, mateczko, ja wyboru nie mam. Mam przed sobą dwie przepaści. Tu — przepaść życia i jej straszne męki piekielne. Mateczko, ty nie wiesz, jak cierpię, sił braknie, by to znieść. Tam — druga przepaść, a w niej zbawienie od mąk życia. A raczej jest w niej życie prawdziwe, bezbolesne, wieczne. Ona mnie tam wzywa, Ona—bogini czarna. Mnie i ciebie. Pójdźmy razem — dobrze, mateczko? Ona woła, słyszę ją. I nie słyszę nic, poza Jej wołaniem. Słyszą, i idę, idę...

Wyjechali na tę równą przestrzeń, skąd po raz pierwszy otwiera się przed podróżnym, dążącym z Faleronu, widok na trzy wyniosłości ateńskie: Likabett, Akropol i wzgórze Muz.

Eryna pozdrowiła je ruchem ręki.

— Żegnaj, Pallado, żegnaj, pamięci o cudzie Panatenejskim! Nienadługo, o bogini, odnalazłaś swą kaneforę: woła ją inna, ta, która potężniejsza jest od ciebie. Żegnaj mi, wzgórze Muz, święte miejsce wyznania! Nienadługo, ojcze, odnalazłeś swą córką. Mateczko, powiedz mu... Nie, nie powiesz mu nic; wszak nie opuścisz swej córki w jej drodze ostatniej. Byłyśmy tu razem i tam będziemy razem...

Trzy wzgórza ukryły się za budynkami, których było coraz więcej w miarę tego, jak podjeżdżali do miasta. Zbliżało się południe, gorący wiatr z lądu podnosił gęste obłoki białego kurzu. Nie było nic widać.

Jeszcze jeden nagły zakręt — i za obłokiem białego kurzu ukazały się blade zarysy świątyni Nimf.

— Idę! idę!

Jak we śnie usłyszała Fillida obok siebie te słowa; miejsce, gdzie przed chwilą siedziała Eryna, było puste. Z głośnym krzykiem rzuciła się pędem śród białego kurzu w tę stronę, gdzie ledwo widać było niknące widmo; Aglaodor za nią. Co zaszło potem, to i w następstwie było dla niej jakgdyby straszną marą senną. Grunt skalisty, trawa wypalona, ciernie czepiające się podołu jej szaty. Na przedzie widmo i krzyk głośny: Idę! Idę! Oto krawędź urwiska: rozpaczliwie chwyta swą córkę za rękę, Aglaodor, za drugą. Ta się wyrywa; kilka chwil walki okropnej. Nagle z przepaści wypływa drugie widmo, nadludzkiego wzrostu, postać niewieścia, cała w czerni, o twarzy bladej, suro-

wej. Wyciąga nad dziewczyną swoją białą rękę... walka skończona.

IX.

W cieniu cyprysów cmentarza Dypilońskiego nad grobowcem, którego syrena płacząca opiera się stopami o płytę z prostym napisem „Eryna, córka Pandiona“, siedzi dwoje ludzi, Aglaodor i Fillida. Ptaszyna-słowik dzwoni w gałęziach, lecz oni nie słuchają jej: rozmawiają z grabarzem, stojącym przed niemi w postawie pełnej szacunku.

— Ta złota klamra z drogiemi kamieniami, dar królewny, odtąd jest twoją własnością—mówi mu Aglaodor — lecz przysięgnij za siebie, swoje dzieci i wnuków na Hermesa, Dyoniza i Persefonę, że codzień będziecie sypać po garści zboża na tę mogiłę i gdy zlecą się ptaki, przemawiać: „pamięci królewny Eryny“.

Grabarz złożył żądaną przysięgę i odszedł. Wówczas dopiero Fillida zwróciła uwagę na niemilknącą pieśń ptaszyny. Odchyliła głowę, starając się rozróżnić ją w zieleni cyprysów i cichym głosem zanuciła smutną ludową piosenkę, zasłyszaną niegdyś od Pandiona w owych beztroskich dniach trackich:

Powiedz święta, ptaszyno, — co tajnie znasz Afrodyty,
Powiedz, ptaszyno ma, w czem naszej miłości tkwi brzask?
„Pieśni, pieszczoty i radość — to ludzkiej miłości zaranie;
„Smutek, mogiła i żal — ludzkiej miłości to kres“

— Nie kres!—gorąco zaprzeczył Aglaodor,— nie kres, lecz przeistoczenie. Dotąd miłość twa należała tylko do córki twojej; odtąd należeć win-

na do wszystkich, którym ciężko żyć na świecie. Im zanieść powinnaś wieść o wielkiem ukojeniu,— tajemnicę koła narodzin i zgonów i tajemnicę wybawienia z niego.

— Koła — w zamyśleniu powtórzyła Fillida — dręczącego koła. Moja Eryna nieprędko osiągnie wybawienie: ona sama, wbrew przykazaniu Dyoniza, zniweczyła drogi, łączące jej duszę z jej ciałem grobem.

— Nie, nie sama: wezwała ją Persefona, której była oddana związaną od pierwszych dni swego życia ziemskiego.

— Oddana? Przez kogo?—ze zdziwieniem zapytała Fillida... lecz nie zażądała odpowiedzi, spotkawszy się z głębokiem, smutnem spojrzeniem Aglaodora.

Umilkli oboje; i znowu nie było słuchać nic, prócz pieśni ptaszyny-słowika w gałązkach cyprysu.

— Po co — zapytała Fillida — poruczyliśmy grabarzowi troskę o grób i o pamięć Eryny? Czyż myślisz, że Pandion zapomni o swej córce?

Aglaodor pokiwał głową.

— Zaszła już gwiazda Pandiona. Metyonidzi podnoszą wszędzie głowy. Mesogja się oderwała, Eubeja stracona, w Czworogrodziu też wybuchło powstanie; a do tego wszystkiego żeglarz koryncki, który nas bierze na swój statek, dowiedział się o oczekiwanem najściu na Faleron floty piratów z Lemnos. A jeżeli i to nastąpi, to Pandion z synami będzie musiał wrócić do Megary. W innym czasie okazał by więcej oporu;—wnuk Erechteusza poza swemi osobistemi zaletami posiadał

miłość kraju. Lecz śmierć Eryny ugodziła go w serce...

Fillida opuściła głowę. „Żegnaj nazawsze!“ wyszeptała. „Pójdźmy, każde do swego dzieła!“

— Pójdźmy, siostro.

Wstali i zwolna skierowali się na drogę, wiodącą do Faleronu. Niebawem ucichł szmer ich kroków; cmentarz opustoszał i tylko ptaszyna-słowik dzwoniła dalej swą pieśń o nieszczęsnej miłości istot ziemskich, o radosnym jej poranku i o kresie jej we łzach, żalu i śmierci.

KRÓLOWA WICHUR

CZĘŚĆ I.

JASKINIA HARPIJ.

I.

Słońce trzeciego dnia, wpadając do świetlicy przez tłuszczem nasycone płótno w oknie, oświecało bladą po dawnemu twarz młodego księcia Fineusza. U łoża jego czuwały kolejno, czekając aż się przebudzi, matka jego, cała czarno ubrana, stara księżna Amaga, oraz nieznajoma, podająca się sama za zbawczynię młodzieńca, krasawica Idaja.

Krasawica — tak, można ją było tak nazwać: krasa biła z jej młodej postaci, tylko oczy dziwnie kolące psuły ogólne wrażenie jej lic. Nawet księżna stara czuła się nieswojo, gdy, niespodzianie na nią spojrzawszy, dostrzegła utkwione w sobie dwie strzały jej wzroku.

Teraz siedziały one razem u wezgłowia chorego. Idaja po raz dziesiąty, na życzenie księżnej, opowiadała jej o tem, jak ocaliła Fineusza od śmierci niechybnej na dnie topieliska. Lecz tym razem głębokie westchnienie młodego księcia przerwało jej opowiadanie.

— Budzi się — szepnęła z pociechą księżna. Istotnie, Fineusz poruszył się. Westchnął, nabrał w płuca ciężkiego powietrza świetlicy, obarczonego gryzącym odorem dymu z sąsiedniej komnaty i jeszcze bardziej gryzącym — pomiotu końskiego, którym, gwoli zachowania ciepła, otoczony był, z uwagi na porę zimową, dom cały.

— Poznaję po tym odorze obmierzłym, że jestem w domu, — rzekł otwierając oczy.—Jak się masz, matko? A to kto?—spytał, spostrzegłszy Idaję.

— Jakto? Nie poznajesz jej? To twoja ratowniczka, synu, i...

— A gdzież ona mogła mię ratować?

— Nie pamiętasz, jak zabrnąłeś w samo topielisko? Widocznie, słaby lód wiosenny nie strzymał ciebie. Tam właśnie cię znalazła, już nieprzytomnego.

— Nie pamiętam. Ale któż mię tu przyniósł?

— Właśnie też ona.

— Ona, kobieta, i sama jedna?

— Nienapróżno jest polanicą, córką księcia Tudala, tam z poza dziesiątego lasu.

Idaja, nic nie mówiąc, chwyciła posłanie i przeniosła je, wraz z chorym, pod białe okno.

— I tam, na polanie, już była doprowadziła cię do przytomności. Podniosłeś powieki, uśmiechnąłeś się do niej i rzekłeś: „Wesele moje, oblubienico moja, jakże kocham ciebie!“ I tego nie pamiętasz?

— Nie, to ja pamiętam... Te słowa rzeczywiście wyrzekłem. Ale czy do niej?

— A do kogóż? — spytała ze zdziwieniem Amaga.—I wogóle gdzieżeś to spędził te siedem dni?

Idaja nie spuszczała z młodego księcia kolących swoich oczu — i wydawało mu się, że pod wpływem jej przenikliwego wzroku wszystkie nici w jego świadomości plączą się i rwą. Podźwignąwszy się zlekka, usiłował coś sobie przypomnieć, lecz wprędce, znużony, opadł bez sił.

— Nic przypomnieć sobie nie mogę, — rzekł posępnie. — Ale słowa te istotnie wyrzekłem.

— A więc widzisz,—ozwała się Amaga.—Przyjęłam ją też w dom swój, jako twoją narzeczoną, a swoją córkę. Dla nas związek z księciem Tudalem będzie i korzyścią i zaszczytem, o niczem lepszem niepodobnaby marzyć. A co do urody, sam widzisz. Ale mógłbyś, przynajmniej, rękę jej podać.

Lecz Fineusz nie śpieszył się. Wciąż jeszcze usiłował coś sobie przypomnieć.

— Zdaje mi się,—rzekł,—iżbym snadniej wątek swoich myśli odnalazł, gdyby ona tak pilnie na mnie nie patrzyła.

Idaja, jakby słów tych nie słysząc, jeszcze głębiej utkwiła weń ostre swe wejrzenie. I, rzeczywiście, po krótkiej walce młody książę się poddał.

— Cóż, skoro narzeczona, niech będzie narzeczona,—rzekł bezsilnie.—Niech tak będzie. Oto moja ręka.

— Na dworze księcia Tudala młodzież bywa uprzejmiejsza — rzekła Idaja. Jednakże wyciągnęła rękę, aby uścisnąć dłoń Fineusza, gdy wtem hałas ogłuszający, jaki się rozległ z podniebia, sprawił, że odskoczyła w samą głąb świetlicy.

II.

Zadudniło, zahuczało, rzekłbyś od wielu setek głosów dziewiczych i roześmianych, i płaczących, i tryumfalnych. A jednocześnie w huku tym dźwięczały jakieś odgłosy groźne, niby szczęk żelaza, niby dzwony, niby stłumiony chychot potęg podziemnych. Coraz niżej, coraz bliżej.

Radośnie zalśniły oczy Fineusza.

— Poznaję, przypominam, — zawołał w zachwycie, —jest to królowa Wichur!

— Atenka, — gniewnie syknęła Idaja.

— Królowa Wichur! A wraz z nią jej córka— moje wesele, moje kochanie! O, teraz przypomniałem sobie! Matko, posłuchaj: wszak jam był tam, u króla Gór. U niego właśnie te siedem dni spędziłem. Było to nieustające upojenie, gody małżeńskie młodego księcia Fineusza i królewny Kleopatry. I one, białe, tańczyły na weselu, Wichury niebieskie, towarzyszki mojej oblubienicy. A potem odszedłem, aby przygotować swój dwór na przyjęcie nowej księżny. Matko, ty mnie nie słuchasz?

Amaga słuchała, ale niechętnie, i twarz jej stawała się coraz mroczniejsza i surowsza.

— Odkąd w pałacu króla Gór zamieszkała ta Atenka, wszystko się u nas odmieniło: inaczej ludzie budują i pracują, inaczej śpiewają i kochają. Jedynie u księcia Tudala i u nas zachowały się obyczaje przodków. Cóż będzie teraz?.. Lecz przerwałam ci twe opowiadanie. Jakże jednak wpadłeś w topielisko?

— Co za topielisko? — z oburzeniem odparł Fineusz.—Idę sobie lasem, a przed oczyma ciągle widzę ją, tę cudną. I, oczywiście, zbłądziłem. Tymczasem zapadł zmrok, w lesie coraz czarniej. W tem—skała, a w niej jaskinia. Wchodzę—i odskakuję z powrotem: taki w niej panował odór duszący i wstrętny. Ze sklepienia zwieszały się jakieś kłęby, niby nietoperze śpiące, ale czerwone. Krzyknąłem: „Kto tam, wychodź!“ I widzę, kłęby zadygotały, rozpostarły skrzydła czerwone i wszystkie na mnie. Wtedy dopiero zrozumiałem, że mam przed sobą jaskinię Harpij, ale już było zapóźno: otoczyły mię, nie miałem gdzie uciekać. Dusząc się od smrodu, upadłem. I jeżeli córka Tudala mię ocaliła, to właśnie od Harpij, i za to jestem jej wdzięczny. Ale gdzież ona?

Tymczasem, odgłosy niebieskie, opuszczając się coraz niżej, jęły rozlegać się u samego domu. Poryw wiatru zdarł płótno z okna, i oczom młodego księcia ukazał się boski obraz. Wichury zrzuciły ze siebie swe białe opony; kwitnące i rumiane, ze skrzydłami motylów, opasały rydwan swej królowej. Przez okno otwarte buchnął do świetlicy upajający zapach róż. A zarazem przeistoczyła się sama świetlica: niskie ściany urosły w górę, okno zamieniło się w wysokie drzwi, wszystko dokoła zakwitło, zazieleniało. Oto Wichury odstąpiły od rydwanu, zaprzężonego w dwa skrzydlate rumaki, zstąpiły zeń dwie kobiety urody niesłychanej, jedna starsza z pochodnią w ręku, druga młodziutka. Weszły do świetlicy, która przeistoczyła się tymczasem we wspaniałą komnatę kró-

lewską. Fineusz rzucił się naprzeciwko młodszej, wciąż powtarzając w upojeniu szczęścia: „Kochanie moje, wesele moje!" Starsza podeszła do księżnej Amagi:

— Ciesz się, świekro, i wybacz, że sprawiliśmy tam gody bez ciebie; taka była wola króla Gór.

Księżna nizko pokłoniła się królowej, nie przyjmując jednakże jej ręki.

— Wola króla Gór jest święta dla jego niewolników.

— Mylisz się, Amago, — surowo odparła królowa, — niewolnictwa niema śród obywateli, jak i pośród was; wolność jest wianem, które wam przyniosłam z boskich Aten. I jeśli wydałam swą Kleopatrę za twego syna, to właśnie dlatego, aby i stąd przepędzić Harpje niewoli, aby i w tym ostatnim ich schronie zajaśniała wolność i jej dobrodziejstwa.

Poczem, przeszedłszy okok księżnej, zbliżyła się do ogniska, na którem leżały nagromadzone już z wieczora drwa, i zapaliła je swą pochodnią. Przywołała do siebie Fineusza i Kleopatrę.

— Córko moja, — rzekła do panny młodej, — niechaj wraz z tym ogniem, przyniesionym z twego ogniska domowego, przejdzie do twej nowej siedziby zarazem i to wszystko dobre, coś w domu swym poznała. Odtąd nie będziesz bawić się już z mojemi boginkami: czeka tu na ciebie czyn — jaki, to sama wiesz. Fineuszu i Kleopatro, podajcie sobie ręce przed płomieniem waszego ogniska, i baczcie, aby nigdy odtąd płomień ten nie zagasł.

Młodzi spełnili zlecenie królowej.

W tej chwili Idaja z czerwoną od złości twarzą rzuciła się między nich.

— To być nie może,—krzyknęła—ja tu będę panią, nie ty! Uchodź stąd, Atenko! Co tobie do nas?

Lecz królowa, zerwawszy różę ze swego wieńca, rzuciła we współzawodnicę. Ta zaskowyczała z bólu, zwinęła się w sobie, i—co się z nią potem stało, nikt już dokładnie przypomnieć sobie nie mógł. Ktoś z czeladzi zapewniał następnie, że widział, jak, zamieniwszy się w czerwonego nietoperza, wyfrunęła przez otwarte drzwi.

W ogrodzie zaś rozbrzmiewała pieśń Hymenu z ust uwijających się w nim Wichur. Brzmiała długo, potem nastąpiły pląsy, potem znowu pieśń. I dopiero, gdy słońce jęło zachodzić, królowa, pożegnawszy młodych, wróciła sama do swego rydwanu. Natychmiast otoczyły ją Wichury, znów rozległ się znajomy odgłos, przeplatany okrzykami: „Hymen, Hymen"—i niebawem wszystko, jak sen, znikło w blasku zorzy wieczornej.

III.

Upłynęło lat dziesięć.

W poranek zimowy staruszka w czarnem odzieniu ostrożnie posuwała się na wózku dwukołowym śród błotnistego lasu. Szła w kierunku najgłębszego ostępu, i zatrzymała się u wejścia do rozległej, lecz niskiej jaskini.

Zdjęła z wózka kosze z chlebem, mięsem i winem i wniosła je do jaskini, o ile pozwalał jej

na to nieznośny smród, wypełniający wnętrze. Potem znów wróciła ku wejściu.

— Potężne Harpje,—rzekła, modlitewnie podnosząc ręce,—raczcie przyjąc moje dary i pomóżcie mi w mojem nieszczęściu.

Jaskinia ożywiła się w mnieniu oka. Szpetne kłęby czerwone, zwisające tam i sam u sklepienia, przybrawszy postać olbrzymich nietoperzy, zleciały się, poczuwszy świeżą żywność, i jęły skwapliwie jeść i pić.

Staruszka przeczekała chwilę, poczem powtórzyła swą modlitwę.

— Późno przypomniałaś sobie o nas, czarna księżno,—ozwała się najstarsza z Harpij.—Miesiąc jeszcze lub dwa—i jużbyś nas nie znalazła tutaj. Synowa twoja ze swojemi Wichurami zamierza wiosną tego roku wykonać dawne życzenie swoje i swej matki i przepędzić nas na koniec świata. Więcej teraz o własnej myśleć musimy niedoli, niż o cudzej.

— Przeciwko niej to właśnie przychodzę prosić was o pomoc.

— Ty, przeciwko niej?

Długo lamentowała przed niemi staruszka; gdy skończyła, zapanowała cisza głęboka. Harpje cicho coś szeptały między sobą; wreszcie najstarsza zwróciła się do przybyłej:

— Zgadzamy się pomóc tobie, czarna księżno. Nie wracaj do domu; udaj się stokiem gór, naprawo, potem odrazu weź się na lewo: znajdziesz dom nowy, w którym zamieszkiwał leśnik, przez syna twego osadzony, dopókiśmy go nie wygnały.

Dom stoi nad przepaścią, mającą połączenie z naszą jaskiną, o czem syn twój nie wiedział. W domu tym musisz zamieszkać: będzie ci tam usługiwała... ale dość, sama zobaczysz. Dziękujemy za dary; bądź zdrowa.

To rzekłszy, frunęła pod sklepienie i zwinąwszy się w kłębek, uwiesiła się pod niem; pozostałe poszły za jej przykładem. Stara księżna siadła na wózek i popędziła konia po wskazanej sobie drodze.

IV.

— Pani, przed domem stoją, prosząc o gościnę, dwaj młodzieńcy, sądząc z ubrania, Hellenowie.

— Powiedz im, że proszę, aby udali się gdzieindziej; książę bawi na łowach już od kilku dni, stara księżna także nie wrócila jeszcze, mnie zaś nie wypada pod nieobecność męża i świekry przyjmować młodzieńców.

— Ja im to już mówiłam, lecz oni nalegają, abyś sama do nich wyszła.

Kleopatra zaodziała się szalem i, poleciwszy dwu swoim służebnym iść za sobą, wyszła ku cudzoziemcom. Chciała było powtórzyć im to, co rzekła przed chwilą, ale uroda obu młodzieńców mimowoli ją oczarowała.

— Kto jesteście, cudzodziemcy? Szczęśliwa matka, co was na świat wydała!

Zamiast odpowiedzi, obaj wesoło się roześmieli. Kleopatra nachmurzyła się. Widząc to, starszy odpowiedział jej po helleńsku:

— O wiele szczęśliwsza jest dzięki temu, że wydała także na świat i ciebie, siostro, nie poznająca braci rodzonych!

Twarz Kleopatry rozjaśniła się natychmiast.

— Kalais, Zetes! A więc to wy jesteście? Nareszcie odwiedziliście siostrę. Dziesięć lat nie widzieliśmy się. A jak wyrośliście! I jak wypięknieli! Ale odkądże to popisujecie się helleńskim obyczajem? Nie bardzo to lubią miejscowi.

— Ileż pytań naraz! Pozwól odpowiadać na nie po kolei. Nie mogliśmy odwiedzić cię wcześniej, gdyż za wolą matki naszej wprowadzaliśmy prawa ludzkie w innych księstwach Scytji, równie jak i ty tutaj w nadmorskiem. A ubraliśmy się po helleńsku dlatego, że lecimy do Hellenów. I tutaj wstąpiliśmy tylko, aby pożegnać się z tobą, ze szwagrem i z siostrzanami.

— Lecicie do Hellenów? Po co?

— Siostro, a słyszałaś o Argonautach?

I opowiedzieli jej, jak pacholę Friksos, ratując się od złej macochy, na baranku złotorunym uleciał do dalekiej Kolchidy, której król Ajetes stał się, dzięki temu, panem runa; jak napastnik Pelias pozbawił tronu króla Iolkskiego Ezona; jak syn pokrzywdzonego, Jazon, wracając do ojczyzny od wychowawcy swego Chirona, zdołał pozyskać łaskę Hery; jak Pelias zgodził się zwrócić mu królestwo ojcowskie pod warunkiem, ze ten naprzód przyniesie mu złote runo; jak Jazon, zbudowawszy dzięki względom Hery cudowny okręt Argo, zwołał największych witeziów Hellady, aby udać się w pierwszą żeglugę daleką — do złotej Kolchidy.

Kleopatra, która przez cały czas słuchała go uważnie, podwoiła uwagę, skoro zaczął mówić o Herze.

— Musicie wiedzieć — rzekła do braci — że Królowa Niebieska jest stałą opiekunką naszego rodu. Na jej rękach ujrzała światło matka nasza; ona również pobłogosławiła jej ślub z Królem Gór, Boreaszem; ona nawiedziła ją w dzień moich narodzin. Opowiedzcie dokładnie, jak ukazała się ona Jazonowi.

— Powracał do ojczyzny — zaczął Kalais — nagle widzi po drodze strumień górski; nad brzegiem siedzi staruszka: biała odzież, biała chusta, twarz w zmarszczkach, lecz oczy wielkie przecudnym blaskiem płoną. „Jazonie“, powiada, „przenieś mię przez strumień“. Chiron uczy stale swych wychowańców szacunku dla starszych; Jazon wziął nieznajomą na plecy i przeniósł przez strumień, przyczem jeden jego sandał uwiązł w mule. Na drugim brzegu ją zsadził; ona zaś rzekła: „Za usługę tę nagrodzi ci Hera, Królowa Niebios“. Rzekła i znikła. Peliasowi zaś oznajmiła wyrocznia, aby strzegł się człowieka półobutego; ujrzawszy Jazona w jednym sandale, zrozumiał, że odeń grozi mu niebezpieczeństwo, i postanowił go zgładzić. Lecz Jazon nie zginie, owszem, okryje się sławą nieśmiertelną, i wstyd będzie miastu, które udziału nie weźmie w wyprawie Argonautów. Ateny nie mogą, tam są obecnie zamieszki. Otóż my, jako Ateńczycy po kądzieli, postanowiliśmy walczyć o honor miasta Pallady, i przychodzimy, aby po-

żegnać się z tobą i uściskać swoich siostrzeńców. Ale gdzież oni są?

— Biegają właśnie po lesie... lecz nie, w tej chwili wracają. Pleksypie, Pandionie, chodźcie tutaj.

Malcy weszli, przywitali się z wielką powagą z wujami, lecz widać było, że główki zajęte są czem innem. Pzy pierwszej sposobności starszy ozwał się:

— Mateczko, a my mamy fujarkę-pieśniarkę.

— Co takiego?

— Fujarkę-pieśniarkę. I ciągle jedną tylko piosenkę śpiewa, żałosną taką. Posłuchaj!

Wydobył z pod chitoniku fujarkę z kory brzostowej, z ustnikiem bursztynowym, wiszącą na złotym łańcuszku, i począł grać na niej. Fujarka zaśpiewała:

Ah, któż pożałuje nas biedne sieroty?
Nie dla nas lśni zachód, nie dla nas wschód złoty.
W dom obca wtargnęła: my żyjem w pomroczy,
Od chwili, gdy igła łysnęła nam w oczy.

W loch ciemny wtrącono, ah! matkę niebogę,
Nad ojcem się pastwią potwory złowrogie.
Nie dla nas lśni zachód, nie dla nas wschód złoty.
O, morze! O, ziemio! ratujcie sieroty.

Serce Kleopatry ścisnęło się boleśnie.

— Skąd masz tę fujarkę?

— Posłuchaj. Biegamy z bratem po gaju; aż tu widzimy, siedzi sobie na pniaku staruszka, taka miła; ubrana biało, w białej chuście, twarz w zmarszczkach, ale oczy duże, cudownym blaskiem płoną...

Kleopatra zamieniła spojrzenia z braćmi.

— „Oh, powiada, nie mam sił więcej. Dziateczki miłe, dajcie mi się napić“. Potok był niedaleko; pobiegliśmy z bratem. „A w co nabierzemy wody?“ — pyta Pandion. „A patrz, w to“, — odpowiadam; zrywam płacheć kory brzostowej i zwijam nakształt tutki. Przynieśliśmy. Napiła się, spogląda na tutkę. „Dobrześ ją, powiada, zmajstrował; a co umiesz jeszcze robić z brzostu?“ „U nas, powiadam, łapcie z niej plotą, ale ja nie potrafię“. „A fujarkę, pyta, umiesz wykręcić!“ „Nie“ — powiadam. I, oto, bierze mój wycinek kory, odrywa kawałek, zwija w trąbkę, przymocowywa z obu stron, co należy, dobywszy ze swej torebki: „Masz, powiada, gotowa, możesz zagrać“. Zagrałem; ja gram, a fujarka sama śpiewa. Staruszka zaś, wciąż patrzy na mnie, a łzy kręcą się w jej oczach. „Strzeż jej, powiada, jak źrenicy oka... nie, więcej, niż źrenicy oka“. I powtórzyła zwolna „*Więcej, niż źrenicy oka*“. Wyjęła z tejże torebki złoty łańcuszek, przytwierdziła go do fujarki, sama zawiesiła mi ją na szyi. „Bądźcie zdrowi“, powiada,—i pocałowała nas obu. I tak nam słodko zrobiło się po jej pocałunku, tak słodko.

Umilkł. Wszyscy milczeli.

— Jednakowoż, rzekł Kalais, komu w drogę, temu czas. Musimy iść, a raczej lecieć, skoro jesteśmy Boreadzi. Żegnaj, Kleopatro; żegnajcie, dzieci.

Wycałował je i wyszedł. Dzieci, z ciekawością nań patrząc, wyszły za nim.

Kleopatra stała, jakby w oniemieniu. Widząc

że i drugi brat zamierza ją opuścić, błagalnie wzniosła ku niemu ręce:

— Kochany, drogi, nie odchodź. Nie rozumiem, co się ze mną dzieje; zda się, jakgdyby kto duszę ze mnie wyciągał.

— Nie lękaj się, Kleopatro. Iść muszę, ale nienadługo, spodziewam się. A więc do prędkiego, radosnego zobaczenia.

Owiła szyję jego rękoma i jęła gorączkowo go całować.

— Do zobaczenia. Koniecznie do zobaczenia. Do prędkiego, radosnego zobaczenia.

Zetes, tkliwie ją uścisnąwszy, wyszedł. Kleopatra stała wciąż, przywarłszy rękoma do serca.

-- Dzieci, dzieci! A gdzież wy jesteście?

V.

Książę Fineusz zatrzymał się, zakłopotany.

— Gdzieżeś mi się podział, figlarzu? Wodził mię po całym lesie i nagle jakby pod ziemię się zapadł.

Ale niedźwiedzia widać nie było. Książę krzyknął, ile miał tchu w piersiach, nikt się nie odezwał. Chwycił swój róg myśliwski i zagrał jasny hejnał wezwania, ale i dźwięki hejnału bez skutku rozpłynęły się w letniem powietrzu.

Pokiwał głową.

— Dokąd, jednakże, zabrnąłem?

Miejscowość była najdziksza, czarne jodły, skały, mech; słychać szum wodospadu. Udał się w tym kierunku. Rzeczywiście, ze skały wali się

wodospad w bezdeń, z której jakgdyby unosi się mgła. Lecz obok stoi chata leśna.

— A, poznaję: tu mieszka leśnik mój. Odpocznę sobie u niego.

Zastukał; ktoś milcząc otworzył drzwi.

Lecz księcia jakgdyby coś odepchnęło od progu.

— Matko, co za zrządzenie!...

Czarna księżna uśmiechnęła się wzgardliwie.

— Było to ponad siły moje. Teraz tu mieszkam.

Książę wciąż patrzał na nią, oczom swym nie wierząc.

— Matko, jakże to? Czyżby pod nieobecność moją... Kleopatra... okazała ci brak szacunku?

— Nie jestem ja dziewczynką, aby palec kłaść między drzwi a ścianę. Ty z nią żyć masz, nie ja. Powiedziałam, że było to nad siły moje, i—koniec.

— Matko, a któż tobie tutaj usługiwać będzie?

— Wejdź, a zobaczysz.

Książę wszedł i ujrzał w izbie Idaję. Ta natychmiast kornie przypadła mu do stóp.

— Wstań, Idajo. Nie mam ci nic do wybaczenia: przeciwnie, jestem wdzięczen tobie, żeś mię wtenczas ocaliła od Harpij. Mówię ci, wstań.

Wstała i natychmiast jęła się krzątać. W mgnieniu oka stół był nakryty, ukazała się wszelkiego rodzaju strawa, chleb, ser, wino. Książę uśmierzył głód, po winie zaś rozpogodził się ostatecznie.

— Widzę, matko, że głodu tu nie cierpisz. Ale czy nie dokucza ci w tej głuszy samotność?

— Wcale nie,—odrzekła księżna, uśmiechając

się zagadkowo. — Widzę wszystkich, kogo tylko chcę widzieć! I ciebie widziałam niedawno, i wiedziałam, że jesteś w pobliżu.

— Widziałaś? W jaki sposób?

— Dzięki niej. O, to mądra głowa...

Pieszczotliwie spojrzała na Idaję. Ta podniosła swe oczy kolące na księcia, i nagle uczuł on, że pod tem spojrzeniem pogodny jego nastrój pierzchnął zupełnie. Ogarnęła go silna tęsknota za domem.

— Jakże ty to sprawiasz? — spytał Idai.

— W pianie i w bryzgach wodospadu — odrzekła. — Wszak pada on w bezdeń, aż w samą głąb łona Matki-Ziemi, kędy unoszą się pierwowzory wszechrzeczy. Trzeba tylko umieć je wywołać: my, polanice, wiele rzeczy umiemy.

Książę spojrzał na nią nieufnie i z obawą.

— Widzę, jesteś czarnoksiężniczką. No, a czy możesz mi pokazać to, co zechcę ujrzeć?

— Mogę, rozkaż tylko.

Książę popił jeszcze wina, i teraz dopiero spostrzegł, jak mocne było i aromatyczne. Łyknął jeszcze i jeszcze, póki nie uczuł przyjemnego zawrotu w głowie. Znów ogarnęła go tęskność za domem, ale już z innego powodu.

— Chodźmy prędzej! Do wodospadu!

Idaja wstała, zabrała z półki rozmaite sprzęty, dziwaczne z pozoru, na końcu zaś mały tygiel z żarzącemi się węglami i krzesiwo.

— Chodźmy.

Udali się do wodospadu; księżna Amaga wraz z nimi. Kiedyindziej książę byłby oczarowany ma-

jestatem widoku, jaki się przed nim odsłonił. Stroma skała, porosła mchem i liszajami, najeżona była gajem wysokich, czarnych jodeł. Śród nich pędził szerokiem łożyskiem strumień, spadał na niższy złom, spływał pięciu strugami po pochyłem łożu i następnie, połączony, przez wrota kamienne spadał powtórnie, tym razem w niedosiężną dla oka głębinę. I stamtąd, z głębi, w modrawym półmroku, dobywała się wirująca mgła bryzgów i pyłu wodnego, w której rozgorączkowany wzrok księcia już teraz dostrzegał szereg obrazów bądź ponętnych, bądź strasznych.

— Prędzej! — rzekł do sprawczyni czarów, — wywołaj mi ją!

— JĄ, — spytała Idaja, bacznie patrząc na księcia swemi niedobremi oczyma. — Kogo?

— Moją najukochańszą. Wybacz, Idajo, rozumiem, że może to być dla ciebie niemiłe, lecz jeśli naprawdę szczerze pokajałaś się wobec mnie...

— Jest to dla mnie niemiłe, książę, ale nie z tego powodu, o którym ty myślisz. Ja nie sięgam po to, co mi się nie należy, i jeżeli dasz mi rozkaz stanowczy, to wolę twoją spełnię. Daj mi tylko rozkaz.

— A więc rozkazuję. Wywołaj mi księżnę Kleopatrę!

Idaja roznieciła ogień w tyglu, rzuciła weń traw różnych, które natychmiast czerwonym zajęły się płomieniem, i poczęła, bezdźwięcznie poruszając wargami, wymawiać zaklęcia, wiążące ciało i duszę. Książę sam uczuł, że coś jakgdyby parło go ku owemu miejscu, że nie mógłby się oddalić

stąd, choćby nawet tego zapragnął. Ukończywszy zaklęcia, Idaja wzniosła żarzewie nad przepaścią i odwróciła je. Natychmiast cała stanęła ona w świetle czerwonem.

Zrazu nie mógł dojrzeć niczego, prócz jednostajnej czerwonej mgły. Zwolna dopiero mgła poczęła się miejscami zgęszczać, miejscami rozpraszać; zarysy czyniły się coraz wyraźniejsze; książę rozpoznał komnatę niewieścią swego dworu. W komnacie tej, plamy mgliste kołysały się, mieniły, falowały. Idaja w dalszym ciągu bezdźwięcznie poruszała wargami. Niektóre plamy zlewały się razem, gęstniały, tworzyły postać ludzką — książę rozpoznał swą żonę.

— Kleopatro, kochanie, spójrz na mnie!

Lecz księżna stała jakby w oniemieniu, patrząc pilnie przed siebie. Poczem podniosła ręce, jakgdyby błagając kogoś, kto stał przed nią.

— Co to? Na kogo ona patrzy?

Tam, przed nią, wciąż jeszcze mgliły się plamy czerwonego oparu. Idaja w dalszym ciągu wygłaszała swe nieme zaklęcia. Znów plamy jęły się zwierać, nareszcie przybrały kształt smukłego młodziana w chitonie helleńskim i chlamidzie rycerskiej, zaodzianej przez ramię.

Kleopatra owiła szyję jego rękoma i poczęła gorączkowo go całować.

I młodzian tkliwie ją uścisnął.

Tu książę wykrzyknął głośno, a raczej wydał ryk od nieznośnego bolu dusznego. Idaja

przerwała swe zamawiania, obraz powoli rozpłynął się w kurzawie mgły, ktora też zwolna jęła przygasać.

— Ah, więc tak spędzasz czas mej nieobecności! Hellen! O, tak, oczywiście, jest to Hellen, tak jak i ty, ja zaś jestem marnym Scytą, barbarzyńcą. Nas nie raczycie poczytywać nawet za ludzi! Teraz rozumiem, dlaczego matce mojej sił nie stało, aby wytrwać. O, teraz zrozumiałem wszystko! Przebacz mi, matko... przebacz mi... Idajo!..

I rozpłakał się, jak dziecię.

Idaja położyła mu dłoń na ramieniu.

— Co zamyślasz uczynić, książę?

Książę wybuchnął wściekłym śmiechem.

— Co uczynić? Przypomnieć sobie, że jestem barbarzyńcą i Scytą. Tak, jestem barbarzyńcą, ale jestem księciem, i urągać się z siebie wam, Hellenowie, nie pozwolę!

— Pamiętaj jedno: w jej jasnych włosach jest jeden włos złoty, ofiarowany jej przez Herę w dniu jej narodzin. We włosie tym tkwi moc czarodziejska. Pamiętaj o tem.

— Włosy, tak... włosy... rozumie się — mamrotał książę, jakby nie rozumiejąc tego, co doń mówiła Idaja.

W pobliżu dał się słyszeć trzask, jakby ktoś łamał chrust.

— A, przyjacielu, przychodzisz w samą porę, — rzekła czarownica. Poczem, zwracając się do księcia:

— Jest to przewodnik. Idź za nim, poprowa-

dzi cię on do miejsca, gdzie zostawiłeś świtę i konia. Reszta — do ciebie należy.

Książę w niemem posłuszeństwie skierował się w tę stronę, kędy rozlegał się trzask.

Idaja długo patrzyła za nim; gdy znikł, zaniosła się od śmiechu.

— Dzięki wam, Argonauci: od was, przepowiadała babka, grozi nam zagłada! Zobaczymy jeszcze; tymczasem daliście nam ratunek.

— Kto? — spytała księżna.

— Co ci do tego?—szorstko odparła Idaja. — Zapomniałam zupełnie, że ty jesteś tu jeszcze. No, chodźmy do domu.

VI.

Księżna Kleopatra wciąż jeszcze siedziała w swej komnacie niewieściej, przyciskając i tuląc do siebie swe dzieci. Serce jej ostry przeszywał niepokój. Wciąż miała jeszcze w uszach odgłos piosnki dziecięcej, wciąż przed oczyma jej stała postać ukochanej bogini z oczyma pełnemi łez.

— Ah, gdyby ojciec wrócił jaknajprędzej!

Rozległ się tętent samotnego rumaka.

— To on,—radośnie zawołała.—Ale dlaczego powraca sam jeden, bez świty? Widocznie, niecierpliwiąc się, wyprzedził wszystkich, chcąc co prędzej uścisnąć... swe chłopięta.

Tętent stawał się coraz bliższy, głośniejszy. Księżna przeszła do głównej komnaty pałacu.

Koń zatrzymał się u wejścia, jeździec zeskoczył

zeń. Drzwi rozwarły się szeroko, książę Fineusz ukazał się na progu.

— Fineusz! — radośnie krzyknęła Kleopatra i pobiegła, aby go witać. — Ale co tobie? Czemu jesteś taki blady?

Fineusz znowu wydał ryk, jak tam, u wodospadu; rzucił się na żonę, chwycił ją za włosy, przygiął do ziemi: błysnął miecz — i wspaniały warkocz bezsilnie zwisł na lewej ręce obłąkańca.

Natychmiast wysokie sklepienie pałacu osiadło niżej i niżej; piękne malowidła ścian utonęły w szarych plamach; drzwi skurczyły się i zamieniły w niskie okno, w które wprawione było płótno, tłuszczem przesycone. Fineusz stał, dziko spozierając wokół siebie.

Kleopatra podniosła się — ostrzyżona.

— Co to znaczy Fineuszu? Kto mię spotwarzył wobec ciebie?

Te słowa przywróciły Fineuszowi przytomność.

— Kto cię spotwarzył? — spytał z dzikim śmiechem: — oto, kto! — I ręką wskazał na dwoje swoich oczu. — Lecz póki widzą one blask słońca, Fineusz wierzyć im będzie więcej, niż zdradzieckiej pieszczocie helleńskiej. Precz!

I, chwyciwszy ją za rękę, wywiódł ją ze świetlicy, nie zwracając uwagi na płacz dzieci. Wkrótce potem wrócił, padł na posłanie, stojące pod ścianą, i — postradał świadomość.

Gdy ocknął się, był mętny dzień jesienny. U jego wezgłowia siedziała księżna Amaga, nieco opodal stała przed krosnami Idaja i tkała; tkackie

jej czółenko, biegając wstecz i naprzód między nićmi osnowy, brzęczało posępnie. Powietrze świetlicy przesycone było gryzącym odorem, który znał dobrze od lat dziecinnych.

— Matko, spałem długo?

Amaga badawczo spojrzała na niego.

— Tak, synu, bardzo długo. Już myśleliśmy, że nie ockniesz się więcej.

— My, powiadasz. Któż to są my? I powiedz, kim jest ta kobieta, tam, przed krosnami? Jak okropnie migoce igła jej czółenka!

— Igła, jak igła. Lecz jakże mogłeś nie poznać żony własnej?

— Żony? któż jest moją żoną?

— Idaja, córka księcia Tudala, swoja, nie obca. Ty, pono, wszystko zapomniałeś.

— Idaja? Nie, pamiętam. Idaję pamiętam. Tylko tego, że jest żoną moją, nie pamiętam. Ale dlaczego jej igła tak błyska? Cała czerwieni się, jakby rozpalona. I dlaczego ciągle krew z niej broczy?

— To w oczach ci się mąci, synu. Lepiej zaśnij jeszcze; gdy się zbudzisz, będziesz zupełnie zdrów.

— Nie, matko, spać teraz długo nie będę. I tak spałem zbyt długo. Miałem sen, śnił mi się cudny sen... Miałem dzieci, prześliczne chłopięta... i żonę miałem... tylko nie tę...

Ostatnie słowa dodał szeptem, trwożnie spoglądając na Idaję.

— I dlaczego ona ciągle tka? Tak żałośnie

nuci jej czółenko, jakgdyby piosnkę zawodziło. I ciągle krew kapie z igły. Dobiegnie do końca naprawo—i kapnie. Patrz, jak rośnie kałuża krwi. Matko, powiedz jej, aby przestała!

Idaja z gniewem odrzuciła czółenko, które zwisło na nitce. Pieśń umilkła, lecz Fineusz jeszcze wyraźniej słyszał teraz: kap-kap-kap.

Umilkła pieśń żałoby, ustąpiła pieśni innej, pieśni gniewu i kary. A rozległa się ona nie w świetlicy, lecz ponad domem.

Co to, matko, słyszysz?

Coraz donośniej brzmiał szum, trzask, odgrom. Zwłaszcza odgrom straszliwy, groźny, przeplatany skowytem i wyciem. Fineusz zerwał się z posłania.

— A, wiem, matko: to nie był sen! To—ona, ona, królowa Wichur!

Szum zniżył się; słychać było, jak trzeszczały krokwie dachu, rozrywane nawałnicą. Coraz niżej, coraz niżej. Oto runęła belka pułapu; szeroka fala białego światła wlała się wraz z kłębiącym się śniegiem do izby Fineusza.

Wichury czyniły dalej swą robotę, wyrywając bale z powały i ścian.

— Co to?—powtórzył Fineusz, blednąc.

— Zapłata, — krzyknęła doń Idaja z szyderczym śmiechem. Żegnaj, Fineuszu, zobaczymy się rychło... Czy się zobaczymy, tego nie wiem, lecz ja z pewnością cię zobaczę. Żegnaj!

Rzekła i przepadła.

Wichury, wszystkie w białych oponach, szu-

kały po całym placu zburzonego domu. Pieśń gniewu zamieniła się w pieśń żalu.

— Niema jej! Niema naszej królewny, towarzyszki Wichur!

Ale w pieśń ich runął głos, niby huk pioruna.

— Fineuszu, Fineuszu! Gdzie są moje wnuki?

Fineusz podniósł przerażone oczy. Poza śnieżną zasłoną dojrzał na rydwanie, obok Królowej Wichur, groźną postać jej małżonka, Króla Gór.

— Fineuszu, Fineuszu! Gdzie są twoi synowie, moje wnuki?

Fineusz opuścił wzrok ku ziemi.

— Ty, ojciec niegodny, wydałeś ich na łup najokropniejszej z Harpij, ona zaś, igłą tkacką przekłuwszy ich oczy jasne, wtrąciła ich w podziemia nad morzem, niedostępne dla moich Wichur!

Fineusz głucho jęczał.

— Fineuszu, Fineuszu! Gdzie żona twoja, a moja córka?

— Zdrajczyni! Ukarałem ją.

— Kto rzekł ci, że cię zdradziła?

— Oto, kto! Oto, kto!—wściekle wyrzucił Fineusz, wskazując na swe oczy.—I póki świadkowie ci widzą światłość dnia...

Król Gór, zstąpiwszy z rydwanu, stanął tuż nad nim, rzucając nań cień swemi skrzydłami.

— Póki ci świadkowie potwarczy widzą światłość dnia, córka moja ma pozostawać zdrajczynią, tak? A więc macie — i one, i ty!

Skinął skrzydłami—i czarna noc okoliła Fineusza.

— Harpje uprowadziły ją do swej jaskini,—

ciągnął Król Gór — i tam płacze ona nad dolą swoją własną, i nad twoją dolą, nikczemniku, kacie. Ale godzina zapłaty nadeszła. Wstań, stara,— krzyknął do Amagi, która u stóp jego leżała:— uprowadź syna do swego domu leśnego, nad jaskinią Harpij, niechaj tam odkupuje swoją i twoją zdrodnię. Ludzie miłosierni znosić mu będą jadło i wino, ale niewiele z wiela siły jego pokrzepi. Harpje rozdrapywać będą ich ofiary, resztki zaś smrodem swoim zakażą. A jednak głód zniewoli go spożywać to plugawe jadło, nieznośne nawet dla ciebie. Ty porzucisz go i nikt, prócz jego Harpij, nie usłuży ślepcowi. I będzie tak męczył się aż do chwili...

Korna pieśń setek głosów dziewiczych przerwała jego proroctwo.

— Chwała, chwała, chwała Królowej Niebios!

Dał znak Amadze, aby uprowadziła syna, i spojrzał ku górze. Na jego rydwanie, obok jego żony, stała druga kobieta, postawą wynioślejsza i bardziej królewska. Białe Wichury, wzniósłszy ręce jak do modlitwy, otoczyły kołem rydwan i śpiewały chwałę bogini.

Bogini przycisnęła do siebie płaczącą królowę.

— Nie oddawaj się rozpaczy, córko; sama dałam ci błogosławieństwo na twój ślub; ale i ja wiedziałam, i ty wiedziałaś, że droga twoja pokryta będzie cierniami, że nienawiść i niewdzięczność będą odpowiedzią ludzi na twe dobrodziejstwa. Jednakże nie uważaj na zburzenie swego wielkiego dzieła; nie sądź, aby zwycięstwo Harpij, twych wrogów nieprzejednanych, było długotrwałe.

Nastanie światło, nastanie radość, nastanie miłość; płomień Pallady w tym kraju dzikim płonąć będzie mimo wszystko. I niechaj ci pociechą jedno słowo będzie w tej całej niedoli...

Król gór, wzniósłszy, jak do modłów, prawicę, z rozrzewnieniem patrzył na żonę, gdy ta ufnie zwracała oczy na boginię, uśmiechając się do niej skroś łzy.

— Słowem tem — *Argonauci.*



SPIS RZECZY SERJI DRUGIEJ.

WYCIĄG Z KATALOGU TOWARZYSTWA WYDAWNICZEGO W WARSZAWIE

Abramowski E. Dusza i ciało.
Album malarstwa polskiego. 50 barwnych reprodukcji wyd. I. Lapina.
Andersen. Baśnie. Z ilustracjami E. Dulaca
Arcydzieła literatur obcych. W wyborze i układzie dla użytku szkolnego pod redakcją A. Boleskiego zeszyt I-y
Homer. Iljada – Odysseja „ „
Askenazy S. Prof. Napoleon a Polska
T. I Upadek Polski a Francja
— „ „ II Bonaparte a Legjony
— „ „ III
Barrie. Przygody Piotrusia Pana. Z ilustracjami A. Rackhama
Baudelaire Charles. Kwiaty grzechu. Przeł. Cz. Kozłowski
Baumfeld G. B. Klejnoty poezji staropolskiej
Bedier J. Dzieje Tristana i Izoldy odtworzone wedle dawnych legend i poematów. Przełożył Boy. Wyd. drugie
Berent W. Fachowiec. Powieść
Bölsche W. O pochodzeniu człowieka
Brzozowski S. Nim serce ucichło. Poezje
Brzozowski W. Dusza mówiąca. Poezje
Dante Alighieri. Vita Nuova (Nowe Życie) przełożył Artur Górski
Dąbrowska M. Dzieje naszej Ojczyzny wyd. II uzupełnione
— O Zjednoczonej Polsce. Wyd. drugie rozszerzone
— Dzieci Ojczyzny
Garski St. System filozofji t. I. Zagadnienia wstępne
Grabiec J. Dzieje Polski Niepodległej
— Dzieje porozbiorowe Narodu Polskiego
— Dzieje Współczesne (1871—1918). cz. I
— „ „ „ cz. II
Holewiński J. Budownictwo wiejskie
Hryncewicz-Talko I. Prof. Człowiek na ziemiach naszych
Kaden J. Łuk. Powieść
Karpowicz St. Ideały i metoda wychowania spółczesnego
Kasprowicz J. Wybór poezji
— Księga ubogich
Korczak J. Bobo
— Jak kochać dziecko I. Dziecko w rodzinie
— „ „ „ II. Internat.—Kolonje letnie
— „ „ „ III. Dom Sierot
— Jóźki, Jaśki i Franki
— Mośki, Joski i Srule
— Sam na sam z Bogiem. Modlitwy tych, którzy się nie modlą

Krasiński Z. Poezje wybrane, w układzie St. Wyrzykowskiego
Kwiatkowski R. Chlakunin-izszu czyli ze stu poetów po jednej pieśni
Lange A. Dywan Wschodni. Antologja poetów wschodnich
Lechoń Jan. Karmazynowy poemat
Leonardo da Vinci. Pisma wybrane. Wybór, układ, przekład i wstęp Leopolda Staffa 2 t.
Leśmian B. Łąka
— Sad rozstajny. Poezje
Limanowski B. Dzieje Litwy
— Historja demokracji polskiej w epoce porozbiorowej t. I, II.
Liryka francuska serja I i II. Przekład Br. Ostrowskiej
Lorentowicz Jan. Polska Pieśń Niepodległa. Zarys literacki
Louys Piotr. Pieśni Bilitis. Przeł. L. Staff
Markowska M. Przejdziem Wisłę przejdziem Wartę... Powieść historyczna
Michał Anioł. Pisma. Przekład L. Staffa
Mickiewicz Ad. Pan Tadeusz. (album) z ilustracjami E. M. Andriollego
Miriam. U Poetów. Przekłady
Nal i Damajanti. Baśń staroindyjska z ksiąg Mahâ-Bhâraty. Z sanskrytu przełożył A. Lange
Nalepiński T. Kazia. Powieść
Nałkowska-Rygier Z. Hrabia Emil. Powieść
Nietzsche Fr. Dzieła. Przełożyli: W. Berent, K. Drzewiecki, L. Staff i St. Wyrzykowski
— Tom: I Tako rzecze Zaratustra
— „ II Poza dobrem i złem
— „ III Z genealogji moralności
— „ IV Dytyramby Dyonizyjskie
— „ V Zmierzch Bożyszcz
— „ VI Wiedza radosna
— „ VII Jutrzenka
— „ VIII Antychryst
— „ IX Narodziny tragedji
— „ X Ludzkie arcyludzki
— „ XI Wędrowiec i jego cień
— „ XII Wola mocy
— „ XIII Niewczesne rozważania
— Ecce homo (Suplement)
Norwid C. Czarne i białe kwiaty. Wybór prozy w układzie R. Zrębowicza
— Pisma wybr. t. A. cz. I i II. Pisma wierszem. Dział 1
— t. C. Pisma dramatyczne
— t. E. Pisma prozą. Dział pierwszy legendy i nowele
— Wybór poezji w układzie Zenona Przesmyckiego (Miriama.)
Novalis. Pisma t. I. Henryk Offterdingen

Ostrowska Br. Chusty ofiarne. Poezje
Panteon. A. Mickiewicz. Księgi narodu i pielgrzymstwa polskiego
— J. Słowacki. Genezis z Ducha
— Z. Krasiński. Modlitwy
— Sofiści greccy. Wybór i przekład L. Staffa
— Epikur. Myśli
— Kwiatki św. Franciszka z Asyżu wybrane przekł. L. Staffa
— Salomon. Pieśń nad pieśniami
— Leonardo da Vinci. O malarstwie przeł. L. Staff
— Heraklit. Myśli
— Spinoza. Myśli
— Nietzsche. Żart, chytrość i zemsta
— Epiklet. Encheiridion
— Demokryt. Myśli
— Petronjusz. Uczta
— Marek Aureljusz. Myśli
— Pascal. Modlitwy i rozmyślania
— Norwid C. Milczenie
Papini J. Dzieje Chrystusa przełożył W. Rzymowski
— Pamiętniki Pana Boga " "
— Tragedje powszednie " "
Plutarch Polski. Hugo Kołłątaj przez B. Limanowskiego
— — Tadeusz Kościuszko " "
— — Walerjan Łukasiński " "
— — Stanisław Staszic " "
— — Romuald Traugutt " "
Poe Edgar Allan. Arabeski t. I i II
Poincaré H. Nauka i hypoteza
— Nauka i metoda
— Wartość nauki
Rabindranath Tagore. Owocobranie. Przeł. L. Staff
Renan E. Żywot Jezusa
Rolland R. Beethoven przeł. M. Zabojecka
— Piotr i Łucja Idylla tragiczna przeł. M. Zabojecka i H. Bezmaski
Rzymowski W. Polskie-Arcypolskie
Schlaf J. Wiosna. Przeł. i wstęp. zaopatrzył St. Przybyszewski
Siedlecki M. Prof. Jawa. Przyroda i sztuka. Uwagi z podróży
Sieroszewski W. Beniowski. Powieść hist.
— Ocean. Powieść hist.
— Zamorski Djabeł. Powieść dla młodzieży
Słowacki J. Pisma mistyczne w wyb., ukł. i oprac. St. Wyrzykowskiego
— Utwory liryczne. Wybór i układ St. Wyrzykowskiego

Staff L. Fletnia chińska
— Oczy otchłani
— Ogród pieszczot
— Pieśń o skowronku
— Sady
— Ścieżki polne
— Wino miłości

Strug A. Chimera. Powieść
— Dzieje jednego pocisku. Powieść

Szczęsny Al. To co się stało. Poezje

Szpotański St. Adam Mickiewicz i jego epoka t. I. Racyonalizm i romantyzm
t. II. Towianizm

Towiański A. Pisma wybrane. 2 tomy

Trojanowski W. Malarstwo włoskie z 40 planszami

Trzebiński M. Stara Warszawa. Album

Tuwim J. Czyhanie na Boga
— Sokrates tańczący

Wasylewski St. Sztambuch. Skarbnica romantyzmu

Wierzyński K. Wiosna i wino. Poezye

Zabojecka M. Powieść o duszy polskiej

Zieliński T. Religja starożytnej Grecji

Złota legenda błogosławionego Jakóba de Voragine. Przełożył i wstępem opatrzył L. Staff. Poczet pierwszy

Żeromski S. Biała rękawiczka
— Charitas. Powieść współczesna
— Dla młodzieży. Książka pierwsza
— „ „ „ druga
— Duma o hetmanie
— Dzieje Grzechu
— Echa leśne
— Inter Arma
— Nawracanie Judasza
— Organizacja inteligencji zawodowej
— Początek świata pracy
— Popioły wyd. nowe 3 tomy
— Powieść o Udałym Walgierzu
— Projekt Akademii Literatury Polskiej
— Rozdziobią nas kruki, wrony...
— Sen o szpadzie i sen o chlebie
— Słowo o Bandosie
— Sułkowski. Tragedja
— Syzyfowe prace
— Uroda życia 2 tomy
— Wiatr od morza
— Wierna rzeka. Klechda wyd. nowe
— Wisła
— Wszystko i nic. „Popiołów—sprawa druga“
— Zamieć

Żywot chłopa polskiego na początku 19-go stulecia. Do druku podał **M. Handelsman.**